ANAFIELAS.



ANAFIELAS.

PIEŚNI Z PODAŃ LITWY.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

PIEŚŃ TRZECIA I OSTATNIA.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1845.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1844 roku Czerwca 17.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego, Radźca Kollegialny i Kawaler

Jan Waszkiewicz.

WITOLDOWE BOJE.

PIEŚŃ TRZECIA I OSTATNIA.

LITWIE I ŻMUDZI

Te Trzy Pieśni

ANAFIELAS

poświęcił

J. I. K.

WITOLDOWE BOJE.

I.

Dla czego duchem po rodzinnéj ziemi
Błądzę ja zawsze, rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,
Życia wśród prochów, śmierci, wśród żałoby?

Dla czego idę ze świata upiorem
Na Anafielas, gdzie naddziadów cienie,
Z łukiem na plecach, a w rękach z toporem,
Z siwemi brody, siadłszy na kamienie,

Płaczą i patrzą ku rodzinnéj stronie
Szklannemi oczy, bez łzy i uśmiechu,
Sparłszy na oręż spracowane dłonie,
Sparłszy na ręce piersi bez oddechu?

Dla czego duch mój nie pójdzie z żywemi
Życiem dzisiejszém serca rozweselać,
I bujać z niemi, i rozśmiać się z niemi,
I ich roskosze i radość podzielać?

Dla czego w górę zwracam tęskne oczy,
I szukam duchów, co w nieba wzleciały,
W kraj nieśmiertelny, smutny a uroczy?
Dla czego z niemi i w nim żyję cały?

Dla czego w piesni umarłych, co ludzi
Piersi nie grzeje, serca nie porywa,
Wiecznie się głos mój wysila i trudzi,
I ledwie ustał, znowu się odzywa?

Czemu sam jeden na Anafiel lecę,
Naprożno ciągnąc zimny lud do siebie;
Wskazując przeszłość, stary ogień niecę,
Sam tylko, Litwo, mając łzy dla ciebie?

Czemu??—nie powiém, i wy nie powiécie,
Bo nikt z was nie wié słowa téj zagadki:
Z piastunki ręku czemu drobne dziécię,
Płacząc, się ciągnie do grobu swéj matki?
Matką mi, przeszłość, a piastunką, życie.

II.

O MORZE! sine morze! kto nad cię piękniejszy?
Z wszystkich Stwórcy objawień kto większy od ciebie?
Nic twych wdzięków nie zgasi, wielkości nie zmniejszy;
Piękneś w obliczu ziemi, i piękne przy niebie,
I wielkie, i ogromne, jakby Bóg cię stworzył,
Aby wieczność wystawił, ludzi upokorzył.

Czy słońce się przegląda w twéj zielonéj fali,
I, topiąc swe promienie w przezroczyste głębie,
Stem barw ciebie ubiera, płomieniem zapali,
Lub maluje, jak opal, jak szyje gołębie,
Czy noc czarna zapadnie, Menes wejdzie blady,
I strugą światła srébrną wysypie swe ślady,

Ty zawsze wielkie, piękne, ty zawsze cudowne!
Oko ludzkie, co na twych przestrzeniach spoczywa,
Drogie myśli z twych głębin, obrazy czarowne,
Droższe pereł, korali, nurzając, dobywa;

A ucho twego głosu słuchając zdumiałe,
Zda się słyszy, jak w niebie nócą Bożą chwałę.

Ciche, tyś wielkie, straszne w swoim majestacie,
W lazurem, zielonością wyszywanéj szacie;
Zburzone, ty falami bijąc brzeg zszarpany,
Rycząc, z wnętrzności białe wyrzucając piany,
Trwogą napełniasz serce, duszę niepokojem,
Jakbyś ziemię pochłonąć chciało w łonie swojém.

Morze! czemuż ten, co cię pokochał namiętnie,
Jak piérwszą miłość w duszy, pamięć twoję chowa,
I wspomina o tobie z uniesieniem, smętnie?
We snach ku twoim brzegóm zwraca mu się głowa
I serce na szmer fali podnosi się twojéj,
A w oczach wciąż twa wielkość i piękność mu stoi?

III.

Chmurne niebo nad głowami,
Żółte piaski naokoło,
W dali szumi bałwanami
Sine morze burzą wzdęte,
Wyżéj Świętéj góry czoło,
Sosnowym wiankiem opięte.

Chmury lecą po niebiosach,
Po ziemi piasku tumany,
Wiatr w sosen zielonych kosach
Wyje burzą rozpasany,
I zaszumi gdzieś na chmurze,
To na morzu, to na górze.

Znowu cicho, znowu fale
Konają na piasków łonie,
Chmury toczą się wspaniale,
Sosny zgięte wznoszą skronie.

Cisza wkoło, którą zrywa
Ptaków gromada krzykliwa.

Lecz już znowu ryczy morze,
Piaski z brzegów wiatr rozprasza,
Chmury rozrywa i porze,
Sosen gałęzie podnasza,
Lecz nie słychać w burzy ryku
Sosen szumu, ptaków krzyku.

Wieczor chmurami odziany,
Już zachodnie gasną zorze
Błaski krwawemi; bałwany,
I dalekie błyszczy morze,
A na górze z za gęstwiny
Dym się w niebo podniósł siny.

Na górze, w sosnowym wianku,
Bieleją mury świątyni;
W niéj goreje bezustanku
Ogień Litewskiéj Bogini;
Dwanaście dziewic swojemi
Tli go rękoma białemi.

I nieraz żeglarz zbłąkany,
Gdy burza z łodzią szaleje,
Wierzch góry w sosny odziany,
Ogień, co na górze tleje,
I Bóstwo wzywa w rospaczy,
Aż znak wybawczy zobaczy.

Pusto; na niebios przestworzu
I ptak jeden nie przeleci;
Łódź nie czernieje na morzu;
Na ziemi w piasków zamieci
Duchy szalonemi skoki
Na Bałtyk lecą széroki.

I znowu wiatr się uśmiérza,
Chmury rzadnieją nad głową,
I wolniéj fala uderza
W żółtą mieliznę piaskową,
Ptaki nad morze wzleciały
A sosny szumieć przestały.

Czyjaż tam sukmia bieleje
Na wydmach piasku w oddali?
Wiatr jasnym fartuszkiem wieje.
Czy to bóstwo wyszło z fali?
Czy to Bałtyku królowa,
Po kochanku płacze wdowa?

Czy to morza córa biała
Zbiera rozpierzchłą drużynę,
Którą burza rozsypała,
Bijąc o brzeg fale sine?
Czy zbiera rybki, co drgają,
Na piasku wody czekają?

Czy to Praurma góry swojéj
Idzie kapłanki odwiedzić?

Służby, co w świątyni stoi, "
Tajemne kroki dośledzić?
Praurma, co na Litwy niebie
Nie zna możniejszéj nad siebie?

Nie bóstwo to, nie duch morza,
Żmudzka to' idzie dziewczyna,
Widymuntówna to hoża, —
Bojara córka jedyna
Wejdalotka z Świętéj góry
Śpieszy pod ołtarza mury.

Na głowie wianek ruciany,
Na szyi sznur bursztynowy,
Rąbek biały spływa z głowy,
Fartuch w dzwonki obszywany,
A koszulka z lnu żmudzkiego,
Jak piana morska białego. —

Niespokojna — noc zachodzi,
Gasną zorze, duchy wstają,
Z morza na spróchniałéj łodzi
Już topielce przybijają,
I po brzegach wyć poczęli,
Pastwę ciągną do topieli.

Duchy nocy już głosami
Ptaków krzyczą, i czarnemi
Skrzydły wioną nad głowami,
Smutne pieśni nócąc ziemi.

Ona śpieszy — noc zapada,
A przed nocą wrócić rada.

Już pod gorą, a po błoni
Słychać tentent i parskanie:
Jakiś jezdziec za nią goni,
Miecz mu brzęczy, a w kołczanie
Pióra strzał zaszeleściały,
A koń parą bucha cały.

Ona bieży, on ją goni;
Po piaszczystéj lecą błoni;
Ale biały koń wyściga
Coraz dziewczę, coraz bliżéj,
I jak strzała tylko miga,
Ku niéj prędzéj, ku niéj chyżéj.

Aż ją dognał; ona stała,
Serce biło, twarz pałała;
On jéj w oczy zadziwiony
Patrzał długo, patrzał śmiało.
—Dziewczę! z któréj idziesz strony?
Co cię w burzę tu zagnało?—

—Córką jestem Widmuntową,
Wejdalotką z Świętéj góry;
Braciom strawę niosłam dniową,
Gdy mnie burza, gdy mnie chmury,
Na morskim brzegu zastali,
I dzień cały zatrzymali.

Teraz wracam do ołtarzy.
Nie czyń złego, puść mnie, Panie!
Bóg podróżnych niech ci zdarzy
Szczęsną drogę, powitanie
W progu zamku, gdy spoźniony
Do dzieci wrócisz i żony. —

—O! do zamku mi daleko!
Widmuntówno! nie dziś stanę;
Za siódmą on stoi rzeką,
A gdy wrócę, nie kochaną
Żonę, ale psy, sokoły,
Powitam w nim, niewesoły. —

I poleciał. Ona stała;
Raz ku górze, dwa ku niemu
Tęskno, smutno spoglądała;
I powoli ku swojemu
Szła ustroniu, a dumała
Z okiem w ziemi, w myślach cała.

Jasne niebo; znikły chmury,
Żółte piaski złotem świecą,
Na wierzchołek Świętej góry
Stada dzikich ptaków lecą,
I krążąc nad nią wokoło,
Pieśń zaśpiewały wesołą.

Już nie szumi gaj sosnowy,
Morze do snu się kołysze,
Fala, brzeg całując płowy,
Ledwie szmerem przerwie ciszę.
Światło wkoło, radość wkoło,
W niebie, na ziemi wesoło.

Tam rybacy z siecią płyną
I pieśniami brzeg żegnają,
Wiosłem wodę porąc siną,
Pieśniom wtóry wybijają.
Światło wkoło, radość wkoło,
Na ziemi, morzu wesoło.

Ale słońce już zapada
Do kąpieli po upale,
Na noclegi ptaków stada
Lecą w jezior ciche fale,
A Święta Praurymy góra
Cieniem słoni się ponura.

Tylko na jéj sosen skronie
Jeszcze słońce rzuca blaski;
Stoją w złocistéj koronie,
Po nad morze, po nad piaski
Harde, smutne wznosząc głowy,
Stróże świątyni Królowéj.

Czyjaż tam suknia bieleje
Na żółtych wydmach w oddali?

Wiatr jéj rąbkiem jasnym wieje.
Czy to bóstwo wyszło z fali?
Czy to Baltyku Królowa,
Po kochanku płacze wdowa??

Czy to morza córa biała
Zbiera rozpierzchłą drużynę,
Co fala powyrzucała,
Bijąc o brzeg fale sine,
I zbiera rybki, co drgają,
Na piaskach wody czekają?

Czy to Praurma góry swojéj
Idzie kapłanki odwiedzić?
Służby, co w świątyni stoi,
Tajemne kroki dośledzić?
Praurma, co na Litwy niebie
Nie zna możniejszéj nad siebie?

Nie bóstwo to, nie duch morza,
Nie Praurma w ludzkiéj postaci;
Biruta, Żmudzinka hoża,
Wraca od rybaków braci,
Z rucianym wiankiem na skroni,
Z próżnym koszem w białéj dłoni.

Znowu tęskni, znów ją goni,
Jeździec na siwym żmudzinie;
Niedźwiedzi ma szłyk na skroni,
Burka czarna z ramion płynie,

Łuk rogowy, miecz u boku,
W ustach uśmiech, duma w oku.

Widmuntówna go ujrzała
I szła dalej — serce biło;
Zrumieniona, w strachu cała,
W sercu, w uszach jéj tętniło;
Nie widziała, gdy ją witał,
Nie słyszała, gdy zapytał:

—Dokąd? Widmuntówno hoża!
Dokąd poźnym znów wieczorem?
Już zachodnia gaśnie zorza,
Krucy kraczą po nad borem—
Duchy lecą, widma lecą,
Kaukie złém już okiem świecą!—

—Kapłanką jestem Zniczową,
Wejdalotką z Świętéj góry,
Braciom strawę niosłam dniową,
Pod świątyni wracam mury.
Od złych duchów, złego człeka,
Praurmy broni mnie opieka.—

—Widmuntówno! pojedź ze mną.
Dość kapłanek ma Prauryma.
W moim zamku pusto, ciemno,
I zaświecić komu niéma;
Zamek smutny, opuszczony—
Dzieci nie mam, nie mam żony.

Pojedź ze mną. Skarb mój mnogi,
Sług mam wielu, kraj szeroki,
Skarby kładnę ci pod nogi,
Sługóm każę strzedz twe kroki,
Złote wieńce, miękkie szaty,
Kraj mam wielki, dwór bogaty.

Widmuntówno! pojedź ze mną;
Siwy nas uniesie dwoje.
Pod zasłoną nocy ciemną
W Litwę polecimy moję.
Nim się druga noc rozściele,
Na Trokach będzie wesele.

—O, nie, Panie! jam Zniczowa.
Wejdalotka z Świętéj góry;
A kto przysiąg nie dochowa,
Perkun karze ogniem z chmury.
Kto przysiąg świętych naruszy,
Perkun karze ogniem w duszy.

Porzuć Widmuntowe dziecię.
Sto na Żmudzi dziewcząt, Panie,
Pójdzie z tobą, gdy zechcecie,
Dzielić na Trokach mieszkanie.
Jam piérwszy wianek z méj głowy
Rzuciła w ogień Zniczowy.—

—Sto kapłanek ma Praurymа,
Jest tam komu Znicz rozdymać;

U mnie w Trokach jednéj niéma
Domowy ogień utrzymać.
Ucieczka będzie tajemną,
Siadaj na koń i jedź ze mną.—

—O, przed Bogów okiem, Panie,
Żaden krok się nie utai.
Przez morski odmęt, otchłanie,
Z głębi lasów, z ludów zgrai,
Bóg wywlecze przeniewiercę
I piorunem trafi w serce.

Tu mi miejsce, tu przysięga,
Tu mój ojciec, bracia mili,
Tu rodzinnéj rzeki wstęga,
Tu mi żmudzki ptak mój kwili,
Wszystko moje, kraj mój miły,
Wejdalotkę uwięziły.—

—-Litwa, Żmudź—siostry rodzone,
Język bratni, kraj to krewny,
I dłonie ich połączone,
Los ich nie rozerwał gniewny.
Twa rodzina, mą rodziną.
Siadaj, jedź ze mną, dziewczyno!

Piękny zamek na jeziorze,
W zamku wesołe komnaty,
Tłumy sług na moim dworze.
Sznury pereł, drogie szaty,

Xiążęcą czapkę na skronie,
Złotą kądziel dam ci w dłonie.

Będziesz wieść xiążęce życie,
Wsród sług wesołego dwora,
Śpiewem budzona o świcie,
Śpiewem uśpiona z wieczora,
Na posłanie twe puchowe
Kładąc od trosk wolną głowę.—

—O, nie, Panie! o, nie, Panie!
Ja chcę tylko żyć ze swemi.
Za roskosze wszystkie stanie
Roskosz widzenia swéj ziemi.
Tu mój ojciec siwy żyje,
Tu mój brat z morzem się bije.

Tu dziecińśtwa zeszły lata,
Nad morzem muszle zbierała,
Na tym brzegu jam czekała
W późną noc rybaka brata,
Tum zrywała piérwsze kwiaty,
Tam w dolinie dym méj chaty. —

Oną bieży, on ją goni;
Próżno dziewczę się wyrywa.
Po piasczystéj lecą błoni.
Z wiatrem końska igra grzywa,
Burka z wiatrem się poddyma.
Kiejstut dogonił ją, trzyma,

I porywa, na koń sadza.
—Próżne łzy, Biruto, twoje!
On nie takie staczał boje,
Nie taki łup uprowadza.
Nigdy łzy go nie skruszyły,
Nigdy jęk nie wydarł siły.

Leci Kiejstut, a na ręku
Płacze swojéj braci, ziemi,
Płacze, w głośnym lejąc jęku
Żal za rodziną, za swemi,
Płacze sercem i oczyma;
Płacze dziewczę— płacz nie wstrzyma—

I tak woła:—Bogi moje!
Zwiejcie burzę, gromy ślijcie,
I kapłankę weźcie swoję,
I niewolnicę odbijcie!—
A Bogowie nie słuchali,
Jeździec coraz jechał daléj.

Ona woła:—Ojcze stary!
Wyślij lud twój, sługi, woje,
Na porywcę wzywam kary,
W obcych rękach dziecię twoje.—
I nie słuchał ojciec stary,
Jeździec sadził przez obszary.

Ona woła:—Bracia moi!
Wy na morzu, wy daleko,
Nie ujrzycie siostry swojéj.
Siostrę waszą w polon wleką.—
I bracia jéj nie słuchali,
Jeździec coraz leciał daléj

—Nocy czarna! straszna nocy!
Nie gaś słońca, niechaj płonie.
Saułe! wzywam twéj pomocy,
Swieć mym braciom na pogonie;
Gdy mnie szukać się rozbiegą,
Wiedź ich prosto śladem jego.—

Lecz i słońce nie słuchało,
Nie słuchała noc jéj czarna,
Piaskiem drogę zasypało.
Siwy biegł, jak leci sarna,
Kiedy łowiec za nią w lesie
Psy i strzały zbójcze niesie.

Ona płacze; łzy jéj biegą,
A za łzami, za lasami,
Ni domku ojca starego,
Morza z złotemi brzegami
Nie widać, ni Świętéj góry,
I Praurymy znikły mury.

Wszystko znikło przed jéj okiem,
Wszystko minął jeździec w biegu;
Już na polu gdzieś szérokiém,
Na nieznanéj rzeki brzegu.
Ona to, co postradała,
Jeszcze w mokrych oczach miała.

IV.

O! DZIEŃ to wielki, dzień był uroczysty,
Gdy kurzem osunięty, cały krwią oblany,
Kiejstut na zamek zawitał ojczysty,
A sługa w bramie, z zgiętemi kolany,
Z łbem nachylonym, powitał go słowy:
—Kniaziu! do zamku gość nam przybył nowy.—

Serce Kiejstuta zatrzęsło się w łonie.
On przeczuł, jaki gość na zamku świeży;
Więcéj nie pyta, z potu otarł skronie,
Konia porzucił i w świetlicę bieży.

Biruta siedzi na łożu rumiana,
A białą piersią karmi swe pacholę,
Wstała na nogi przeciw swego pana
Z radośną krasą na wesołém czole.

—Patrzaj, Kiejstucie! syn ci się narodził!
Ty syna chciałeś, masz mieczu dziedzica,
Co, jak ty, będzie w krwi krzyżackiéj brodził,
Co, jak ty, będzie bicz i nawalnica
Na wrogów Litwy! Weźmij go na ręce
I pobłogosław w imie Bogów Litwy.—
A Kiejstut syna podniósł, i dziecięce
Rysy rozpatrzył. Czy rękę do bitwy,
Oczy wojaka, ma, siły żołnierza?
Patrzy i patrzy, czoło mu jaśnieje.
Dziecię nie płacze na widok rycerza,
Rączki podaje, do niego się śmieje,
Już nie ku matce, ku ojcu swojemu.

Nawpół weselem, wpół się smutkiem kraje
Biruty serce—synu jéj małemu
Lepiéj żołnierski uścisk zasmakował
Niźli matczyny; syn już od jéj łona
Wyrwał się, bojów zapachu skosztował;
Znów będzie samą, znów osamotniona!

Zdjął szłyk i usiadł Kiejstut, i kołysze
W niedźwiedziéj burce na kolanach syna,
A matka patrzy, niespokojna dysze,
Oczyma wodzi, serce jéj się ścina,
Jak Trockie, w mrozy zimowe, jezioro.
Łzów nie uronisz, Widmuntowa córo,
Ale cię boleść, jak mróz kwiaty, zwarzy,
Dziki swój pazur zostawi w twéj twarzy.

Już do twéj piersi nie zrywać się jemu;
Ojciec kołysze rękoma twardemi,
A Witoldowi tak lubo małemu;
Lepiéj, niż kiedy piersiami białemi
Tyś go karmiła, i piersią kobiécą
Do snu naprożno chciała skleić oczy.
Patrz, on się śmieje; na powieki lecą
Mary wesołe, sen jakiś uroczy.

Kiejstut Birutę pocałował w czoło.
—Dzięki ci! Rodź mi takie, jak ten, syny.
Trzeba ich Litwie, by stanęli wkoło
Murem żelaznym bezbronnéj krainy,
Któréj gór, morza, gdy Bogi nie dały,
W piersiach swych synów ma morza i wały;
Trzeba nam ręki i głowy do boju,
Bo długo jeszcze nie będzie na Litwie,
I nigdy może nie będzie pokoju—
I żyć nam w boju, i umierać w bitwie.—

Mówił, a słowa leciały do ucha.
Ona słyszała, a jakby nie słucha;
Coś może biedna o swym synu marzy,
Bo widać myśli na schmurzonéj twarzy.
I nic nie rzekła, nie odpowiedziała,
Syna przyjęła, cisnęła do łona,
Piersi mu białéj do ustek podała;
Dziecię nie wzięło — żółcią zaprawiona.

Ilekroć Kiejstut powracał z wyprawy,
Bieżał do syna — piérwszy to syn jego
Piérwszy raz serce, co w bój wrzało krwawy,
I do dziecięcia zabiło małego,
I biegło, jako łanie ku swym biegą.
A kiedy przybył, nie ściskał dziecięcia,
Ani je tulił, ni pieścił ustami,
Lecz na żołnierza chował pacholęcia,
Grając mu w rogi i dzwoniąc szablami;
Nie chował syna, jako ptaka w klatce,
Co go hodują, aby pięknie śpiewał;
Nie dał kobiétom, własnéj nie dał matce,
A pierś mu męzką prawicą rozgrzewał;
Nosił, jak orlę do łowów uczone,
Jako sokoła, co, gdy skrzydła wzrosną,
Spójrzy na ptastwa stada wylęknione
I puści na nie z źrenicą radosną,
I pójdzie w górę bujać po obłokach;
Chował go, jako chowają ogary,
Którym krew lizać, mięso szarpać dają,
Aby, gdy przyjdą do lat, w zgrai staréj
Poszły, za starą nie zostały zgrają;
Chował do boju Witolda młodego,
Na niewygodach, na łowach, na koniu;
A w odpoczynku nie pieśnią kobiécą,
Ni śpiewem dziewic ucho mu głaskano,
Ale Jaćwieży pieśni mu śpiewano,

Co ogniem idą, ogień w sercu niecą,
I całe życie potém w duszy świecą;
Pieśni o dziadów zapasach szalonych,
Pieśni o ojców bojach utrapionych!

Niemi młodego karmią bez ustanku,
Niemi do serca ojciec mu kołata.
O! bo najdaléj, co w życia poranku
Do serca pójdzie, w serce się zaszyje,
Tego nie zetrze wiek, życie nie zmyje,
Tego poźniejsze nie zagaszą lata.
Ledwie zagrzebiesz, na wierzch znów wychodzi,
Człeka odżywia i znowu odmłodzi.
Naprożna praca! Gdy w serce upadnie,
Myśl czy uczucie pozostanie na dnie
I długie lata, jak koncha perłowa,
W przepaściach morza duszy się przechowa.

V.

Płyną lata jak fale, wiatr losu je wzdyma,
Płyną falą do brzegu, o brzeg się rozbiją,
I rozprysnął się bałwan, a po nim nic niéma!
Trochę piany, którą się suche piaski myją,
Trochę muszli, i rybek, i bursztynu bryła,
Co się wstydząc przed słońcem, do ziemi zaryła.

Czasem fala o brzegi kiedy się rozbije,
Piany nie pozostawi, nie rzuci bursztynu,
Rozpryśnie się o skały, zimny kamień zmyje
I topielca wyniesie, na postrach dla gminu.
Nikt fali nie policzy, fali nie wywróży,
Pogody nie przepowié, nie przepowié burzy.

Płyną lata falami na Trockiém zameczysku,
I Biruta nie płacze po Żmudzkiéj rodzinie,
Wieczór tylko w zachodu jaskrawym odbłysku,
Gdy, jak morze, jeziora świecą fale sinie,

Kiedy wody zaszumią, ptak jaki zakwili,
Ona myślą ucieka do ubiegłych chwili,

I wspomina na ojca, wspomina na brata,
Na świątynię Praurymy, na ojczyste kraje,
Na pamiątki z innego, z młodzieńczego świata,
Których do szczęścia sercu Biruty nie staje,
Ale nie pójdzie ona za rodziną swoją,
Bo przy łożu Biruty dwie kolebki stoją.

W jednéj kolebce córka śpi z złotemi włosy,
Xiężycowe ma jasne oblicze, spójrzenie,
I pogląda, jak xiężyc, gdy wejdzie w niebiosy,
Siejąc po białym świecie srébrzyste promienie;
Jako gwiazda przyświeca nad dolą matczyną;
Przy niéj mroki przyszłości jaśnieją i giną.

W drugiéj kolebce matki i ojca nadzieje,
Młody Witold usypia. To słońce u wschodu
Jeszcze wielkiemi blaski po świecie nie sieje,
Lecz słońce i olbrzyma rozpoznasz zamłodu.
Inaczéj gwiazdy świecą, srébrny xiężyc świeci,
Inszym wzrokiem patrzają drobne ludu dzieci.

On w kolebce sokolém patrzy już wejrzeniem,
I dziecinnych zabawek, jak siostra, nie żąda,
Do zbroi się wyciąga bezsilném ramieniem,
Na miecz ojcowski okiem gorącém pogląda,
A gdy biją w Lietaury, gdy w rogi zadzwonią,
Serce mu skacze małe, drobną klaszcze dłonią.

A gdy Kiejstut na wojnę szłyk niedźwiedzi wdzieje,
Kiedy burkę narzuci i Wiżos obuje,
Mały Witold do ojca wesoło się śmieje,
Za szyję obejmuje, sukni uwiązuje,
Jak gdyby już chciał dzieckiem dzielić niespokojny
Zwycięztwa nad Krzyżaki i z Lachami wojny.

—Nie czas jeszcze, Witoldzie!— ojciec mu powiada—
—Nie czas — mówi mu matka — śpij jeszcze spokojny,
Przyjdą i tobie lata, a Litwa ci rada
Da lud zbrojny do ręki i miecze do wojny.
Śpij w kolebce. Zawcześnie obudzą sąsiady,
Wrzawa boju, pożogi i Rusi napady.

Śpij, Witołdzie! Po ojcu miecz wziąwszy skrwawiony,
Nie dasz mu w pochwach drzémać i rdzą się okrywać.
Trzech strasznych wrogów stoi z każdéj Litwy strony,
Nie będziesz mógł spać wówczas, nie będziesz spoczywać,
Usiąść nie będzie kiedy na ojczystych progach,
Z sokoły, psami hulać po Litwy rozłogach.

Śpij, Witoldzie, śpij, dziecię, snem na całe życie!
Spadnie ci potém Litwa na piersi brzemieniem,
Wrzawa wojen obudzi o młodzieńczym świcie,
I do grobu wojennėm wieść cię będzie pieniem.
Sen twój na życie całe; po nim nie spać tobie,
Aż z przodkami twojemi, w Swintorohy grobie.—

A dziecię, zda się, słucha, i słowa nie słyszy,
Wciąż za tarczę błyszczącą, to za łuk porywa,

I za ojcem, gdy jedzie, niespokojnie dyszy;
A matka go w objęciach ściska nieszczęśliwa,
Pieśnią wojny usypia najmilszego syna,
W zbroję twardą go kładzie, gdy kwilić zaczyna.

Rośnie olbrzym w żelazie, karmiony od młodu
Mlékiem żmudzkiéj dziewicy, żmudzką pieśnią boju,
I po żyłach już płynie krew starego rodu
Dziadów, którzy nie znali spoczynku, pokoju,
Co dziecinną już ręką gdy wzięli miecz biały,
Szli z nim w boju niezbytym przez długi wiek cały.

VI.

Nad kolebką Witołdową
Dwa duchy ciężą skrzydłami:
Czarny duch wisi nad głową,
Świeci krwawemi ślipiami,
A w paszczy język śpieniony:
To słowika głosem śpiewa,
To zahuczy rozjuszony,
Jak wąż, sowa, się odzywa;
U nog dziecka biały klęczy,
Ręce załamał i jęczy,
A po twarzy dwie łzy płyną,
To wytrysną, to znów zginą.

Dziecię śpi i przez sen słucha
Czarnego, białego ducha.
Oba w drobne szepcą uszy,
Obu pieśni grają w duszy.

Czarny okrył mu skrzydłami
Śpiącą, sny młodemi, głowę,
I serca objął połowę,
I tak mu śpiewa, tak mami:

—Ty będziesz wielki, wielki, jak przodkowie,
Wielki, jak Bogi, co siedzą w Romnowie,
Litwy ty panem, ty panem na Rusi,
Przed tobą wszystko paść, czołem bić musi.
Gdzie mieczem skiniesz, ludy ci pokłonią,
Zgarniesz je w jedno olbrzymią twą dłonią.
Naprożno Lach ci krzyż złoty ukaże,
Ty wiész, że Litwy Bogi, Bogi twoje.
Niech zdrajcy padną na wylękłe twarze,
Ty z krzyżem tylko zwodzić będziesz boje.

W ręku twych wojna, wojna na twém czole,
Wojna twą sławą, twéj wielkości pole,
Krew ci ofiarą, co serce ochładza,
Łza — napój słodki, który sen sprowadza!

Ty będziesz wielki, jak wielcy przodkowie,
Dziadowie twoi z kamienia i stali,
Co suchém okiem w morza krwi patrzali,
Nogą na wrogach podeptanych stali,
Rusi na piersiach, Krzyżakóm na głowie,
Lachóm wnętrzności jedli i szarpali.

W tobie krew krzyża nieprzyjaciół płynie,
Ojców, co w wierze wytrwali do końca.
Tyś Litwy panem, i Litwa nie zginie —
Tyś wiary ojców i swobód obrońca.
Skroń twoję sława uwieńczy koroną
Z kości twych wrogów i ciał ich splecioną!! —

Dziecię śpi i przez sen słucha,
Do czarnego śmiejąc ducha,
I serce mu drobne bije,
I myśl ciemna w głowie wije,
I rękami szuka broni,
I już wrogów we śnie goni,
Ciśnie Litwę w silnéj dłoni
I przyciska ją do łona.
Rozszarpana, pokrwawiona,
Z zdartą piersią, w łzach i jęku
W Witolda spoczęła ręku.

A duch biały cicho śpiewa.
Nie słychać go w dziecka duszy;
Śpiew anielski nie porywa,
Śpiew pokoju nie poruszy;
Bo wciąż w uszach brzmi bojowo
Czarnych duchów wielkie słowo.

—Ty będziesz wielki, nie twych przodków sławą,
Nową sławą, nową chwałą,

Nie pogan wielkością krwawą,
Chrześcjan spokojną i trwałą.

Ty będziesz wielki — serce twe usłucha
Głosu chrześcjańskiéj wiary,
Złego wyrzeczesz się ducha,
Czarnych bogów Litwy staréj.

Ty będziesz wielki—pod twojém ramieniem
Pokój i wiara rozświecą;
Będziesz dla Litwy wytchnieniem;
Ludy pod skrzydła twe zlecą.

Ty będziesz wielki, bo przebaczysz wrogom,
Bo lud przyciśniesz do łona,
Krwawym nie skłonisz się bogóm,
Litwy, tyś Rusi, obrona.

Pogasisz ognie, co tleją, pogańskie.
Krzyża ty będziesz podporą;
Błogosławieństwa ci Pańskie,
Na wysokiém niebie gorą.—

Dziecię śpi, przez sen nie słucha,
Do czarnego tuli ducha.
Biały u nóg jego klęczy,
Załamał dłonie i jęczy,
A wciąż pieśń pokoju śpiéwa,
Do serca się nią dobywa.

Kołyszą tak bohatera,
Pogan bogi, Anioł Boży,
Ich pieśń serce mu otwiera,
Pieśń anielska nie otworzy.

I płakał łzami duch w bieli
A czarne duchy się śmieli.

VII.

Ryngoldzie wielki! dobrze Litwie było
Pod twemi skrzydły w jedno wzrastać ciało.
W Mindowsa ręku jeszcze się łączyło,
Co po nim tylko rozpadać się miało.
Syn mścić śmierć ojca zrzucił suknie mnisze,
Lecz jemu w boju klasztorne zacisze
Śmiało się jeszcze. Ni serca ni dłoni
Nie miał mnich zemstą za ojca zagrzany.
Ni sił ojczyznę z złéj podzwignąć toni,
Sąsiady zwalczyć, upokorzyć pany.
Napróżno na koń siadł z szłykiem na głowie.
Smieli się z mnicha Rycerza, Kniaziowie,
I jednéj nocy w Włodzimierza grodzie
Miecz zdradny w piersi bezbronne posłali;
Krew upłynęła ostatnia w cnym rodzie.
Oni się ciesząc, na bezpańską gnali

Litwę sierotę, co po swoich panach
Na mchem zarosłych płakała kurhanach.

I Krzyżak leciał część swojego łupu
Garnąć, Lach leciał na Wołyńskie włości,
Rusin Krewiczan chciał wziąść bez okupu,
A Kniazie Litwy w wzajemnéj się złości
Nad trupem matki o puściznę bili,
Krwią swoją ziemię użyźniając wrogów,
I jeden z drugim tłukli i walczyli,
Święcąc naprzemian wiarę swą i Bogów.

I długie walki, długie były boje,
Aż Gedymina prawicą objęta,
Litwa na rany zapomniała swoje,
Ale o zemście we wnukach pamięta.
Walczył Gedymin, walczy Olgerd z bratem,
W karki sąsiadów tnie ciężkim bułatem,
A każde cięcie krwi strumień wyciska;
Leje się! Lecz cóż na krwi Litwa zyska??

VIII.

Biruta siedzi u złotéj kądzieli,
I zwolna, myśląc, wyciąga nić długą;
Ilekroć wzrokiem spotka się ze sługą,
Pyta o Pana, czy go nie widzieli?
—Powiedzcie, Kiejstut nie wraca z wyprawy?
Nie słychać trąbki? nie widać kurzawy?—

A słudzy milczą, cisza wpośród grodu,
Cisza na jasném i gładkiém jeziorze,
Nie pyli droga. Drogą od zachodu
Wracać powinien Kiejstut o téj porze,
A jego niéma! Dnie samotne płyną,
I tęskniéj z każdą przebytą godziną.

Niéma Kiejstuta! Czy znowu Krzyżacy
Wzięli w niewolę zaciętego wroga?
—Powiedz mi, wietrze, powiedzcie mi, ptacy,
Czemu gród pusty, czemu milczy droga?

Powiedz, kukułko, zwiastunko dobrego,
Czemu mi Pana nie widać mojego??

Czemu łodź jego jeziora nie porze?
Nie słychać rogu, którym żonę wita?
Tyle już razy zagasały zorze,
A wzrok Biruty, próżno się on pyta;
I ranki wschodzą, i noce zapadną,
Dokoła z wieścią nie spotkać się żadną.

Czego tak długo bawi się na Żmudzi?
Wszak pobiegł tylko na Krzyżackie włości
Na siwym koniu, z małą garścią ludzi,
Z żagwią i mieczem do Krzyżaków w gości;
Wszak nasze wojny, jak burzy nachody,
Nazajutrz po nich, jednym śladem, szkody.

I czas powrócić, dość Komturów gonić.
Dwadzieścia ranków, jak już niéma wieści.
Biruta ciche łzy poczęła ronić,
A sercem przestrach owładnął niewieści.
Czy Kiejstut o swéj zapomniał rodzinie,
I gdzieś z obcemi czas mu miléj płynie?

Ona wygląda sama; przy jéj boku
Niéma Danuty — Danuta daleko!
Xiążę Mazowsza uwiozł ją od roku;
Pod obcym dachem, pod cudzą opieką;
Młode się dziewczę w Laszy kraj dostało,
A matce po niéj łzy puścizną całą.

Niéma Witolda—Witold nie wytrzyma
U kolan matki; on w podworce bieży,
Koni, orężów szukając oczyma,
Wieści o wojnie u starych rycerzy:
Pyta i slucha sercem stare dzieje,
I ręka drga mu, a głowa szaleje.

I teraz matkę odbieżał stroskaną,
Po nad jezioro leci z starym Grydą;
Młodzieńczą głowę sparł mu na kolano,
A myśli jego już na boje idą,
Już ostrzy miecz swój i konia dosiada,
Z ogniem i śmiercią lecąc w kraj sąsiada.

A matka duma i patrzy po drodze—
Droga ciemnieje, zachód gaśnie cały.
Oczy jéj we łzach, serce jéj we trwodze,
Duchy do uszu złowrogie szeptały,
Sen ciężki w nocy pierś cisnął stroskaną:
Nie ustał, choć ją rozbudziło rano.

Słucha—w oddali cóś zatętnia głucho,
Ktoś drogą pędzi. Kądziel z rąk wypadła,
Wstała, nastawia niespokojne ucho,
Ręce złamała, na twarzy pobladła,
I chciałaby się rzucić na jezioro,
Płynąć, by wieści dostać o nim skoro.

Już widny tuman. Może gnają stada?
Może z pol ludzie wracają na sioła?

Nie — bo jéj serce o wieści powiada,
Nie — bo jéj serce wielkim głosem woła:
—Kiejstut powraca z dalekiéj wyprawy!
Lecz czy zwycięztwem, czy swą raną krwawy?—

I róg się ozwał na przeciwnym brzegu.
Ona pobiegła, kędy łodzie stały,
Na przewozników, niespokojna, w biegu
Woła, wysyła, dwór wzruszyła cały:
—Pan wasz przybywa! lećcie! pan przybywa!
Róg się Kiejstuta nad brzegiem odzywa.—

I promy pędzą, łodzie się uniosły,
Laskami robią i długiemi wiosły,
Żeglują szybko po cichém jeziorze;
Jéj niespokojność, jak łódź fale, porze;
Czeka i czeka— nie widać ich w mroku,
Całun na ziemi, noc na bystrém oku.

Już bliżéj szelest i szum prutéj fali,
Już płyną, ale w milczeniu, bez krzyku;
Nigdy z zwycięztwem tak nie powracali.
Kiejstut bez burki, bez swojego szłyku,
Nie widać konia, siwego żmudzina,
Milczący Xiążę, niewielka drużyna.

I Witold skoczył, przeciw ojcu śpieszy,
I patrzy z matką. Już Kiejstut wysiada—
On klaszcze w dłonie, przybyciu się cieszy,
Wiesza u sukni, na ojca napada,

Matkę wyprzedził i odpiął miecz biały,
Krwi na nim wroga szuka zardzewiałéj.

A Kiejstut milczy, zimno syna wita,
Birutę, co mu do nóg się skłoniła,
Na zamek krótkim wyrazem odsyła,
Cóś do swych ludzi szepce, i nie pyta
O psy swe lube, o sokoły skore—
Znać na wyprawę wyjechał w złą porę.

W świetlicy zbroję pożyczaną zrzucił,
Kazał myć nogi; milczy, ciężko wzdycha,
Syna uściski, pytania odpycha,
Czoło pochmurzył, w sercu się zasmucił,
Jakby nie witał swych domowych Bogów,
Jak gdyby cudzych dotknął stopą progów.

Niosą mu wodę, róg Alusu złoty,
Sama Biruta podaje wieczerzę,
Z czoła pył sciera, a z serca tęsknoty
Próżno chce zetrzeć—nikt jéj nie odbierze.
Kiejstut milczący, srom na jego twarzy,
A w duszy zemsta gotuje się, żarzy.

Chwycił róg drugi, miodem się pokrzepia,
I westchnął ciężko. Syn się sukni czepia,
Pyta go: — Ojcze! powiedz, gdzieś był? drogi!
Czyli ci język odebrali wrogi?
Dla czego żony nie witasz i syna?
Siedzisz tak smętny? Gdzie smutku przyczyna? —

—Smutku?— rzekł Kiejstut, —nie smutek mam w duszy,
Zemstą ja płonę, bom upokorzony.
Wspomnienie hańby słowa w ustach kruszy.
Nie śmiém do dziecka ozwać się, do żony,
Bo raz już drugi więzy krzyżackiemi
Związanym jęczał. Chcę się mścić nad niemi!

I będzie zemsta!—porywczo zawoła.
Wysłałem ludzi, gromadzą się woje,
Nogóm nie spocznę, nie obetrę czoła,
Póki Krzyżakóm nie oddam za swoje.
Pozna mnie Henryk, żem się nie postarzał.
Nie zawsze będę u nóg mu się tarzał.—

Oni słuchają, on im opowiada:
—Wiécie, jak Winrych Kniprode niedawno
Wysłał w Ruś naszą psów niemieckich stada;
Lecz zanim wyszli, już nam była jawną
Wyprawa owa, i z Olgierdem razem
Szliśmy ich spotkać—żelazo żelazem.

Patryk był z nami, z nami lud dobrany.
Biegliśmy przeciw, piérwsi uderzyli,
Lecz, wstyd i hańba! zewsząd opasany
Lud nasz naprożno, i myśmy walczyli.
Darmo ja jeden, wiodąc mych Żmudzinów,
Wściekłem się dwakroć rzucał na psich synów.

Murem ze stali opasawszy ciała,
Gromada Niemców niewzruszona stała;

Strzały bezsilnie odbite od zbroi
U nóg padały; pałki, jak trzcinowe,
W rękach pękały. Już pierzchali moi.
Próżnom zachęcał, wiódł w potyczkę nową.

Zewsząd Krzyżaków moc nas opasała.
Olgerd z Patrykiem ze stratą wywiedli
Wojsko z zasadzki. Moja część została
Walczyć i ginąć. Przelękli, wybledli,
Ludzie się z pod mej wymykali dłoni,
W lasy skrywając od Niemców pogoni.

Wtém na mnie Henryk z Eckersburga zmierza;
Ja k'niemu; konie łbami się oparły;
On drzewcem długiém w siodło mi uderza;
Chciałem ciąć, padam napoły umarły,
I słyszę wrzawę, radośne oklaski,
Jęki Litwinów i Krzyżaków wrzaski.

Chciałem się dźwignąć—jak mrówie opadli,
Wnet więzy ręce i nogi krępują,
Na swego konia związanego kładli,
Wkoło się cisną, z placu ustępują;
I widzę jeszcze, jak Patryk na ziemi,
Spadłszy, z zbójcami bije się wściekłemi.

Ale go Litwa z niewoli odbiła.
Mnie wiodą szybko; odetchnąć nie dali,
Dzień i noc aż do Malborga jechali;
Aż się przede mną brama otworzyła,

Któréj myślałem, że nie przejdę żywy—
By do was wrócić! Wróciłem szczęśliwy.—

Złamany padłem boleścią i trudem,
Kędyś w ciemnicy głębokiéj zamknięty,
Płacząc nad sobą, płacząc nad mym ludem,
Żarty boleścią i zemstą przejęty.
Noc była—prędko znużenie owładło
I snem żelaznym na powiekach siadło.

Budzę się- ranek przez okno już wpada;
O, smutny ranek, co wita przez kraty!
I światłość jego jak tęskna i blada!
Obejrzę ściany podziemnéj komnaty:
Widać Krzyżacy zgotowali wcześnie,
Albo ciemnicę przybrali mi we śnie.

Dokoła wisiał kobierzec bogaty,
Dzbany srébrzyste na podłodze stały.
I miękkiem znalazł zgotowane szaty,
I przybór wszelki, i porządek cały.
Chcieli, bym, jak źwierz, zapomniał mą dolę,
Jak gdyby można osłodzić niewolę!

Jam szaty targał, przybory deptałem,
Porwałem kratę, wyjrzeć na świat chciałem;
Niebam nie ujrzał, tylko ziemię czarną
I jakieś Niemców postacie poczwarne,
Co, szemrząc cicho, snuły się po murach
W sukniach wlokących i czarnych kapturach.

Wtém u drzwi ciemna zadrżała opona,
Ktoś wszedł. Jam twarz swą odwrócił do ściany —
Niech wróg nie patrzy, jak niewolnik kona.
Niechaj z boleści nie szydzi pijany,
Nie ujrzy twarzy, głosu nie posłyszy,
Tchnienia ostatku, co mi w piersiach dyszy.

Aż głos Litewski posłyszałem znany.
Marzeniem—myślał—sen to nocny jeszcze,
Odbiły w uszy obłudny głos ściany;
A może wróżba? może słowa wieszcze?
Kto wié? Wtém znowu głuchą przerwał ciszę;
Mowę Litewską, język bratni słyszę.

I twarz odwracam, patrzę - we drzwiach blada
Postać znajoma, lecz suknie niemieckie;
Szepce cóś do mnie i czołem przypada.
Pokłon to szczéry? podejście zdradzieckie?
Wierzyć głosowi? czy milczeć do końca?
Szpiegli to Niemców czy Litwin obrońca?

I patrzę w oczy. Na Bogi! poznałem —
Stary to sługa. Dawno, dawno temu,
W bitwie wziętego Alfa opłakałem.
Zkądże Alf tutaj? do mnie przyszedł? czemu?
Czy z ziemi wschodniéj duch się jego zjawił,
Ażeby pana z niewoli wybawił?

—Mów, Alfie!—wołam—ty stary mój sługo!
Gdzieś krył się, kędy przebywał tak długo?

Czy żyjesz życiem naszém? czy cię Bogi
Ze wschodniéj ziemi na stos mój przysłały?
Śmierci to wyrok, czy swobody drogiéj?—
On zmilkł, a palce na drzwi mi wskazały.

Zniknął; lecz wieczór znowu Alf przychodzi,
I mówi:—Panie! jam w Niemców niewoli.
Rok już dziesiąty cięższkiéj płynie doli,
A dzisiaj mi ją dopiéro los słodzi.
Chrześcjanin jestem, lecz w duszy mi Bogi
I wiara dawna, i kraj jeszcze drogi.—

Dziesięć lat ciężkich przebyłem, o Panie,
Służąc wrogowi, myjąc obcym nogi,
A za posługę, tylko urąganie,
Kajdany ciężkie miałem i wzrok srogi.
Teraz mi wierzą!—o! nie znają ludzi!
Z snu lat dziesięciu jedna chwila budzi!

Sługą jam twoim—miéj nadzieję, Panie!
Oto żelazo—pod kobiercy temi
Łatwo otworzyć mur w pobocznéj ścianie.
Koń na cię czeka z sukniami mniszemi.
Wiém, jak się cieszą, że Kiejstut w niewoli,
I wiém, jak twoja wolność ich zaboli.—

—Ty ze mną, Alfie!—Ja tu—rzekł—zostanę.
Starym, a zemsty jeszcze mi nie dosyć.
Wpośród nich pomszczę niezgojoną ranę.—
—Oni zabiją.—Wiém, jak się wyprosić,

I o śmierć nie dbam. Idź, wyłamuj ścianę;
Ja u drzwi twoich na straży zostanę.—

Trzy dni i nocy, po jednym kamieniu,
Żelazem, ręką, szarpałem w milczeniu;
Otwór kobierzec zasłaniał nad łożem;
Nareszcie gwiazdy ujrzałem na niebie;
—Alfie!—krzyknąłem—już uciekać możem.—
On szepnął:—Jutro, koń czeka na ciebie.—

Czekałem jutra. On mi przyniósł szaty,
Komtura oręż, biały płaszcz na zbroję,
I hełm złocony, i pancerz bogaty,
Sam wdział, ucieczkę przygotował moję,
I łzą żegnając, rzekł:—Pamiętaj, Panie,
Na sługę swego, który tu zostanie.

Koń u wrót czeka, jedź wolno ze grodu;
Chociaż dzień świeci, nikt nie pozna ciebie;
Potém bież szybko do słońca zachodu.
Dobieżysz lasu za słońca na niebie.
Daléj niech Bogi Litewskie cię bronią
I przed niemiecką ukryją pogonią!—

Jak rzekł, tak było. Wśród ludu, w południe,
Na czarnym zwolna jechałem bachmacie.
W ulicach było i gwarno i ludnie;
A gmin, poznając starszego po szacie,

Bił mi pokłony, gdym wyjeżdżał z grodu.
W lesie stanąłem w godzinie zachodu.

Jam konia puścił; nienawistne szaty
Zdarłem i w błocie nogami zdeptałem;
Trzy dni, o głodzie, bez snu, ciężkie czaty,
Słuchając głosu pogoni, sprawiałem;
Czwartego, drąc się puszczą i gąszczami,
W Mazowszem dążył bez drogi, nocami.

Gwiazdy mnie wiodły, mchy na drzewach wzrosłe;
Jagodą śpiekłe gasiłem pragnienie;
W dzień się na drzewa drapałem wyniosłe,
I gdy dokoła głębokie milczenie,
Jak ptak na wiotkiéj gałęzi zwieszony,
Chwilą̨m snu siły krzepił wycieńczony.

Nareście Bogi do Danuty cało
Dojść mi pomogły. Zaledwo poznali,
Tak zdarta suknia, tak zranione ciało,
Tak głód, niepokój, twarz mi poorali!
W łachmanach, z kijem, z podartemi nogi,
Wpadłem bezsilny na znajome progi.

Trzy dni na łożu, w łaźni się krzepiłem,
Snem się i miodem z kolei poiłem,
Aż znowu siła wróciła, i ciało
Wspomnieniem zemsty i żądzą zadrgało.

Wróciłem, ale nie spoczywać gnuśnie.
Kiejstut spokojnie bez zemsty, nie uśnie.—

Rzekł, i do swoich bieży, ludzi woła,
Nie kładł się w łoże, nie usiadł do stoła,
Witolda ręce odepchnął, nie słucha
Biruty cicho szepcącéj do ucha,
Aby na jutro swą zemstę odłożył.
Stary Kunigas odmłodniał i ożył.

IX.

Rannemi brzaski niebo świeci wschodnie,
Cicho na ziemi, wesoło, pogodnie,
Ptacy śpiewają, drzewa szumią w lesie,
Jezioro srébrną pianę na brzeg niesie.
Któżby pomyślał o zemście, o wojnie,
Kiedy tak lubo, cicho, tak spokojnie?

O! próżno świat się w wdzięczną stroi ciszę,
Ptacy śpiewają i perlą się rosy,
W złocistą szatę stroją się niebiosy!
Czyż to zranioną duszę ukołysze?
Czyliż to zemstę wrzącą uspokoi,
Która krwi pragnie, krwią się tylko poi?—

Kiejstut na konia siada biedz za wrogiem;
Żony nie żegnał, nie uściskał dziecka,
Ani z domowym pożegnał się progiem.
Jemu na myśli tylko krew niemiecka,

I bój z Niemcami, wojna i pożary.
Na wszystkich razem chce zemsty i kary!

A Witold ojca w progu hamuje:
—Ojcze mój! ojcze! weź z sobą na wojnę!
W domu ja tęsknię, w domu ja próżnuję,
Tak gnuśne wiodąc życie, tak spokojne!
Pokocham wczasy, gdy weźmiesz na boje,
Jeśli nie dźwigną miecza ręce moje.

Weź mnie na wojnę! Ja już mieczem władam,
Zbroję uniosę i konia dosiadam,
Łuku naciągnę, strzałów się nie zlęknę,
Raniony w boju na ranę nie jęknę.
O! weź mnie, ojcze! ja ciebie obronię,
Piersiami memi ja ciebie osłonię.—

A Kiejstut głową potrząsnął zsiwiałą.
—Czekaj! Niedługo będziesz wzrastał w siły.
Chwilę poczekaj jeszcze, chwilę małą.
I mnie tak niegdyś wojny się już śniły,
Gdym mieczem jeszcze nie władł, i bezsilny
Mamił się, w zapał mój wierząc omylny.

Czas tobie jeszcze! Może ojca głowy
Mścić będziesz, synu! Czekaj, bądź gotowy.
Jeśli nie wrócę, padnę na wyprawie,
Tobie krwi mojej pamięć pozostawię.
Rośnij. Sił trzeba, aby Litwy bronić,
Piersi, jak twoje, aby ją osłonić.—

Kiejstut już płynie. On stoi u brzega,
Załamał ręce, twarz mu żądzą pała,
Żądzą młodzieńczą. Odmowa podżega.
Matka, co stała opodal, słuchała,
W drżące objęcia swego syna wzięła,
I milcząc, płacząc, do piersi cisnęła.

On pobiegł ukryć wstyd i żałość swoją;
Niewolnik, wyspę obieżał dokoła,
Siadł na łódź, z łukiem nie mogąc i zbroją
Walczyć, chce z wodą, i na sługi woła,
I płynie w lasy ze źwierzem bojować,
Aby krwi dostać i boju skosztować.

X.

Na Johannisbergskim grodzie
Cicho, spokojnie; wieść żadna
Braci i mnichów nie mięsza.
Idą z jutrzni, z paciórkami,
I ziewają, pomrukują,
To na niebo poglądają,
To do siebie cóś przemówią;
Jedni w łowy się wybrali,
Drudzy w pogan sioła idą
Za daniną, za zbiegami;
Kilka starców tylko w chórze
Nóci pieśń rozbitą piersią.
Nagle wrzaski, krzyk, popłochy,
Wrota z trzaskiem zamykają,
Wszyscy pędzą się na mury,
Nawet starce z chóru biegą,

Młodź za oręż chwyta skora,
Konie siodła, ludzi zbiera.
Na dolinie tuman pyłu;
Po chorągwi znać czérwonéj,
Po maleńkich koniach Żmudzi,
Kiejstut swoich wiedzie ludzi:
Nie na sioła to bezbronne,
Lecz na zamki, lecz na grody.

—W Imie Jana! héj! kto żyje,
Kto udźwignie oręż, łuki,
Niech na mury śpieszy z nami!
Wróg nasz liczny; już nam wyje
W uszy pieśnią swą pogańską.
Prędzéj! do wrót i na mury!
Dość się modlić, odpoczywać,
Trzeba bronić! Ognia, wrzątku
I kamieni mu na głowy!
Powitamy, odepchniemy!
Niech zuchwały się nie waży
Na nas drugi raz porywać.—

Tak wołają, i co żyje
Na wał leci i na blanki,
Przez strzelnicę łuki mierzą,
Z murów kamieniami sypią,
A pogański zastęp mnogi
Zewsząd już otoczył górę,
Wszystkie wrota opanował,

Wszędzie zaszturmował razem;
Pod bramami ogień niecą,
Po drabinach na wał drapią;
Śpiewając, konają jedni,
Śpiewając, cisną się drudzy.

—To szarańcza!—Komtur woła—
Bracia! w Imię Boże! żywo!
Gaście ognie, brońcie bramy!—
Ale próżno, bo Litwini
Już płonące sieką wrota,
Już się cisną, w zamek gnają,
W cztéry rogi podpalają,
Wiążą, gniotą i ścinają,
A gdy zgliszcze pozostało,
Mur się zwalił, zamek spalił,
Z pieśnią zwycięztw odciągają.

Tam u morza, u wód białych,
Większy zamek, większe łupy—
Pociągnęły zbrojne kupy,
Strzały świszczą, ognie błysły,
Gdański gród w płomieniach stoi.
Nie spodzieli się Krzyżacy;
Ledwie zbroje na się wzięli,
Ledwie oręża dobyli,
Już więzami skrępowani,
Leżą na stosy zwaleni.

Kiejstut jeszcze nierad zemście,
Kiejstut daléj jeszcze bieży.

W niewolnika Niemców tłumie
Szukał naprożno Henryka,
By się na nim mścić niewoli.
Nikt nie wiedział o Henryku.
—A więc w domu go znajdziemy,
W Eckersbergu on ucztuje.
Pójdziem w gości, go powitać
I zaświecić mu do uczty!—
Znowu bieży i nie staje,
Aż pod zamku dopadł wrota.
Henryk wyszedł sam na mury,
I zbladł, poznawszy Kiejstuta.

Próżna walka z garstką małą.
Szedł się modlić, zamknął bramy,
A na murach nie zostało,
Tylko kilku z Niemców braci.
Komtur zbroję wdział stalową,
Płaszcz wojenny, hełm świecący;
Wié, że w ofierze pogańskiéj
Męczennikiem dzisiaj spłonie;
I modli się, i spowiada,
I pobożnie złożył dłonie;
Słucha, rychło wroga ręka
Chwyci go i precz wywlecze?

Henryk upadł u stóp krzyża;
Wrzawa co chwila się zbliża;
On się modli; wié, że śmierci
Już mu wybija godzina;
Słyszy w uszach głos Kiejstuta,
Słyszy już swych braci jęki;
Dosyć czekać! sam wychodzi.
Kiejstut przeciw niemu goni,
Hełm strąca, za włos porywa.
—A! trzymam ciebie, psi synu!
I zemsta moja gotowa,
Gotowa Bogóm ofiara! —

Henryk słowem ni skinieniem
O łaskę wroga nie prosił,
Wzrok tylko w niebo podnosił
I wszystko zbywał milczeniem.
A już się stos z bierwion suchych
W podworcu wielki zapalił;
Sam Kiejstut swoję ofiarę,
Wepchnął na jego wierzchołek;
Stanął i patrzy z pociechą,
Jak w mękach Niemiec wróg kona;
A tłuszcza w ręce poklasła,
I wielkiem — Łado! — zawrzasła. —

Teraz w pień załogę całą!
Lecą, i cięli bezbronnych

Knechtów i braci zakonnych.
Krwią się podwórce oblało,
A krew, pożoga, popiołem
Gorącym sypiąc, pokrywa.
I trzeszczą dachy i wieże,
Padają mury i wrota.
Litwa łup unosi tylko,
Koni niemieckich dosiada,
A leżąc wkoło obozem,
Na pożar lubo poglądа.

Ale niedługo ich radość.
W Gdańsku Kollina zabrano.
Krzyżacy za jeńcem gonią
Z Restemburg i Bartensteinu.
Lecą w pogoń Komturowie.
Już szpiegi o nich znać dają
Kiejstutowi. I łup cięży,
I walką znużył się długą:
Ale miałżeby uciekać,
Gdy jeszcze krwi się niemieckiéj
Choć kropelkę napić może,
I dłużéj w szable podzwonić?

Noc czarna z trwogą nadchodzi,
A z nocą czarni Krzyżacy.
Lud we śnie szuka spoczynku;
Wrzaskiem zbudzony do bitwy,
Oręża znaleźć nie może.

Więźnie łyka potargali
I broń litewską porwali.
Sam Kiejstut konia dosiada
I chce ucieczką już bronić;
Werner Windecken nań wpada.
Niema tarczy, by zasłonić,
I z konia do niego zsiada.

Pieszo się spotkali oba.
Nierówna walka—tuż bratu
Na pomoc śpieszą Krzyżacy.
Komtur Nieszowski go rani,
Windecken mieczem już płata,
A Bartenstejnski na ziemię
W krwi płynącego obalił.
I słychać głosy zwycięztwa,
I pierzcha Litwa do lasów.
Kiejstut znów wzięty w niewolę
Jęczy związany na ziemi,
Targa się z więzy swojemi.

XI.

Dość jednéj rany na ciało,
Dość jednéj na duszę rany,
By człek i szczęścia przeszłego
Zapomniał, i dni pogody.
Cóż, gdy boleść niezgojona,
Nową raną się podwoi,
Nowy ból wpije do łona?
Wówczas rozpaczą targany,
Człowiek śmierci tylko woła,
I końca wzywa męczarni;
A każda chwila, co płynie,
Równa się wiekóm, tak długa!

Kiejstut zamknięty w ciemnicy,
Wlepił krwawe oczy w ziemię,
Nie jęczy, ani wyrzeka,
Milczący śmierci swéj czeka,

Ani w wybawienie wierzy;
Nie spójrzał po swém więzieniu,
Nie rzucił okiem na straże;
Siedzi i kona w milczeniu,
Siedzi, umysłem na Litwę
Gnając, gdzie dziecię zostało,
Co śmierć jego pomścić może,
Co za krew krwią Niemców spłaci.

Noc idzie, głosu ludzkiego
Nie słychać; tylko gdzieś straże
Stąpają wkoło; chrzęst zbroi,
Mieczów brzęk do ucha wleci;
To znów milczenie grobowe!
Mury wilgotne, milczące,
Nad więźnia zgięły się głowę,
Jak wyrok nad nim wiszące,
Wyrok, co straszy, nim spadnie;
Długo po nad nim kołysze,
Aż żelazną, zimną dłonią
I kark i serce ugniecie.

Noc idzie — rygle powoli
Rozsuwa ręka strażnika.
Ciemno. Ktoś stąpa w ciemnicy
I cicho pyta Kiejstuta.
On milczy. Głos mu nieznany,
Głos Niemca. Chwilę on uszy

Nastawił, myśląc, że Alfa —
Litewską mowę usłyszy;
Ale ktoś wita grobową
Wrogów niepojętą mową,
Ktoś wita szyderstwem może.
Lepiej, że Kiejstut nie słyszał.

Milczenie. — Kniaziu Kiejstucie! —
Ktoś znowu szepce mu zcicha — .
Czyliż już głos ci znajomy
Uszu ni serca nie dotknie?
Takeś strapiony na duszy,
Takeś stłuczony na ciele,
Że głos przyjaźni nie wzruszy
Uszu ni serca twojego?
Odpowiedz, Kniaziu Kiejstucie!
Głos wszakże pyta cię znany.
Ten, co ci niesie pociechę,
Gościem na zamku był twoim. —

I Kiejstut rwie się z pościeli,
Augustyn Komtur! poznaje.
—Czy szydzić ze mnie przychodzisz?
Czy śmierć mi rychłą zwiastować?—
—Nie szydzić przychodzę, Panie,
Ani śmierć tobie zwiastować;
Z pociechą idę do ciebie.
Twéj córki jam chrzestny ociec,

I tobie, Panie, pokrewny,
Niosę na duszę ochłodę,
Niosę ci, Kniaziu, swobodę.
Wstawaj i prędzéj idź ze mną.—

On słowom jeszcze nie wierzy.
—Ty, Niemiec, miałżebyś wroga
Na karki własne wypuścić?—
—Chrześcianin, mego Boga
Spełniam rozkaz —" Komtur rzecze.—
Nieprzyjaciołom darować
On kazał, nie mścić się winy,
Dobrém za złe im odpłacać.
Wiém, że nie wszyscy Zakonu
To uczucie w sercu mają.
Ja, ojca córki méj chrzestnéj
Z srogiéj chcę wywieść niewoli.

Może ty za to, o Kniaziu,
Gdy wojnę znowu w kraj naszy
Nieść będziesz, jako bicz Boży,
Wspomniawszy na Augustyna,
Przebaczysz komu z méj braci;
Może — ach! modlę się o to—
Ty kiedyś błędy porzucisz,
Świętéj się wierze nawrócisz.
Już jedno z dzieci twych przecie
W Chrystusa imie ochrzciłem.

Idź i pomnij, że w Zakonie
Nie wszystkie zemstą tchną serca.

Oto płaszcz i kaptur mniszy;
Wdziéj na się, uchodź; u bramy
Powiedz, żeś z wieścią posłany
Od naszych do Marii grodu.
Oto jest pismo. Uciekaj!
Koń na cię czeka u fórty.—
A Kiejstut słucha, nie wierzy,
Na szyję padnie Komtura.
—Miecza daj! miecza na drogę!
Bez miecza jechać nie mogę,
Jak ptak bez skrzydeł ulecieć.
Miecza na drogę, Komturze! —

Komtur od pasa odczepił
Miecz długi, ręką dał drżącą,
I przez drzwi biegł już otwarte.
Kiejstut szybko mijał wartę,
Wnet bramy przeszedł i mury,
Siadł na koń, leciał ku Litwie,
I znowu wolny, powietrzem
Piersią széroką oddychał;
A krótka jego niewola,
Jak sen się ciężki wydała;
I śpieszył na Trocki zamek,
By nowe wojsko zwoływać.

Idź i pomnij, że w Zakonie
Nie wszystkie zemstą tchną serca!

Oto płaszcz i kaptur mniszy;
Wdziej na się, uchodź; u bramy
Powiedz, żeś z wieścią posłany
Od naszych do Mary grodu.
Oto jest pismo. Uciekaj!
Koń na cię czeka u fórty.—
A Kiejstut słucha, nie wierzy
Na szyję padnie Komtura:
— Miecza daj! miecza na drogę!
Bez miecza jechać nie mogę,
Jak ptak bez skrzydeł ulecieć.
Miecza na drogę, Komturze! —

Komtur od razu odpasał
Miecz długi, ręką dał drżącą.
I przez drzwi biegł już otwarte.
Kiejstut szybko minął warte,
Wnet bramy przeszedł i mury,
Siadł na koń, leciał ku Litwie,
I znowu wolnym powietrzem
Piersią zdrową oddychał.
A krótka jego niewola
Jak sen się wnet wydała;
I spieszył na Trocki zamek,
By nowe wojsko gotować.

XII.

Troki i Wilno sąsiadują z sobą,
Blizkie, jak serca Olgerda, Kiejstuta.
Tyle lat oni i bojów przeżyli,
A nigdy chmura na braterstwa niebie
Burzą i gromem im nie zagroziła.
Dzieci chowają, w puściznie im drogą
Przyjaźń na serca wszczepiając młodzieńcze,
Bo Litwie zgody potrzeba i siły,
I rąk, coby ją ściśnięte broniły.
Olgerd i Kiejstut, jak dwa palce dłoni,
Związani z sobą; nic ich nie rozdzieli.
Kiejstut przed starszym siwą głowę kłoni,
Lecz Olgerd serce dla brata otwiera.
I mówi Kiejstut Witoldowi swemu:
—Pomnij, rodzeństwo Olgerdowe, synu,
Bracia to twoi; zgoda między wami,

Losy to Litwy i przyszłość jéj cała.
Olgerdowicze i wy póki w zgodzie,
Dopóki przyjaźń w bratnim wytrwa rodzie,
Dopóty Litwa wrogóm się ostoi. —
I mówi Olgerd Jagielle starszemu:
—Pomnij, Kiejstuta dzieci, bracia twoi.
Jak ja Kiejstuta, ty ich kochaj, synu!
Razem, wy silni. Pomnijcie, jak Litwie
Niezgoda krwawe rozdarła wnętrzności.
Pomnij, za dziadów ilekroć się bracia
Zadarli z sobą, wróg zawsze korzystał:
Jednego ciągnął i bił nim, jak mieczem,
Jednego puszczał na drugich ogarem,
A kiedy wszystkich wycieńczył, na wszystkich
Szedł i zwyciężał! Na waszych ramionach
I losy kraju, i wasz los jest przyszły.—

Tak młode łącząc bratnim węzłem dłonie,
Kiejstut z Olgerdem spokojnie patrzali
Na starość, która marszczyła im skronie,
Na przyszłość, która wschodziła w oddali.

Był u Olgerda starszy, u Kiejstuta,
Jagiełło, Witołd, rówieśnicy z sobą;
Oba u ojców jak źrenice w oku,
Dwie latorośle u dwóch dębów boku;
Na nich nadzieje przyszłości ojcowskie;
I jako z siedmiu synów Giedymina
Olgerd a Kiejstut świecili nad Litwą,

Tak po nich Witold z Jagiellą ojcowskie
Zająć dzielnice; słońcami wejść mieli,
I stać na straży od napaści wroga,
I stać na straży od wnętrznéj niezgody.

Oba dorośli — nie jednacy oba.
Na Trockim zamku Witold się hodował;
A wojną młoda pałała źrenica;
Miecza w kolebce dziecięciem probował;
Wprzódy nim chodził, już rwał się do koni;
A gdy bojowy róg na wojnę dzwoni,
To klaszcze w dłonie, śmieje się dziecina.
Ilekroć ojciec na siwego siadał,
Wieszał się burki, do boku się czepiał,
I płakał, że go na wojnę nie brali.
On między chłopiąt, rowieśników gronem,
Dębem był młodym, co wyrość rokuje
Puszczy ozdobą, Perkuna świątynią.
Oko mu czarne ogniem duszy wrzało,
Piersi wzdymały na boju wspomnienie,
A dłoń szukała nie zabawek dziecka,
Miecza ciężkiego, szłyka wojennego.
Łza z jego oka nie trysła wezbrana,
Serce się miękkiém nie wstrzęsło uczuciem;
Chyba gdy wojnę wspomniał, któréj pragnął,
Na którą próżno za ojcem się zrywał,
Serce mu twarde na chwilę zabiło.
I w duszy jego nie było miłości

Ku ludzióm; nie miał, kogoby ukochał.
On rozkazywał, nieposłusznych gromił,
A pacholęta na jego skinienie
Drżały, przed panem lasów jak drży zwierzę.
Cudzéj on rady nie wezwał, nie prosił;
Wzgardą za radę i za miłość płacił.
Czuł siłę w sobie, gryzł ojcowskiéj woli
Wędzidła, kopiąc niecierpliwy ziemię.

Inny Jagiełło. On sercem za młodu
Więcéj żył, boju nie pragnął gorąco;
Lubił samotność i słowika śpiewy,
I kwiaty, dzikich puszcz Litwy mieszkańce.
Nieraz u Wilii, u Niemna, wieczory,
Siedząc nad brzegiem, w zadumie przepędzał;
Patrzał na wody, jak kędyś leciały,
Patrzał na chmury, jak się białe gnały,
Jak się z wiatrami kołysały drzewa,
Słuchając pieśni lubego słowika.
I jemu nieraz na dźwięk rogów boju
W sercu krew starych ojców się rzuciła;
On chwytał oręż, lecz pragnął pokoju,
I szukał sercu swemu towarzysza.
Samotny, tęsknił nie za wojny wrzawą,
Za przyjacielem, za nieopisaném
Czémś, do czego się rwą niewieście dusze;
I wieczną próżnię czuł w sobie, i wiecznie
Tęsknił on za czémś, czegoś oczekiwał;

Z rowieśnikami nie panem i wodzem,
Był przyjacielem: jednego obierał
Jednemu serce i duszę otwierał;
I potrzebował, by ręka silniejsza
Wiodła go z sobą, myśli mu natchnęła
I panowanie nad sercem objęła:
Jagielle trzeba przyjaciół — za młodu
Z pachołąt swoich on dobiera sobie,
Prostych wieśniaków przyciąga i wabi;
Ni rozkazuje im, ani ich pędza,
Ale, jak ptaki nęcą, sypiąc ziarno,
Tak on ich wabi, słodkie sypiąc słowa.

On i Wojdyłło razem w Wilnie wzrośli,
Wojdyłło, biedne opuszczone dziecię;
Do ciężkich posług na Olgierda dworze
Z młodu mu serce i plecy nagięto;
Wojdyłło jednak Xiążęcego syna
Łaski zawcześnie zaskarbił i umysł
Poddał już sobie; niewolnik, sierota,
Jagielle bratem stał się, przyjacielem.
Olgerd to widział? Nie widział, bo dziecię
Rosło swobodne, a nikt nie naginał
Xiążęcych synów do wielkiej przyszłości.

Jak dzikie kwiaty, Xiążęcy synowie
Rośli, bujając po Ponarskich górach,
Z Wilją na czółnie pływając z rybaki,
Z osocznikami w las pędząc na łowy.

A wszędzie młode pacholę Wojdyłło
Jagielle Panu towarzyszył swemu.
Jeśli się wahał, okiem wzywał rady;
Wojdyłło radę z uśmiechem poddawał,
Wojdyłło rękę w złym wyciągnął razie,
Wojdyłło plecy pod pletnią nastawiał.

I rosła przyjaźń, jak dwie rosną brzozy,
Co u pnia z jednéj wywiną się kory;
A choć się jedna ku ziemi pochyli,
Druga wysoko gałęźmi wystrzeli,
Zawsze są z sobą i wspólny los dzielą.
Wojdyłło w zamku najlichsze posługi
Spełniał, nie szemrząc; Jagiełło mu nie raz
Jaśniejszą przyszłość cicho obiecywał;
Jagiełło mówił:—Ja w tobie mam brata,
Ty we mnie brata na przyszłość mieć będziesz.—

Tak żyli w Wilnie. A Witold? On nie miał
Przyjaciół. Orzeł sam buja w powietrzu,
A kiedy orła drugiego zobaczy,
Nie bratać z nim się, ale walczyć leci.

XIII.

Nie z jednym Litwa wojuje Zakonem;
Ruś ją ścisnęła dokoła,
Z orężem w górę wzniesionym
O zabrane kraje woła.

A Olgerd wielki trzyma ją w postrachu,
Nad Rusią Litewską czuwa,
Odbija cięcia zamachu
I wgłąb' się coraz posuwa.

I jedną ręką nieprzyjaciół siecze,
Drugą wyciąga w przymierze;
Gdzie krew w bojowisku ciecze,
On ślub z pobitemi bierze.

Kiejstut Litewskich od Zakonu włości,
Olgerd ich od Rusi broni,
A gdy wielkiéj siły w gości,
Wielkiéj potrzeba pogoni,

Naówczas oba połączają dłonie,
I razem idą na boje,
W wzajemnéj stając obronie,
Miecze, serca łącząc swoje.

Oni, przy ojca poprzysiąglszy stosie
Bratnią przyjaźń, bratnią zgodę,
W poźniejszych wojnach i losie
Przysięgi strzymali młode.

I Kiejstut kiedy Jawnuta wygonił,
Czapki nie włożył na skronie,
Starszemu bratu pokłonił,
Jemu rząd Litwy dał w dłonie.

Odtąd obadwa sąsiady wojują,
Obadwa lenników gniotą,
O łup z sobą nie targują,
O brańców, ziemie i złoto.

Teraz Olgerda Kiejstut w pomoc wzywa,
Zakon do wojny go łudzi,
Wojsko ze wszech stron przypływa,
Z Tatar, Rusi, Litwy, Żmudzi.

— Czas, mówi Kiejstut, młode ptaki wprawić,
Bo gdy stare siły stracą,
Komu nieprzyjaciół dławić?
Niech oni za nas zapłacą. —

Witold do wojny duszą się wyrywa,
Ledwie go wstrzymać w komnacie,
I Jagiełło jéj wyzywa.
Synów z sobą bierzmy, bracie! —

I wzięli synów; do Sambij wkraczają
Na dwoje wojska rozbite,
Otelsburg oblegli zgrają,
Palą, i boju niesyte,

Pędzą na Rudaw. Pod Rudawskim grodem
Czarne pustką stoi sioło.
Przed wrogiem przestrach szedł przodem,
Wymiótł — pustynia wokoło.

Tylko na zamku bracia się zamknęli,
Bo gród warowny na górze,
Knechtów i lud swój ściągnęli.
Błyskają zbroje na murze.

Kiejstut z Olgerdem obozem tu legli,
By wojsku wypocząć chwilę,
By zamku lepiéj ustrzegli,
I w spoczynku, swojéj siłe

Dali znak w Prussy széroko pustoszyć.
Codziennie ufce latały,
By lud wylękniony płoszyć,
Ogniami zażedz kraj cały.

Winrych Kniprode Mistrz nie spał; on wiedział,
Że w jego włościach wróg zjadły
Na zgliszczach spokojny siedział,
Gryzł kraj, jak owoc upadły.

Ciągnął Kniprode na obóz Litwinów.
Oni pod Rudawskim grodem,
Starcy zaprawiają synów
Codziennym w walki pochodem.

Witold wybiega na Żmudzinów czole,
Pali, niszczy, i niesyty;
Jak koń, gdy wyleci w pole,
Ziemię rozbija kopyty. -

Jagiełło smutnie za siebie ogląda,
Za Wilnem i za spokojem;
Serce nie bije za bojem,
Przyjaciela swego żąda.

A Winrych ciągnie przez kraj spustoszony;
Litwin go czeka, i co dnia
Nowym łupem obciążony,
Codzień Litewska pochodnia

Podpala nowe i pustoszy sioła.
Prussy do Mistrza swojego
Z żałobą i płaczem biegą,
Kraj cały o pomoc woła.

Stanęły wojska pod Rudawskim grodem,
Dwa rozsypane mrówiska:
Kiejstut, Olgerd idą przodem,
I chorągiew Mistrza błyska.

Oczyma zetkną się, siły swe liczą;
Krzyżak krew przelaną mierzy,
Litwin się cieszy zdobyczą;
Wnet ulice w ulice uderzy.

[illegible] w [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]

[illegible] w polu,
[illegible]

[illegible]
Za [illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

XIV.

Stanęły, patrzą dwa wojska na siebie,
Oczyma wodze lud zebrany liczą
Kiejstut i Olgerd po sobie spójrzeli,
Potém na synów niespokojnym wzrokiem.
—Bitwa to krwawa, bój nielada będzie!
Młodym ptaszętóm zatrudne to pole.
Odprawmy dzieci, niech jadą do domu.—
—Odprawić!—Witold do ojca zawoła—
Uciec przed bitwą z sercem pełném sromu!
Lepsza śmierć, ojcze, niż hańba tak sroga!—
Jagiełło milczał, Olgerd milczał stary,
I Kiejstut umilkł. Wtém Winrych do boju
Dał znak, i ciężkie zastępy stalowe
Na lewe skrzydło Olgerda uderzą.

Kiejstut już podbiegł na siwym swym koniu,
Z Olgerdem dzieci, dając znak, zostawił.
A Olgerd? Nigdy nie stał tak do walki.
Sam nieraz w szyki rzucał się, jak w fale,
A kędy stąpił, rozprysły się przed nim;
Teraz na syna z trwogą się ogląda;
I każda strzała, co z kuszy wyleci,
Głowę i serce odrywa do dzieci;
I każdy rycerz, co się na nich rzuci,
W tył go na syna odwraca obronę;
Nie umié walczyć; w pocie siwe czoło,
Serce w krwi pływa; piérwszy raz on w boju
Uląkł się wroga i dał znak odwrótu.
Napróżno Witold zostać się napiera,
Wyrywa swoim, chce do ojca gonić.
Olgerd otoczyć każe i ucieka.
A Witold ojca wielkim głosem woła:
—Został! sam został! jabym miał go rzucić?—
Nic nie rzekł Olgerd, lecz nie dał się wrócić.

Litwa w ucieczce, lecz drogo kupili
Krzyżacy swoje zwycięztwo kłamane—
Pozostał Kiejstut i po stali siecze,
A młoty Litwy hełmy z głów zsadzają,
Pole się braci trupami uściela,
Tłuszcza się Niemców, jako las, zwaliła,
A dwóchset braci z krzyżami czarnemi
W krwią pobroczonych białych płaszczach tarza;

Już mężny Kuno Hatlenstein na ręku
Krzyżackiéj braci wielką oddał duszę;
Schindekopf goni za wojskiem Kiejstuta,
Lecz w sercu strzała uwięzła litewska,
I do Labtawa nie dobiegł za niemi,
I skonał mężny pod rany ciężkiemi.

Jeszcze podziśdzień krzyż od wieków wbity,
Pomnik zwycięztwa krwią opłaconego,
Stoi i smutnie pogląda ku Litwie,
Stoi i smutnie powiada o bitwie.

Juz męczy Kuno Hallenstein na ręku,
Krzyżackiej braci wielką oddał duszę;
Schindekopf goni za tęgskiem Kiejstuta...
Lecz w serce strzała utkwiła litewska
I do Lahlawy nie doszedł za niemi,
I skonał męczarny pod rany ciężkiemi.

Jeszcze podziśdzień krzyż od wieków ubity
Pomnik zwycięstwa krwią opłaconego,
Stoi i smutnie pogląda ku Litwie,
Stoi i smutnie powiada o bitwie.

XV.

U Kniazia Światosława, na Smoleńskim grodzie,
Rośnie Xiężniczka piękna, jak słońce o wschodzie,
Hoża, jak ranne słońce, gdy się z mgły wybija.
Rumiane lice Anny i oczy jéj jasne,
Jako słońce poranku; a kosy jéj długie,
Jak promienie słoneczne, gdy świat opasują.
I w uścisku złocistym do serca go tulą.

Xiężna ją, jako dziecko jedyne, w pieszczotach,
Na kolanach piosenką i skazką kołysze,
Karmi ją białym chlebem, słodkiemi potrawy,
Ubiera ją we kwiaty i kraśne korale,
Włosy jéj to rozplata, to czesze i plecie,
To rozpuszcza puklami po białych ramionach.
Żadne jéj tak nie było ukochaném dziecię,
Żadne tak wypieszczone, nie wzrosło tak hożo.
A strzegli ją od skwaru, strzegli ją od chłodu,
Na nią, jak na źrenicę swoich ocz patrzali.

Ale niedługo matce cieszyć się dziewczęciem,
Ale niedługo ojcu pocieszać się synem:
Córce wynijść potrzeba z domu za młodzieńcem,
Synu swojego chleba dobijać się czynem,
Dobijać się walkami sławy i imienia.

I gdy Anna dorosła, córka Światosława,
Smutno się stało, i mówiła w sercu:
— Czemu ona nie dzieckiem! Naprożno dziecięce
Dawała jéj zabawy, w dzieciństwie utrzymać
Chciała córkę, naprożno! Mgłą jéj oko zaszło,
Pierś się wznosić zaczęła tęskno, nie za matką,
Ale za czémś nieznaném. Toczyła wejrzeniem.
I matka to widziała. Wówczas pieśni dawne,
Wówczas skazki poranne mówiła jéj stare,
I znów czesała włosy, znów, jak dziecię małe,
Sadzała u swych kolan, by rozbawić smutne.
Wszystko naprożno! Oko ciągle gdzieś szukało,
Czego jeszcze nie znało, co poznać pragnęło,
Co, nim przyszło, już duszę i serce zajęło.
— Matko! — pytała Anna, córka Światosława —
Zawsze nam tak tu siedzieć? zawsze żyć w téj ciszy?
Zawsze pieśni tych słuchać, skazki rozpowiadać?
Zawsze na twych kolanach głowę tęskną składać? —

— Zawsze, córko! A czegoż więcéj ci potrzeba? —
— Więcéj? Nic więcéj, matko! Inszego mi tylko,
Kogoś inszego — czegoś — pragnie smutna dusza.
Kiedy u wrót zatrąbią, to serce mi bije,

I czekam, gdy nadejdzie. Gdy z wojny przyjadą,
To patrzę wracających, szukam między niemi
Tego, com nie widziała jeszcze na téj ziemi,
A co go czekam, czekam! — Kogo, córko, czekasz?—
— Alboż wiém? matko moja! Ja się pytam ciebie,
Czego czekam i kogo? i tęskno mi czemu?
A gdy głowę na twoich położę kolanach,
To nie usnę, jak dawniéj; marzę niespokojna;
A i w głowie i w sercu ciągła jakaś wojna. —

Tęskno matka potrząsa głową posrébrzoną,
I tuli biedną córkę na drżące swe łono.

Raz tam na Rusi Kiejstut zapędził się z wojną,
I do Xięcia w Smoleńsku, co Litwie był druhem,
Przyszedł spocząć, od potu otrzeć skroń swą znojną,
Przyszedł u gościnnego zagrzać się ogniska;
I zobaczył on Annę, córkę Światosława,
I pomyślał, że syn mu dorastał już w domu.
A na przyszłą znów wiosnę na Smoleńsk powrócił,
Ale nie sam, Witolda przyprowadził z sobą.
Milczał, i ze swatami nie posłał do ojca;
Tylko kiedy na skórach spocząć się układli,
Siadł starzec i gasnące rozniecił zarzewie.
— Słuchaj — rzecze — Witoldzie! wziąść ci żonę pora.
Jam cóś stary, i bracia na mnie tam czekają!
Co noc ojciec nad łożem ręką mnie wskazuje.
Tyś mój najstarszy, w tobie i rodu nadzieja,
I nadzieje Litewskie. Czas tobie wziąść żonę,

Czas ci mieć dzieci, żeby, gdy brzemie zaciąży,
Na nich złożyć miecz wojny i o kraje pieczę.
Na zamku Światosława tyś nie widział córki?
Hoża Anna! Jam myślał — to dla ciebie żona.—
— Nic, ojcze, nie widziałem — Witold odpowiedział.—
Twoja wola, i wedle twéj woli się stanie.
Mnie jeszcze o kobiécie żadnéj się nie śniło!—

I posnęli. A w Xiężnéj, Swiatosława żony,
Swietlicy, także cicha toczy się rozmowa.
Anna siedzi przy matce; włos jéj rozpuszczony,
W złotych włosach się biała twarzyczka jéj chowa,
A głos z ustek różanych tak płynie pieszczony:
— Matko moja! widziałaś gości, którzy wczora
Na zamek nasz przybyli. Starszy, wzrostem mały,
Burką grzbiet ma okryty, głowę skórą wilczą,
Na siwym, żmudzkim koniu do ojca zajechał;
Obok niego był młódszy. O! piękny i młody!
Takiego Kniazia wzrostu, lica i urody,
Jeszcze u nas nie było! Kto to? matko miła!—
Matka tęskno westchnęła i cicho mówiła:
— Z ojcem Kiejstutem, syn to Witold młody,
Xiążęta Żmudzkie i Trockie, z daleka.
Nieprzyjaciele to Rusi odwieczni;
A choć ich teraz w Smoleńsku przyjmują,
Choć oni z nami, kto wié na jak długo?—
— Ale ten młody?— Anna znowu matki pyta—
Czyż nieprzyjaciel? On jeszcze tak młody!

Czyż już był w wojnach, czy już krwi kosztował?—
A matka na to:- -Litwin się zamłodu
Wprawia do boju, by, gdy sił dorośnie,
Rękę do szabli i duszę zgotował;
Lecz ród to dziki, ród pogański, Anno,
I Chrystusowéj niecierpiący wiary.—
Córka na to zamilkła, i włosy złotemi
Siwe oczy zapuszcza znowu i zasłania,
I niby zadrzémała; a matka ogania
Muchy nad nią natrętne, komory brzęczące,
Na gorącą jéj głowę kładnąc ręce drżące;
Drzemiącą czy uśpioną cicho błogosławi.

Nazajutrz Kiejstut przybrał nową szatę, strojną,
Od bogatego futra, złota i szkarłatu,
Do Xięcia Światosława na świetlicę śpieszy,
Cóś mu do ucha kładnie i rękę wyciąga,
Jak gdyby jakiéj zgody od niego domagał,
Czy jakiejś z nim zapragnął skończenia umowy.
Długo Światosław myślał, opierał się, wzdragał,
Wreście smutno uchylił, choć niechętnie, głowy,
I temi do Kiejstuta odezwał się słowy:
—Niech wola wasza będzie. Córka moja,
Młode to ptaszę, z pod skrzydeł macierzy
Niechaj na nowe gniazdo do was bieży.
Ale was proszę, szanujcie jéj młodość!
Ale zaklinam, miejcie wzgląd! Pieszczone
Dziecię wezmiecie. Kiedy w obce strony

Zajdzie, wy dla niéj miejcie serce matki,
I serce ojca, i słowa pociechy.
O, smutno, smutno ulecieć z pod strzechy
Temu, kto z pod niéj nigdy nie wychodził,
Kto pod nią schował, kto pod nią urodził,
I całą młodość prześpiewał u kolan
Matki kochanéj, ojca łaskawego! —
Mówił Światosław, sługę za żoną wysyła.
A Xiężna, jakby zdawna, co ją czeka; znała,
We łzach cała już przyszła, i słuchając, drżała,
I chciała cóś powiedzieć, a słów jéj zabrakło;
Twarz rękami zakryła, uciekła do córki;
Milcząc, na jéj ramiona zimne ręce kładzie,
Milcząc, patrzy jéj w oczy, i płacząc, upada.
A Anna na nią patrzy; chce płakać, nie może;
Jakiś dziwny niepokój ogarnął ją cały;
Oczy tylko ciekawe namiętnie pałały.

Potém za tydzień i we dwa tygodnie
Gody w Smoleńsku i huczne wesele.
Anna i matka, długo w swych objęciach
Leżąc, płakały. Zaszły żmudzkie wozy,
Szkarłatném suknem kryte, wiozące wiano;
Stanęły konie pod złotą oponą.
Witold odjechał z młodą do Trok żoną.

XVI.

Zamłodu, zamłodu, u życia początku,
Do szczęścia niewiele potrzeba nam wątku.
Człek wszystko, co dotknie, jak król ów bajeczny,
Przerabia na złoto, i wszystko mu złotem;
Wśród głodu on syty, wśród boju bezpieczny,
Spokojny wśród burzy pod niebios namiotem,
I życie mu błyszczy, i wschód się rumieni
Od marzeń nadziei słonecznych promieni.

Minęło wesele, przebrzmiały już śpiewy,
A Witold u kolan swéj żony spoczywa;
I ojciec gdzieś pędzi Krzyżaków krwi chciwy.
Witold się za ojcem na wojnę nie zrywa,
I siedzi a siedzi, i siedzą we dwoje,
Dłoń w dłoni, pierś z piersią, włos z włosem zmięszany;

Ona mu swą młodość, a on jéj swe boje
Pocichu spowiada. I wzrok łzą zalany
Wyjaśnił się Annie. W początku to co dnia
O matce mówiła, do matki zsyłała,
A potém raz w tydzień, drugiego tygodnia,
A potém choć w miesiąc raz wieści żądała,
A potém wzdychała, czekając z pokłony,
Aż w tamte przypadkiem miał jechać kto strony.

O ludzka pamięci! tyś płocha wietrznica!
W początkach się targasz i szarpiesz nam duszą,
Lada co łzy ciśnie i żal twój podsyca,
Dwie chwile ból w tobie niestały zagłuszą;
Pamiątki, co nigdy nie miały mieć końca,
Topnieją, jak śniegi wiosenne od słońca.

I Witold z początku tak tęsknił za bojem,
Za ojcem, za koniem, za trudem i znojem,
A potém już rzadzéj na wojnę iść życzy,—
Nie pragnie zwycięztwa, nie łaknie zdobyczy,
I mówi do siebie:—Mnie dobrze tak przy niéj!
Czyż walka, czy sława szczęścia mi przyczyni?—
A Kiejstut go wołał z uśmiechem na oku,
I Witold nie poszedł. Rzekł ojciec:—Do roku
Pogasną te ognie, i tęskno ci będzie
Przy żony kolanach, jak sokoł na grzędzie,
Nadarmo przesiedzieć najdroższy wiek młody,
I znowu pośpieszysz na stare twe gody.—

Ale dnie za dniami, miesiące płynęły,
A Witold uciekał od walki i znoju;
Miękkie mu uczucia wskróś duszę przejęły,
I ręka odwykła od szabli i boju.

Raz Anna już spała, on sam do ogniska
Dorzucił polano, na ręku sparł czoło,
Wpół drzémał, wpół dumał, i głowę w dłoń wciska,
I szuka, sam czego nie wiedząc, wokoło.
Wtém przed nim u ognia cóś mignie i siada,
Grzeje się, nad płomień zeschłą dłoń podnosi;
Ktoś stary, pochyły i siwy; twarz blada;
Wszedł cicho i usiadł, nie mówi, nie prosi,
I słowa nie rzekłszy ni Bogóm, ni komu,
Rozgościł u ognia, jak gdyby był w domu.

Witold go postrzegłszy, zerwał się z pościeli,
Postąpił.—Ktoś taki?—zawoła nań gniewnie.
—Z daleka!—Lecz jakeście wchodzić tu śmieli?
To izba jest moja, ty nie wiész zapewne?
To izba Xiążęca, gdzie męzka się noga,
Prócz mojéj, nie tknęła do drzwi tych i proga.—

A starzec wciąż ręce u ognia ogrzewa,
Popatrzył, i głową zbielałą pokiwa.
—O, wiém ja, gdzie jestem. Tyś Witold Kiejstuta;
To żona twa, Anna, ród panów Smoleńskich;
Ta izba, tajemną ciemnością osuta,
To izba twéj żony i pieszczot małżeńskich.

To izba jest, w którój gnuśniejesz, mój młody,
I życie swe dajesz za roskosz, za gody,
I sławę swą dajesz za szczęście weselne,
Swą wielkość i imie grzebiesz nieśmiertelne.—
—Ktożeś ty? kto jesteś, co śmiész mi sen mięszać?
I słowy jakiemiś dziwnemi, ostremi,
Nad duszą, jak jastrząb nad ptakiem, zawieszać,
Co pastwę z wysoka upatrzył na ziemi?
Lecz, starcze, na Bogi! niełatwą jam pastwą!
Na inne, na inne polować ci ptastwo.—

—Któż nie zna Witołda?—rzekł starzec spokojnie,
Znów dłonie skośniałe nad ogień podnosząc,
A wzrokiem i głosem, i grożąc i prosząc.—
Był Witold orlęciem, był Witold zamłodu,
I lubił, jak orzeł, swobodę i wojnę,
I kochał, jak ojciec, swój kraj i swą chwałę:
Lecz orzeł, ów Witold, nie z orłów już rodu,
Gnuśnieje, jak wieśniak, u ognia świetlicy,
Na kądziel spogląda niewiasty Xiążęcéj,
Trzyma się piosneczek, nie puszcza spódnicy,
I nad nią, nad spokój, nie żąda nic więcéj.—

—Lecz ktoś ty, co śmiész mnie do boju wyzywać?—
—Do boju?—rzekł stary—do boju, nie, młody!
Nikt ze mną do boju nie śmiałby wstępywać;
A tobie nie wojna smakuje, lecz gody.
Jam....—Powstał i sięgnął do stropu postawą,
A suknia się biała w pomroce roztoczy—

Jam duch jest, twój Gulbi; za Bogów tu sprawą
Stanąłem przed tobą, bym w żywe ci oczy
Twą gnuśność wyrzucił. Witoldzie! gnuśniejesz.
Myśliwy pies, długo nie idąc na łowy,
Zapomni o kniei i na rok już nowy—
Ty o nich zapomnisz—
Patrz w gwiazdę, co zdala świeci nad twą głową.
Ta gwiazda pod chmurą, gwiazdą Witoldową.
Chcesz, aby zagasła w kobiécéj komnacie?
Chcesz stłumić jéj ognie w kobiécym uścisku?
Nie tobie, Witoldzie, tu w miękkiéj spać szacie,
I leżeć próżnemu przy ciepłém ognisku,
Bo nie tym jest sława, nie dla tych są pieśni,
Co, jak mętna woda, stojąca gdzieś w dole,
Dają się pokrywać i zielskóm i pleśni,
I wolą gnić cicho, niż wyrwać na pole,
By tamy rozrywać, by użyzniać role.
Nie na to, Witoldzie, tyś się w świat narodził,
Nie na to cię ojciec dziecięciem kołysał,
Ażebyś pokorny za kobiétą chodził,
Z ust tylko jéj słodkie pocałunki zsysał.—

Mówił, a Witolda twarz ogniem pałała,
I drżały mu ręce, ognista pierś drżała,
I miecza już szukał, jak gdyby zbudzony,
A chwytał niewieście przybory swéj żony,
Miękkie jéj sukienki, bogate zasłony,
A w twarzy jéj uśmiech napotkał sklejony,

Ten uśmiech tak słodki, co jeszcze go wabił,
Który go wycieńczył, zniewieścił, osłabił;
Spójrzał, lecz nie wrócił na małżeńskie łoże,
Wyrwał się w podwórzec i konia wieść każe,
Ludzi swych zwołuje; nim zabłysły zorze,
On z ojcem już pędzi po Pruskim obszarze.

XVII.

Na zamku Wileńskim Olgerd odpoczywa,
Z Gedyminowego miód rogu popija,
I do snu mu głowa pochyła się siwa,
Pod głowy ciężarem ugina się szyja.

Na zamku Wileńskim Olgerd odpoczywa,
Z Turzéj góry patrzy na Świętą dolinę.
Tam się dym ze Znicza ołtarzy dobywa,
Tam Wilii wody u stóp gory sine;

Tam i ojców stosy i ojców mogiły,
Tam i jemu spocząć, gdzie jego dziadowie.
Jemu walki dosyć— syn porosnął w siły,
Duchowi czas na wschód, czas do grobu głowie.

I duma i patrzy na gród Gedymina,
Siwą trzęsie głową, siwą trzęsie brodą—
Na grodzie za krzyżem krzyż rosnąć poczyna,
Kościoły się wznoszą, w górę wieże wiodą.

O, nie tak bywało! I na Łysą górę
Popatrzył, i znowu pochylił się, drzémie.
Tam trzy krzyże stoją, wysokie, ponure,
Patrzą, jak na swoję, na Litewską ziemię.

I duma, i marzy. Nie ostać się Bogóm,
Nie ostać się staréj Litewskiéj już wierze!
Ni mieczem obronić, ni zakryć nam wrogóm!
Krzyż stoi nad Litwą, krzyż Litwę zabierze.

I wzdycha, i patrzy; gdzie oczy obróci,
Krzyże widać wokoło—Juljanny tam krzyże!
I słychać, wieczorne mnich pieśni swe nóci,
I słychać, dzwon chrześcian woła na pacierze.

Na zamku Wileńskim Olgerd odpoczywa,
Z Gedyminowego miód rogu popija,
I do snu mu głowa pochyla się siwa,
Pod głowy ciężarem ugina się szyja.

Nagle podniósł głowę i oczy otworzył,
Róg popełnął złocony, patrzy w drzwi komnaty;
Ręka trząść przestała, wzrok omdlały ożył;
I uszy nastawił, słuch posłał na czaty.

Ktoś jedzie w podworcu, słychać koni rżenie,
I drzwi się otwarły, wprowadzają posły.
Z Ruskiéj ziemi Kniaziu przyszło pozdrowienie,
Od Dymitra z Moskwy wieść wojny przyniosły.

A starszy poselstwa, Fedko, się odzywa:
—Pozdrawia was ojciec nasz i dar przysyla,
Oto miecz od niego, krzemień i krzesiwa
Z mieczem, ogniem do was przyjdzie nasza siła.

Przyjdziemy do Wilna na święcone jaje,
Skrzesać ognia w Litwie i miecza sprobować.
Dawno Dymitr w wasze wybiera się kraje,
Oznajmił się w gości, znajcie jak przyjmować!—

A Olgerd się porwie i posłóm odpowie:
—O! dobrze! na Bogi! Kniaź Michał od roku
Na Moskwę mnie ciągnie. Przymierze odnowię.
Wszak za Brańsk, za Smoleńsk nie stąpiłem kroku.

Wy chcecie na mojém urągać śmiecisku,
Niepomni, żem w Moskwie pod Kremlem ucztował,
Że Dymitr sromotę już nieraz wziął w zysku,
Gdy z Kniaziem Olgerdem o lepszą wojował.

Więc Moskwę powitam, i kraśne sam jaje
Dymitru przyniosę na święto w Sobotę.
Dla Kniazia ubogie Litewskie są kraje,
Sam w Kremla zastukać ja przyjdę drzwi złote.—

I posły skłonili głowami, wracają.
A Olgerd coś dumał i gońców gnał wkoło,
Lecz dokąd? lecz po co? i gońce nie znają;
Wieść niosą, nie wiedzą, smutną czy wesołą.

A zima śniegami już wieje białemi.
Pod Wilno, na Piaski lud zewsząd gromadzą;
I Michał się Twerski obiecał iść z niemi,
W Smoleńsku Światosławu gdy tylko znak dadzą.

I Drucki, i Andrzéj Połocki wybieży,
I Kiejstut, i Lubart od Lackiéj rubieży.
Nikt nie wié, gdzie Olgerd gotuje z ćmą ludu,
A wojsko się zbiera do bojów i trudu.

I Olgerd nie mówi, a ludzie szeptają.
Naprożno! ust starych nikt mu nie otworzy.
Tak zawsze bywało. -Do boju znać dają,
A wojsko, nie powié, gdzie jutro rozłoży.

Już wszyscy gotowi; brat Michał gdzieś daléj
Z Twercami się złączy i wojsko pomnoży;
Już czerni tysiące z pałkami zegnali,
Czerń drogę im wskaże i drogę otworzy.

A Olgerd z Zamkowéj pogląda sam góry,
I wojska rachuje, i śmieje się w duszy,
I milcząc, skórzany szłyk bierze, ponury,
Daje znak ludowi—niech naprzód wyruszy.

Jeden wié sam Spudo, gdzie wojska powiedzie;
On czerni jest głową; Olgerd mu powierza,
I Spudo na koniu przed ludem na przedzie,
Na północ wskazuje, i ręką wymierza.

Ruszyli; przed niemi już lasy się walą
I mostem im ścielą pokornie pod nogi.
Czerń drzewa podcina, a sioła się palą,
A dymy, zniszczenie, wytknęły im drogi.

I idą w milczeniu, bez chwili wytchnienia,
Gdzie wejdą, lud jeszcze u ognisk zastają;
I wieść ich, co z wiatry na skrzydła się mienia,
Nie może wyprzedzić, tak szybko się gnają.

Aż przyszli pod Wyłok, gdzie wodzem Bazyli;
Z Smoleńskich on Xiążąt, lecz z Dymitrem trzyma;
I twierdzę drewnianą próżno osaczyli,
Gdy dobyć jéj szturmem Olgerd czasu nie ma.

Gród został niewzięty, wódz tylko dał życie,
I ciągną a ciągną bez ustanku daléj;
W Sobotę aż Wielką ujrzeli o świcie
Kreml biały i Moskwę, i pochód wstrzymali.

Tu stoją. Nazajutrz, gdy Dymitr ze dworem
Na jutrznię do cerkwi wychodzi spokojny,
Spogląda—na górze Pokłonnéj taborem
Litwini już leżą, jak mrówie lud zbrojny.

A poseł Olgerdow przynosi mu jaje.
—Weź, Kniaziu Dymitrze, i spójrzyj dokoła.
Kniaż Olgerd ci miecz twój i krzemień oddaje.
Kniaż Olgerd co przyrzekł, to strzymać podoła.—

Z Zamieścia, Posadu, już dymy się wznoszą,
I płoną; pod Kremlu już ogień murami.
Bojary chléb z solą naprzeciw wynoszą.
—Kniaź Dymitr przyjaźni i drużby chce z wami.—

A Olgerd im starą wyciągnął prawicę,
I rzecze:—Dam pokój, niech będzie przymierze,
Oszczędzę twój Kremel, oszczędzę stolicę,
I mieczem mym tylko w twe wrota uderzę.

Niech będzie znak po mnie, niechaj ślad zostanie,
Żem przyszedł, ci jaje przyniosłem święcone;
A nie ślij mi posłów, gdy wojsko twe, Panie,
Na polu nie stoi ku Litwie zwrócone.

Na zamku Wileńskim Olgerd odpoczywa,
Z Gedyminowego rogu miód popija,
I do snu mu głowa pochyla się siwa,
Pod głowy ciężarem uchyla się szyja.

Na Pruskiéj, na Polskiéj, Moskiewskiéj wyprawie
Był Witold, z staremi uczył się wodzami,
I piérwszy raz w bitew skąpał się kurzawie,
Piérwszy raz krwi wroga dotknął się ustami.

A piérwsza ta kropla pragnieniem go piekła;
I odtąd niesyty ni trudu, ni sławy,
Gdzie róg mu zatętnił, gdzie wojna powlekła,
On, tęskniąc za bojem, gnał ciągle w bój krwawy,

XVIII.

Na Polskę idą Litewskie Xiążęta:
Lubart i Kiejstut na przedzie,
Witold z Jagiellą, młode sokolęta.
Czemuż ich Olgerd nie wiedzie?

Czy Michał Twerski, czy Smoleński woła
Pomocy przeciw Dymitra?
Czy Moskwa pali sprzymierzeńców sioła?
Krewiczan burzy Ruś chytra?

Spokojnie w Rusi; Twerski od wyprawy
Na swéj stolicy spoczywa;
A jednak Olgerd nie spieszy w bój krwawy,
Chociaż go Lubart wyzywa.

I poszedł Kiejstut, Jagiełło i Jerzy,
Litwinów zastępy mnogie,
A Olgerd został, sam siedzi na wieży
I na pustą patrzy drogę.

Dobrze ci było, wielki Gedyminie,
W boju umierać od strzały!
I nie zestarzeć, i w śmierci godzinie
Polegnąć na polu chwały!

A syn twój, Olgerd, nie dźwignie oręża;
Patrzy, jak młódsi się gnają;
Dłoń już bezsilną napróżno wytęża,
Ręce duszy nie słuchają.

A Litwa znowu w Lackie idzie kraje,
Bo Polska stoi otworem;
Polsce Kaźmierza Wielkiego nie staje,
Elżbieta pląsa z swym dworem.

Idą w Lubelskie, Sandomierz pustoszą,
Nad San, w Podgórze wtoczyli,
Między San, Wisłę, po Tarnow lud płoszą,
Mnogi łup zewsząd spędzili.

Dziewięć mil tylko Litwie od Krakowa.
Legła zwycięzkim taborem.
Próżno wieść niosą, Elżbieta Królowa
Pląsa i śpiewa z swym dworem.

Już nazad gonią ku Litwie z łupami.
Na Litwie smutna wieść krąży:
Mistrz na Żmudź poszedł ze sprzymierzeńcami,
Sześć ziem zjadł, na siódmą dąży.

Chce Kowno ubiedz. Nadniemeńskie włości
Leżą pustynią dokoła,
Po polach świecą krwawe trupów kości,
I spalone stérczą sioła.

Krwawą łzą Kiejstut płacze klęski swojéj;
Witold go prosi:—Daj ludzi!
Krzyżak bezpieczny zwycięztwem się poi,
Niech go krzyk rzezi obudzi!—

I zbiera swoich, na Prussy napada,
W Insterburskie ciągnie włości:
Sam zamek wzięty, płomień go dojada,
Rozdarte kraju wnętrzności!

Z łupami z piérwszéj powrócił wyprawy
Witold, jeńców wiodąc mnogo.
—Patrzaj, Kiejstucie, czylim syn twój prawy?
Licz ludzi, czy braknie kogo?—

[illegible]
W boju [illegible]
I nie [illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

A Litwa [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible] Litwie od [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible] Litwie z [illegible]
Na Litwę [illegible]
Mistrz na Żmudź [illegible]
[illegible]

8

XIX.

Smutno na Wilnie! Olgerd zwołał braci
Ze syny swemi, żeby ich pożegnać,
I róg Alusu ostatni wychylić,
Dłonią ich wyschłą ścisnąć raz ostatni.

Olgerda oczy sen już wieczny mruży,
Dosyć mu boju; żyć już nie chce dłużej;
Synóm dorosłym i braciom zostawi
Litwę na rękach, a starszemu swemu
Wilno stolicę i nad braćmi władzę.

Na Turzéj górze Olgerd stary siedzi,
Po Świętéj patrzy grobowéj dolinie,
Stos nakłaść kazał i braci wygląda.
Na Swintorozie bierwiona sosnowe
I dęby walą ze świętego gaju.

Stoi stos, na nim łoże Olgerdowe.
On patrzy na stos, na łoże pogląda,
Wiliję żegna i gród Gedymina,
Dymy Zniczowe i swych ojców groby.

Aż żona, Xiężna Juljanna, do niego
Idzie i mnicha za sobą przywodzi.
—Mężu mój! Panie!—rzecze—życie całe
Tyś wiódł pogańsko! umrzyj Chrześcianinem!
Syny twe wiarę swéj matki przyjęli,
Po Rusi poszli chrztem świętym omyci.
Dokoła krzyże Chrystusowe stoją,
Patrzą ci w serce i okna zamkowe.
Wszak tyś sam nieraz starą schylił głowę
Bogu twéj żony. Umrzyj w mojéj wierze!—

Olgerd się podniósł, siwą trzęsie głową.
—Dajcie mi skonać, jak marli ojcowie,
Wśród swoich, w uczcie, z rogiem miodu w dłoni.
Nie chcę téj wiary, dla któréj od braci,
Od dziadów moich oddalić się trzeba,
I nie chcę bez nich chrześciańskiego nieba.—

Mnich mu cóś szepce, on mnicha nie słucha.
—Żyłem z mym ludem, umrę z moim ludem!
Wpuścić Kiejstuta, Lubarta, Jerzego,
I syny moje, i Jagiełłę mego.
Niechaj do uczty nakrywają stoły,

Niech Alus niosą, niech Bojary moje "
Przyjdą, Kniaziowie i dworzanie wierni.
Ty rękę podaj i wiedź mnie do braci—
Rzecze do sługi. Otwarli podwoje,
I stary Olgerd wita rodnię swoję.
A oni smutni pospuszczali głowy,
I nic nie słychać, tylko starca piersi
Ciężkim oddechem głośno się kołyszą.

⁂

On usiadł, wzrokiem po zebranych toczy,
A już mrok śmierci okrywa mu oczy,
Już ledwie swoich poznaje po głosie;
Sam za róg bierze, napełniać go każe.
—Do was, o bracia, do was, syny moje,
Ostatnia czara i ostatnie słowa!
Olgerd za ojcem pójdzie Gedyminem,
Syn już za ojcem; on tęskni za synem;
Olgerd się dosyć nażył, nawojował,
Młodszym ustąpi i miecza i życia;
Tobie, Jagiełło, Wileńskiéj stolicy.
Prawda? Kiejstucie! ty synu mojemu
Nie będziesz bronił po ojcu puścizny?
My z tobą stary, długi wiek przeżyli,
Sercem na sercu. Zostawiam ci dzieci;
Bądź ty im ojcem, a wy mu synami,
A jego dzieciom braćmi rodzonemi.
Na waszéj zgodzie los Litewskiéj ziemi.
Patrzcie, z Kiejstutem, z Lubartem my zgodni,

Iliśmy wrogóm nastawiali głowy!
Naprzeciw wielu kraj nasz obronili!
Bogi tam wiedzą, co za los was czeka,
Lecz Bogi zgodzie bratniéj błogosławią.
Do was, Kiejstucie!—I rękę wyciągnął,-
Podał róg bratu.—Bądź mi zdrowy, bracie!
Już nam aż w Wschodniéj zobaczyć się ziemi
Z tobą! ale już nie z braćmi wszystkiemi!
We Wschodniéj ziemi na Wieczności górze
Nie stanie wielu! W chrześciańskim raju
Poszli, dziadowskiéj wyrzekając wiary.
Z tobą, Lubarcie, nie widzieć nam więcéj—
Tyś Chrześcianin—i z tobą, Jawnucie!—
Żegnajcie, bracia! Nad Olgerda dziećmi
Bądźcie opieką, zastąpcie im ojca!
Jeszcze raz, stary Kiejstucie, dłoń ściśnij,
Już cię nie widzę, niech usta uczuję,
Niech głos posłyszę. Patelo koło mnie
Leci z skrzydłami czarno okrytemi.
Żegnajcie, dzieci! duch mój będzie z wami;
Żegnajcie, słudzy, i wierne psy moje!
Ty, mój sokole! ty, mój mieczu biały!
I ty, Juljanno! ty jeszcze, Kiejstucie!
Podajcie miecza, niechaj z mieczem w dłoni
Skonam, gdy Bogi mi nie dozwoliły
Gedyminową śmiercią umrzeć w boju!
Niech w rogi dzwonią, w Lietaury uderzą,
Niechaj mi nocą pieśń moję bojową!—

Mówił, i zwolna starą kłonił głowę;
Broda mu siwa na piersi spływała;
Miecz cisnął jeszcze, lecz ręka spadała;
I ani żony płacz, ani łzy dzieci,
Ani wojenne drużyny okrzyki,
Już go na ziemię odwołać nie mogły;
Ani dźwięk rogów nie odwrócił ducha,
Co śpieszył dziadów w Wschodniéj witać ziemi.

Mówił, a płacz się rozległ po świetlicy.
Jeden był Kiejstut, co łzy nie miał w oku,
Bo jego boleść duszę ucisnęła
I łzóm zaparła na powieki drogę.

Tak skonał Olgerd. Stu płaczek się głosy
Ozwały nagle z jękiem i krzykami.
Ciało starego myli, ubierali,
Białą mu szatę, złote Wiżos kładli,
Białym go mieczem na śmierć przepasali,
Rąbkiem mu białym przewiązano szyję,
W nim złoty pieniądz na wieczności drogę,
U pasa proca rzemienna wisiała,
A szłyk na głowie, giętki łuk u boku.

I siedział starzec, jak gdyby żył jeszcze,
Tylko nie patrzał zamkniętemi oczy,
Tylko nie dyszał piersiami wyschłemi,
Zda się, odpoczął po życiu, po boju.
Naprzeciw niego bracia, towarzysze,

Synowie, słudzy stali i kapłani;
Wszyscy do niego róg Alusu pili,
Wszyscy żegnali Olgerda ze łzami,
I na dobranoc pieśni mu nócili;
A płaczki, wkoło usiadłszy na ziemi,
Łzy spadające do naczyń zbierały;
I w czarnéj sukni, we wdowiéj zasłonie,
Xiężna Juljanna u nóg męża swego
Płakała, szaty rozdarłszy napoły.

Już czas pogrzebu — na Świętéj dolinie
Od Znicza iskrę przynieśli kapłani,
Raudę zanócą, na Kniazia czekając,
Miękkie mu łoże ścielą z wonnych kwiatów.

Porwali słudzy zimne starca ciało.
Żegnaj, zamczysko! żegnajcie, komnaty!
Olgerd w was więcéj nie będzie ucztował,
Nie złoży łupu, powróciwszy z wojny,
Nie złoży głowy utrudzonéj bojem,
Olgerd na wieczne śpieszy już posłanie,
Przez stos gorący do zimnéj mogiły.
Przed ciałem jego odpędzają duchy;
Idą Bojary, mieczami machają;
Juljanna idzie do stóp tylko góry;
Tu z płaczki swemi na ziemię upadła,
Chciała iść daléj, nie puszczą kapłani.

Tam krzyk i wrzawa dokoła doliny,
Słupy rozstawne — do słupów młodź goni,

Zdobywa pieniądz i zbroje, i leci,
Na duchy wrzeszcząc, aby je odegnać,
Olgerda ciała by skrzydłem nie tknęły.

Na stosie starzec z mieczem w skrzepłym ręku.
Z siwą mu brodą wschodni wiatr powiewa.
Dokoła bracia, synowie, kapłani,
I słudzy na stos dla Xięcia wybrani.
Oni nie płaczą, bo idą za panem
Na lepsze życie, kędy ich niewolę
Sto nowych zmysłów, roskoszy, osłodzi;
Oni nie płaczą — wszystkim oschły oczy;
Pieśń tylko wielka przez usta kapłanóm
W niebo za duchem Olgerda się toczy.

Rauda.

Idź, duchu, do ojców ziemi,
Ziemi roskoszy, pokoju;
Leć skrzydłami sokolemi,
Siwą skroń otrzeć po znoju.

Tam czekają cię dziadowie,
Tam cię lepsze czeka życie,
Tam z gwiazdą jasną na głowie
Po Dungusu leć błękicie.

Coś zostawił na tej ziemi?
Troski tylko, bój i trwogi!
Leć skrzydłami sokolemi,
Gdzie twe ojce, gdzie twe Bogi.

Gród w żałobie, ród w żałobie;
Ty szczęśliwy w kraju słońca:
Tam zachodu niéma tobie,
Twemu życiu niéma końca.

Tu łzy płyną, krew tu płynie,
Nieprzyjaciel czyha z boku;
We Wschodniéj ojców krainie
Wieczna jasność świeci oku.

Leć, o wielki duchu Litwy,
Leć do dziadów na biesiadę,
Na waleczne z Jodsy bitwy,
Na rozumną ojców radę.

Leć, o duchu! rękę swoję
Zostaw synóm, by z twą głową
Siedli w radzie, poszli w boje,
Cne potomstwo Olgerdowo.

XX.

Poszedł Olgerda wielkiego duch z ziemi;
I wszyscy za nim na niebo spójrzeli.
Xiężna Juljanna trzydzieści dni płacze;
Ani do złotéj nie siądzie kądzieli;
Sama z płaczkami, w ustronnéj komnacie,
Łzy się zalewa; Olgerdowe prochy
W święconéj ziemi wykradlszy, z Dawidem
W Bogarodzicy cerkwi pochowała.

Jagiełło jeden z synów Olgerdowych
Po ojcu łzami zapłakał młodemi.
Kiejstut nie płakał; gdy się stos dopalił,
On westchnął tylko, z westchnieniem oddalił.
—Niedługo, bracie, tobie na mnie czekać!
Pójdę za tobą, bośmy całe razem
Przebyli życie. Złączyć się nam trzeba.

Mnie syn zastąpi. Czas już Kiejstutowi
Odpocząć z tobą pod jedną mogiłą.—

Pojechał. W Wilnie sam został Jagiełło,
Sam, smutny; smutku nie zwierzył nikomu,
Ni staréj matce, ni braciom rodzonym;
On tylko z sługą swoim ulubionym
Na tajnych radach dnie przepędzał całe.
Wojdyłło, z śmiercią Olgerda, niewolnik
Od posług wyszedł, do rady Bojarem.
Ani już ujrzeć Jagiełły bez niego.
Wszędzie obadwa. Czy na łowy jadą,
Czy w kraj daniny wybierać, czy zamki
Budować ludzi zwołują kapłani,
Wszędzie Jagiełło z ulubionym sługą.
Dla niego braci i stryja porzucił,
Dla niego z bratem Andrzejem się skłócił.
A Andrzéj poszedł, siadł daleko w Pskowie,
Na posłuszeństwo przysiągł Moskiewskiemu.

I wszyscy patrzą, dziwią się Xiążęciu,
Zkąd mu to serce do podłego człeka?
Niedawno jeszcze Wojdyłło parobkiem,
Z drzewem na plecach, w dziedzińca zamkowe
Szedł, ostrzyżoną pochylając głowę.
Potém Jagiełło ulżył mu ciężaru,
Między przyboczne umieścił go sługi.
On panu pościel słał, on jego ucha
Najbliższy zawsze; i nieraz wśród nocy

Słyszano długie, tajemnę rozmowy,
Widziano, jako usiadał na skórze
U stóp Jagiełły, i długo coś prawił,
I, jak pies, u nóg zasypiał na straży.

Póki żył Olgerd, przyjaźń się ta kryła,
Lękając blasku sokolego oka,
Bo stary byłby karał niewolnika,
Co się śmiał synu do serca podkradać,
I podłą dłonią tykać jego dłoni;
Lecz umarł Olgerd, ledwie stos przygasa,
Już się Wojdyłło przebrał w inne szaty,
Już włos, jak wolny człek, puścił po skroni,
Stanął z Bojary, szyderskiém wejrzeniem
Śląc, kędy Kniazie bracia pańscy byli,
Jak gdyby na nich milcząc się odgrażał.
Wszyscy szemrali; Jagiełło nie zważał,
A piérwszém słowem Wojdyłłę do siebie
Zwołał i szeptał; posłał go z rozkazy,
Jemu dał klucze od skarbcu swojego,
Jemu dowództwo dał zamkowéj straży.

I nikt się nie śmiał przeciwić, a wszyscy
Poszli z schylonem czołem, z raną w duszy,
I tak mówili:—Patrzcie, pan nasz młody
Jak starą radę ojcowską szanuje!
Ani do wiernych Bojarów przemówi!
Serce podłemu dał niewolnikowi,

Jemu tajemnic swoich się powierza.
Patrzcie, jak dumny dzikim rzuca wzrokiem
Na nas, na syny Xiążęce, na Pana.

Szemrzą na dworze, i Bojary jadą
Do Trok, Kiejstutu skarżyć się staremu.
—Panie!—mówią mu—zasil nas swą radą!
Lub nam tam nie być, lub nie być tam jemu.
Podły niewolnik razem staje z nami,
I jeszcze starym urąga się sługóm!—

A Kiejstut rzekł im:—Powróćcie do Pana.
Wola w tém jego. Kiedy dał mu serce,
Godzien jest między staremi stać sługi.
Patrzcie nań tylko, by czego nie knował,
Bo w podłém ciele podła mieszka dusza;
Patrzcie, Jagiełło aby nie żałował,
Że z pod nóg wybrał przyjaciela sobie.—

Bojary poszli i na Wilnie siedzą;
A codzień bardziéj Wojdyłło u Pana
W łaskę się wkrada, starych sług odpycha,
Od drzwi szemrzących, od uszu odgania,
Dójść do Jagiełły, skarżyć się zabrania,
I ani braciom, ni żałośnéj matce
Dostąpić jego komnaty dozwoli.

On pan. Jagiełło kryje się przed ludem,
Przez jego usta rozkazy posyła,

Na jego ręce podarki rozdaje,
Które Wojdyłło przez połowę kraje;
Ujmując łaski, srogości podwaja.

Biada ci, Litwo, w służebniczych ręku!
Biada wam, bracia! i wam, sługi stare!
Podły się sługa na Xiążąt odgraża,
I w szale dumy, której granic niéma,
Sięga po władzę, a prawego Pana
W kobiécych dumać komnatach zasadził.

Biada ci, Litwo! jak biada domowi,
Gdzie słudzy rządzą, i do uszu pańskich
Nosząc wieść, podli niechęcą ku swoim,
A serce pańskie dla siebie wykradną.

Na jego rzecz podarki zsyłają,
Które Wojdyłło przez polone krajemi
Ujmując łaski, srogości podwaja.

Biada ci, Litwo, w służebniczych ręku!
Biada wam, bracia! i wam, sługi stare!
Podły się sługa na Xiążąt odważa.
I w szale dumy, której granic nie ma,
Sięga po władzę, a prawego Pana
W kobiecych dumać komnatach zasadzi!

Biada ci, Litwo! jak biada domowi,
Gdzie sludzy rządzą, i do uszu pańskich
Noszą wieść, podłe niechęci ku swoim,
A serce pańskie dla siebie wykradną.

XXI.

Prędko śmierci Olgerdowéj
Wieść za siedém przeszła ziemi:
Nieprzyjaciel się nią cieszy,
I miecz ostrzy, i lud zbiera.
A Xiążęta zniechęcone
Uciekają, Moskiewskiemu
Czołem biją, woje wiodą
Na spokojną Ruś Jagiełły.
Dymitr i Andrzéj we Pskowie,
W Perejasławiu już siedzą,
Starodub dobywać idą;
Tylko Orda ich hamuje,
Tatar na cuglach zatrzymał.

Zakon także na Krzyżową
Prędko zebrał się wyprawę.
Xiążę Albert z Austryj idzie;

Günther Hrabia Hohenstejnu,
Eberhard i Jan Hrabiowie,
Pod Troki się zagonami
Zapędzili w włość Kiejstuta.
Przyszli, stoją nad jeziorem.
Zamek głuchy, jakby pusty;
Ni w nim rycerz się ukaże;
Mury milczą, znikły straże;
Tylko jezioro dokoła
Rozpuściło sine wody,
I ramiony szérokiemi
Pańskie gniazdo obejmuje.

Kiejstut w Trokach, Witold z ojcem,
I Biruta matka z niemi.
Oni patrzą, serce bije,
Ale niéma wybiedz komu.
Ludu mało, a tam w polu,
Jak kłosy, Krzyżacy stoją.
Próżno Witold na brzeg bieży,
Próżno na prom z ludźmi zrywa;
Stary Kiejstut go wstrzymuje,
I z za muru patrzy zdała,
Jak odpływa Niemców fala.
Niemcy trzy dni w Trokach stali,
Trzy dni w zamek strzały słali;
Zamek milczał, a czérwone
Mury pociski odbiły.

Długo Mistrz się z Xięciem radził,
I pod Wilno odciągnęli.

Ledwie pył opadł za niemi,
Kiejstut z zamku na koń siada,
Ludzi zbiera; syn u boku;
Z garścią w pogoń Niemcóm spieszy,
Bieży nocą. Rozedniało,
Po nad Wilnem łuna płonie,
Góry stoją w blasku całe,
Dymy kłębią się czérwone.
Stary stanął, złamał ręce.
—Gedymina grodzie biały!
Niemiec stos pod ciebie kładzie!
A Jagiełło gdzieś w komnacie
Milczy, ręki wznieść się lęka!—
—O! niechaj zginę, na Bogi,
A pomszczę się téj pożogi.
Za mną, za mną!—Witold woła—
Noc nam sprzyja! Tam ucztują,
Ani gości spodziewają.
Prędzéj!—Lecą, a nie drogą,
Nie széroką—manowcami.
Od Rudominy po Wilno
Krzyżacy się rozciągnęli.
Na trzy rogi miasto płonie,
Tylko zamek w jego łonie,
Salamandra nie zgorzała,

Cały jeszcze, czarny stoi.
W obóz Niemców Kiejstut wpada,
Na Krzyżaków, co bez zbroi,
Pijąc, w pożar poglądają,
I klną pogan, i hulają.
Wpadł i siecze—łby padają,
Popłoch w wojsku; pod Xiążęcy
Namiot pędzą się kupami;
Swoich łuków i kusz zbyli,
W ziemię wbite zostawili
Tarcze twarde. Rwą się konie,
I po górach uciekają.
Aż śle Xiążę do Kiejstuta,
I na zamek posły swoje,
Rozejmu u nich wyprasza.
—Rozejm!—stary Kiejstut woła—
Będzie, gdy was psów wygnamy,
Zatrzaśniem za wami bramy.
Bić nam trzeba, nie traktować,
Nie o zgodę się umawiać.
Dwa dni zgody, miesiąc wojny.
Zdrady lęgną się w pokoju.

A Jagiełło przyjął posły,
Xiążąt na zamek zaprasza,
Tydzień wypoczynku daje,
Bo Wojdyłło szepnął w ucho:
—Nie czas teraz nam wojować,

Wprzódy trzeba zebrać siły,
Wprzódy oręż nam ukować.—

Gedymina zamek jeszcze
Krzyżacką nietknięty nogą;
Piérwszy raz na nim w gościnie
Niemiec miód Litewski spija.
O, wstań, wielki Gedyminie!
Wstań, na wnuka popatrz swego.
On z wrogami siadł u stoła,
On im w uśmiech usta stroi.
Wnuk-li to twój? z krwi to twojéj?

I Wojdyłło coś tajemnie
Szepce Komturóm do ucha,
Dzban po dzbanie nosić każe,
Róg po rogu do nich wnosi.
I świecą się Niemców twarze;
On pić i spoczywać prosi,
Ciągle szepce, a Bojary
Trzęsą głową wyprawieni,
Patrzą u drzwi, patrzą z sieni,
I dziwują się téj zgodzie.

Kiejstut spójrzał, splunął w gniewie;
Co ma myśléć, sam już nie wié;
Syna na zamek posyła;
On zawrócił wojsko swoje,
Nie chce zgody, do Trok wraca.

Trzy dni mija, Witold jeszcze
Siedzi w Gedymina grodzie;
Trzy dni niéma! Aż posyła
Stary ojciec. Strach o syna.
Goniec do Trok go wyzywa
Jedzie Witold; ale smutny,
Głowę zwiesił, a na oku
Gniew połyska uduszony.

— Ojcze! — rzecze — Litwie biada!
Słaba ręka Litwą włada.
Cudza głowa, cudza rada,
Nie Jagiełło, nie my, ojcze,
Jeden rządzi sam Wojdyłło.
Jemu w głowie zawróciło,
Duma niewolnika wzbija.
Śmiał do stołu siąść przede mną!
Śmiał Jagielle stać u boku!
A dusza mu patrzy w oku,
Dusza nienawistna, podła!
Skrzydeł nie ma, by podlecieć,
To, jak wąż, sunie się w górę.
Jam z Jagiełłą żył od młodu,
Bratem, przyjacielem byłem;
Widzę, serce utraciłem.
W ustach, w oku, nic, prócz chłodu;
Słowy witał mnie zimnemi,
I pożegnał jakby sługę.

Długoż cierpieć będziem jeszcze?
Długo myśleć? długo czekać?—

Kiejstut milczy, duma, z czoła
Pot ociera; siadł na progu.
Syn naprożno o odpowiedź
Słowy, pytaniami wzywa.
—Czekaj!—wreście wstając rzecze—
Stary Kiejstut wie, co czyni.
Niech Wojdyłło pnie się, kto wie,
Jak wysoko dosiądz może?
Są na Litwie stare drzewa,
Wielkie sosny w puszczach naszych:
Ja najwyższą mu sprowadzę,
Na wierzchołek go posadzę.

Rzekł, i siodłać konia każe.
—Gdzie?—do Wilna.—Zostań, synu!
Chcę oczami widzieć memi,
Jak niewolnik tam króluje.—

Już poleciał. Noc zapada,
Kiedy u stóp Turzéj góry,
Na Swintoroha dolinie
Zabrzmiał w wrotach róg Kiejstuta.
Straż poznała—drzwi otworem,
I Bojary czołem biją,
Wjechał w zamek, oddał konia.
Czemuż uczcić włosy siwe,

Czemuż stryja uczcić swego
Kniaź Jagiełło nie wychodzi,
Ani dworzan swych wysyła?
Czy Jagiełły niéma w domu?
Czy powitać niéma komu?
Czy na łożu chory leży?
On w komnacie z psy swojemi
Bawi się, leżąc na ziemi.
U drzwi Wojdyłło na straży,
Pochlebstwem mu głaszcze uszy,
Marzeniami go kołysze:
—Wielki Kniaziu! nad twych dziadów
Wyżéj pójdziesz, ojca twego.
Wnuki uczyć z twych przykładów,
Wnuki dziwić będą tobie!
Rzekłeś słowo, i pokornie
Krzyżak wyszedł z twojéj ziemi,
Ani pustoszył po drodze,
Ani śmiał łupy zabierać.
W Rusi pokój, z Moskwy cicho.
Wielki Kniaziu! tyś potężny!
Drobne ptastwo wróg przy tobie.—
Wtém zaszumi, i Kiejstuta
Brzęknie w ziemię szabla kuta.
Wojdyłło się porwie z ziemi.
—Kto śmié iść tu? pańskie wczasy,
Pańską przerywać zabawę?—
I brwi zmarszczył, twarz zachmurzył,

Stoi, patrzy, nagle blednie.
Usta zaciął, wzrok ponurzył,
Zadrżał. Kiejstut pchnął go ręką
— Kto — rzekł — wchodzi? kto ma prawo
Na dziadowski wchodzić zamek.
Ty precz, sługo! ni mi w oczy
Podłéj nie ukazuj twarzy! —

Jagiełło powstaje z ziemi;
Chce cóś mówić, drżą mu usta,
Nie śmie. Kiejstut dłoń podaje,
On wyciąga zimną rękę.
— Witaj, synowcze kochany!
Co ci wczas tak zasmakował,
Że z ogary siedzisz w kącie?
Jeszcześ miecza nie sprobował,
Jeszcześ razu nie szedł w pole.
Czy ten sługa ulubiony
W babskie serce ci zamienił? —

Młody Kniaź się zaczerwienił,
I na blade jego lice
Krew płomienna wystąpiła,
Uśmiech usta rozgrzał sine;
Potarł czoło, i na ławę
Stryja sadził i przyjmował.
Ale smutno wieczór spłynął.
I Wojdyłło się w komnacie
Nie ukazał przed Kiejstutem.

Kiejstut ze drzwi, on do Pana.
Blade lice, usta sine,
Jakaś boleść targa serce,
Bo i słów nie znajdzie w ustach,
I łzy niby w oczach kręcą.
Próżno Jagiełło wyzywa,
Próżno łagodnemi słowy
Odpowiedź z niego dobywa;
On milczący, zachmurzony,
Na Bojary patrzy srogo,
Siecze sługi, milczy gniewny.

—Co ci?—zcicha Kniaź go pyta—
Co ci na duszy usiadło?—
—Co?—Wojdyłło wreście rzecze—
Wstyd mnie boli, hańba piecze,
I bezsilna dłoń mnie pali.
Panie! tyś mnie wywiódł z prochu,
Ty mi dałeś serce swoje,
Ale twoi mi zazdrośni,
Popychają z wzgardą sługę;
Dla nich jeszcze jam niewolnik!—

—A! na Bogi!—Kniaź odpowie—
Niech cię słowem kto obrazi!
Wezmę zuchwalego głowę,
Choćby brat mój był rodzony.
Tyś najbliższy serca mego,
I chcę, byś był piérwszy po mnie.—

Rzekł i chodzi, w sercu burza,
A Wojdyłło za nim okiem
Wodzi, radośnie spogląda,
I tak w chwilę rzecze znowu:

— Kniaziu! braci masz jednastu,
Stryjów sześciu i stryjecznych.
Mnogi ród Gedyminowy,
Mnoga krew jest Olgerdowa.
Jam co?— sługa i niewolnik,
Robak, coś go wywiódł z błota;
Ale w sercu niewolnika,
W jednem sercu jest dla ciebie
Prawa miłość i życzliwość.
Bracia twoi—wrogi twoje!
Stryj zazdrośném patrzy okiem;
On nad Litwą chce panować,
On na Litwie usiąść pragnie;
Jemu z oczów patrzy zdrada;
Zbiera wojsko na sąsiada,
A na barkach twych się oprze.
Bracia twoi—wrogi twoje!
Jedni knują zdradę w Rusi;
Już uciekli i poddali
Moskiewskiemu Dymitrowi;
Drudzy w domu cicho radzą,
Kogo w miejscu twém posadzą?
Jam ci jeden, Kniaziu, wierny.

Jam niewolnik, ja mizerny,
Ale serce w mojéj piersi
Rodzonego brata, sługi,
Wiernego psa, bije u mnie.
Kiejstut!!! nie wierz jemu, Panie!
On zawistném patrzy okiem
Na mnie, bo wié, że na straży
Stoję twojego spokoju,
Że dopatrzę w nocy zdradę,
Że nie dam mu złego knować.
Kiejstut na mnie, wszyscy na mnie.
Ciebie, Kniaziu, ja osłaniam,
Patrzę, czuwam, złe odganiam.
Nie wierz, Panie, z nich nikomu;
Zdrada u nich! w własnym domu,
Między braćmi, między twemi.
Wspomnij, wspomnij na Jawnuta.
Bodaj tobie jego losu
Nie gotował Kiejstut stary!

Wiész—po śmierci Olgerdowéj
Spadła władza z jego głowy,
Na Kiejstuta idzie prawem.
On ci jeszcze ją zostawił;
Lecz choć milczy, on niebawem,
Co z Jawnutem, zrobi z tobą!
Jam na straży. Na mnie wrogi
Mszczą się bezsilności swojéj!—

Mówił, Jagiełły oczyma
Gniew się patrzał, piersi wzdyma.
Chodzi, czoło białe chmurzy,
Słucha, staje, wzrok ponurzy,
To podniesie na Wojdyłłę,
W słowa jego wierzy święcie,
I już zdradę u drzwi widzi;
Drży o siebie, drży o władzę;
Duma, jakby ją utrzymać?

—Dość—rzekł—siedzieć, dość już drzémać,
Trzeba zdradę odprzeć zdradą.
Oni myślą, że w komnacie
Kądziel przędę, i bezsilny
Nic nie widzę, nie rozumiém!
Lecz, na Bogi! jam po ojcu
Wziął i siłę, wziął i głowę;
Czuję w sercu Olgerdową
Krew ojcowską, krew mych dziadów!

Ty, mój najwierniejszy sługo,
Coś wycierpiał, znosił długo,
Dziś zapomnisz. Daję tobie
Lidzki zamek na dzierżawę,
Z Lidą włości okoliczne.
Od dziś Kniaziom i Bojarom
Równy stajesz. Tak jak bratu
Wydział daję. Na dzielnicy,

Tak jak oni, jesteś Kniaziem.
Nikt nie będzie śmiał przeszłości
Zapomnianéj wydobywać,
Ażeby nią bić ci w oczy.
Na Perkuna! kto cię słowem
Dotknąć śmiałby, mnie obrazi,
Brata swego dotknie Pana.—

Już Wojdyłło u nóg leży,
Nogi ściska i całuje;
Twarz rumieńcem mu zgorzała,
Pierś się wzdęła przepełniona,
A na oczach dwie łzy świecą.
Powstał dumny, jakby wzrosły,
Jeszcze wyżéj czoło wznosi,
Jeszcze dumniéj wzrokiem wodzi.

—Teraz—w duszy myśli swojéj—
Mam was w ręku, Xiążąt rodzie!
Upokorzę, i za moje
Stokroć oddam wam sowicie;
Będę gniótł wam karki dumne,
Będę z wzgardą się naśmiewał.
O, za moje życie dawne,
Za wspomnienie lat dziecińṡtwa,
Wiele jeszcze, wiele muszę
Pastwić, znęcać się nad wami!
Bo za każdą chwilę sromu,

Niewolnictwa i cierpienia,
By się w duszy méj zatarła,
Muszę spłacić z was każdemu
Część pogardy, część boleści,
I krwią może trzeba będzie
Zmywać z duszy cierpień ślady.
Krwi utoczę, łez utoczę,
W łzach obmyję, w krwi ubroczę,
Ale zatrę przeszłość czarną!
Nikt nie będzie śmiał przede mną
W oczy podłość mi wytrzucać,
Łańcuch, którym u nóg nosił!
Brat Jagiełły! Jeszcze chwila,
Pójdę daléj, pójdę wyżéj,
Z krwią się jego zmięszam bliżéj!!

Rzekł, i znowu pada czołem,
I wychodzi; już nie smutny,
Raźny, z obliczem wesołém.
Któż na drodze go spotyka?

W zdartéj łachmanów odzieży,
Stara, uboga kobiéta,
Przeciw niemu krzycząc bieży,
I głosem wielkim wykrzyka,
I w objęcia drżące chwyta.

Na wybladłém licu staréj
Łzy płyną w marszczki głębokie,

Z ust głos jakiś się wyrywa.
Głos to matki. Nic na świecie
Nie ma tego matki głosu,
Kiedy wita swoje dziecię.

—O Wojdyłło! o mój synu!
Ciebież to ja widzę? ciebie?
Ty w tych szatach, ty tak wielki,
Ty na zamku Bojar starszy!
Ty Porowéj biedny synu!
Niewolniku! wzięty z gminu!
Co za szczęście matki twojéj!
Oczy jéj ujrzały ciebie,
I umrzeć może szczęśliwa!
O Wojdyłło! o mój synu!—

Lecz Wojdyłło pobladł; stoi,
Cofa się, ręką odpycha.
—Ty mi matką? ja ci synem?
Ja ciebie nie znam, nędznico!
Jam Kniaż! tyś jest niewolnicą!
Kto na zamek tę szaloną
Wpuścił babę? Precz z nędzarką!
Niech ją wyrzucą za wrota,
Niech ją psami ztąd wyszczują!
A kto jéj bramę otworzył,
Pójdzie jęczeć na dno wieży.—

Wnet siepacze porwą starą;
Ona stoi, osłupiała;
Ręce na pierś załamała,
Patrzy w oczy synu swemu,
I śmiech usta jéj wykrzywił,
Śmiech okropny, bezrozumny!

—Synu!—woła— tyś nie poznał!
Jak ci było poznać matkę?
Ona biedna, ty bogaty,
Ja w łachmanach, ty masz szaty!
A! i lice masz Bojara!
O! i serce masz xiążęce!
Tyś nie syn mój, nie Wojdyłło.
Staréj matce się przyśniło!—

Na bladéj się jeży skroni
Włos jéj siwy, lica gorą.
—Nie poznałeś, o Wojdyłło,
Nie poznałeś niewolnicy!
Tyś jéj synem! tyś się rodził
W budzie, na słomie i gnoju,
Tyś z nią za jałmużną chodził,
Póki na dwór cię nie wzięli.
Nie poznałeś! niech cię swoi
Nie poznają! niech ci żona
Wydrze oczy! niech ród nowy
Da serce krukóm na pastwę!
Niech twe kości świecą białe

Bez mogiły i pogrzebu!
Zgiń! przepadnij!—Głos ustaje.
Słudzy ciągną, trup już włoką;
Piana zimna usta broczy,
Wywrócone białe oczy;
Duch uleciał na swe dziecko
Zemsty prosić u Perkuna.

Stał Wojdyłło, zęby ścisnął,
Zbladł, i nogą w ziemię bije.
—Kto wpuścił tę starą żmiję,
Tysiąc plétni i do wieży!—
Rzekł, i pędem w zamek bieży.

XXII.

Na Troki posłańce tajemnie wybiega,
Od Turzéj on góry na Piaski gdzieś leci,
I kręci gęstwiną u Wilii brzega,
I zniknął w śnieżystéj daleko zamieci.

Brodę ma splątaną, wzrok ma obłąkany,
I włos rozczochrany, i suknię w nieładzie,
Konia prze ku Trokóm i leci zziajany.
Koń boki rozpiera, na zaspach się kładzie;

Wyciąga i leci, leci bez oddechu.
Lasami się pędzą. On podnosi głowę,
Oczyma je drogę, tak pragnie pośpiechu;
Przed nim śniegi białe i lasy sosnowe.

Ujrzał zamek Trocki, otrząsł z śniegu czoło,
Odetchnął swobodniéj, za siebie spoziera,

Śmielszy mierzy wzrokiem, zatoczył wokoło,
Już jezioro przebył, brama się otwiera;

Wbiegł i konia rzucił, ku świetlicy bieży,
Nie otrząsł obówia, snieg leci z odzienia,
Pot mu ciecze z czoła, włos na głowie jeży;
On minął podwórzec, przeleciał przedsienia,

Na komnaty wchodzi, kędy Kiejstut stary,
Z Witołdem u ognia na kamieniach siedzą.
Poczuły obcego, wzniosły łeb ogary,
Cóś mruczą do siebie i wzrokiem go śledzą.

On upadł i czołem bije o podłogę;
—Kniaziu! — rzecze — z Wilna wieści ci przynoszę.
Serce pęka z bolu, ledwie mówić mogę!
Wysłuchaj mnie, proszę, i ratuj nas, proszę!

Wojdyłło, o Panie, spiski na was knuje,
Zniechęca Jagiełłę, do zdrady podmawia,
Wojdyłło się na was z Krzyżakiem spisuje,
Na Xiążęcą władzę parkany zastawia.

Wczoraj jeszcze sługą starszym był Wojdyłło,
Dziś on Kniaź, o Panie! ma udział i włości.
Lidy mu w dzierżawę mało jeszcze było,
Do nowéj on prawa łaski sobie rości:

On śmiał podnieść oczy na krew swego Pana,
Marij Olgerdównéj u Jagiełły prosi.

Marja Olgerdówna jemu obiecana!
Niewolnik już hardą głowę nad nas wznosi.

Ratuj nas, o Panie, stare sługi swoje!
Wczoraj dwóch z nas ścięto, za to, żeśmy czołem
Nie bili Wojdylle; Olgerdowe woje
Z bracią twoją, Panie, ponękani społem.

Andrzéj Olgerdowicz przez niego na Rusi,
Narymundowicza Moskiewski przyjmuje.
Codzień się do wroga uciekać ktoś musi,
Codzień pada głowa, on wyżéj wstępuje.

Ratuj nas i siebie, o Kiejstucie Panie!
Oni się z Niemcami na ciebie zmawiają.
Wkrótce Gedymina wszystkiéj krwi nie stanie,
Niewolnicze ręce Litwą owładają.

Wczoraj, wobec dworu, Jagiełło rodzoną
Zaręczył swą Marję Wojdylle podłemu;
Za miesiąc Wojdyllo weźmie ją za żonę.
Scierpiszże to? Panie!—darujesz to jemu?—

Witold wre słuchając, Kiejstut westchnął stary.
—Na tośmy—rzekł—przyszli pod młokosa władzą!
Źle, żem ci, Olgerdzie, dochowywał wiary.-
Staremu mi umrzeć spokojnie nie dadzą.

Kiedyś sługa jeszcze zajedzie na Troki
I będzie we własnym urągać mi domu!

Ale nie doczeka! Dość starcu dwa kroki,
By zapobiedz hańbie i uniknąć sromu.

Idź, pozostań w Trokach, Olgerdowy sługo!
Tu ci niewolnicy urągać nie śmieją.
Niech Wojdyłło szali; nie poszali długo.
Od Trok przeciwnemi wiatry mu zawieją.

—Nie o nas tu, Panie, nie o sługi chodzi-
Rzekł z pokłonem Bojar.—Nie czas tobie zwlekać!
Między wami waśnie już Wojdyłło rodzi;
Z Krzyżaki się piszą—i chwili nie czekać!

Lada chwilę, w Troki na ciebie napadną,
I nie sami, Niemiec na pomoc im stanie.
Wojdyłło cię podszedł; już umowę zdradną
Podpisali w zamku. Myśl o sobie, Panie!—

Kiejstut gniewem wielkim rozżarzył się srogo.
—Na Bogi! tyś skłamał! Jagiełło pamięta,
Żem brat ojca jego. Mnie napaść nie mogą.
Przyjaźń nasza stara, braterska i święta.—

—Na Perkuna brodę! Oto czapkę kładę,
I takem mą głowę położyć gotowy,
Jeślim w ustach fałsz miał, jeśli w sercu zdradę,
Jeślim kłamliwemi łudził ciebie słowy!—

Kiejstut stanął dumny.—A więc dobrze—wola—
Na Bogi me wielkie, nie będą się cieszyć!

Zetrę niewolnikom dumne myśli z czoła,
I nie da się Kiejstut do boju uspieszyc.—

Rzekl, Witoldu szepce. Witold odpowiada:
—Nie wierz, ojcze, nie wierz! Sam k'niemu pojadę,
Zobaczę, czy w sercu Jagiełły jest zdrada,
I odkryję zmowę, dójdę cienną zdradę.

—Konia!—woła—konia! i ludzi dziesięciu!
Na Wilno!—A Bojar do nóg mu się kłoni.
—Panie! nie daj jechać swojemu dziecięciu!
Mało wam na Wilno w tysiąc jechać koni.

Naco w paszczę smoczą kłaść rękę samemu?
Naco przeciw srogiej wybierać się burzy?
Nie daj, Panie, jechać synowi twojemu!
Stary sługa złe wam nienadarmo wróży.—

—Nie bój się, Bojarze!—Kiejstut mu odpowie—
Jagiełło z Witoldem w przyjaźni zamłodu.
Przeciw mnie, nie jemu, on w tajemnéj zmowie.
Witold mu z całego najmilejszy rodu.—

Bojar głową trzęsie. Witold na koń skoczył,
Dosiada i pędzi na Wilno stolicę.
Kiejstut głowę zwiesił, wzrok dumą zamroczył,
Sparł czoło na dłoni, zatapia w tęsknicę.

Godzina minęła, mrok zapada szary,
Śniegi kręcą białe po jeziora łodzie,

Jeszcze u ogniska siedzi Kiejstut stary,
Myśli o Jagielle, duma o swym rodzie;

A często za miecz się wyszczerbiony chwyta,
Często ucho w długie posyła milczenie,
Duszy swéj się radzi, serca swego pyta,
I tamuje dłoni niecierpliwe drżenie.

Powstał, bo u bramy obcy róg zadzwonił
Nie Litewskim dźwiękiem, jakąś dziwną mową;
Kiejstut za odgłosem uszyma pogonił,
Niecierpliwe oko śle w bramę zamkową.

Na czarnym bachmacie samotrzeć wjechała,
W zbroi i przyłbicy, postać jakaś biała;
Ktoś konia rzuciwszy, szybko w zamek kroczy,
I już przed Kiejstutem. On ciekawe oczy

Wlepił na Krzyżaka, nie daje mu dłoni,
Odstąpił i patrzy. Hełm mu twarz zakrywa,
Żelazo nieznane lice wkoło słoni,
I z piersi gość niemy głosu nie dobywa.

Długo tak zostali, mierząc się oczyma.
Krzyżak znak mu daje, by sługi odprawił;
Kiejstut ręką skinął, wzrok wlepiony trzyma;
Gość hełm zrzucił z czoła, na stole postawił.

—To ty! Augustynie!—Kiejstut się odzywa,
I ręce otworzył, wita go oczyma.

On palec na ustach kładzie, głową kiwa,
I jeszcze się patrzy, czyli kogo niéma?

—To ty! Kiejstut woła—o! nie zapomniałem,
Że ty jeden z Niemców masz Litewską duszę!
Jam cię dawniéj kochał, choć jeszcze nie znałem.
Z nienawiści twoich ciebie wyjąć muszę.

Tobiem ja dar winien najdroższéj swobody.—
—Cicho—Komtur rzecze—cicho, Kniaziu Panie!
Z nowemi przyszedłem przyjaźni dowody.
Głowie twojéj grozi tajemne knowanie.

Tyś jest Chrześcjan wrogiem. Nigdy Krzyżak ciebie
Nie zdradził. Krew własna gotuje ci zdradę,
Jagiełło nasz Zakon pociągnął do siebie,
Na Kiejstuta zgubę, na rodu zagładę.

Nad Świętém jeziorem, w Daug pod twoim bokiem,
Zjeżdża Mistrz z Jagiełłą, i na twoję głowę
Sprzysięgać się mają, krwi własnéj potokiem
Bratanek przymierze zapisuje nowe.—

—Prawdaż to?!—zawoła Kiejstut.—Dziś, Komturze,
Z wieścią do mnie śpieszył wierny Bojar stary;
Lecz nie chciałem wierzyć, by z téj strony burze
Wstać miały. Synowiec nie strzymał mi wiary!—

—Słuchaj—Komtur rzecze—patrz na wiarę swoję!
Oto są owoce twéj i naszéj wiary;

Krewni na krew własną zaczajeni stoją;
Ja obcy sam z siebie nie szczędzę ofiary;

Ja Zakonu skarby w ręce ci przynoszę,
Od twéj głowy ciosy odwracam, o Panie!
A w nagrodę, Kniaziu, o jedno cię proszę:
Daj w twém sercu wierze Chrystusa mieszkanie.

Kiejstut zamilkł, tylko ciśnie dłoń Komtura,
I milczy, a łza mu po jagodach ciecze;
On patrzy, ten milczy, i cisza ponura.
— Dzięki za troskliwą o mą głowę pieczę!

Dzięki ci! O wierze nie mówmy, mój bracie!
Zdejmij z serca wiarę, co z człeka zostanie?
Zedrzyj z niego skórę, choćbyś w złotéj szacie
Chodzić mu dozwolił, szata szatą, Panie,
A zdartéj mu złoto nie zastąpi skóry!

Komtur dłoń wyciągnął, już żegna w milczeniu,
I nie rzekł ni słowa, wychodzi ponury,
Siadł na koń, w podwórcu zniknął w nocnym cieniu.

XXIII.

Kędy był Witold? Na Wileńskim zamku
Tydzień on siedział, pozostał na drugi.
Milczał, a patrzał to w Jagiełły serce,
To w twarz Wojdyłły. I dowodów zdrady
Szukał naprożno. Zdaje się, wróciła
Przyjaźń mu dawna. Brat uśmiechem wita,
Wiedzie na łowy, przyjmuje gościnnie,
Szepce do ucha tajemne swe myśli,
Które z pod serca ukryte dobywa.
Witold się dziwi, raduje, i śpieszy
Do Trok powracać. Nie puszcza stryjeczny.
—Jutro—mu rzecze—Marii wesele.
Marję druhowi daję serdecznemu.—

—Komu?—rzekł Witold—Xiążęciu zapewne?
Z Rusi któremu? z Mazowsza Lachowi?
Z Litwy naszemu? Pruskiemu? ze Żmudzi?

—O! nie! — z uśmiechem Jagiełło odpowie. —
Przy nim mi za nic pany i kniaziowie.
Brat to mój. Choć się rodził na niewolę,
Ja go wywiodłem, osłodziłem dolę,
Jam go uczynił równym mojéj braci.
On mi wiernością, on mi sercem płaci
Za wszystko. Jemu ja wierzę jednemu. —

—Bracie!—rzekł Witold—we mniez nie masz wiary?
Czyż i ja niżéj od Wojdylly stoję?
Zabyłeś starą dla mnie przyjaźń swoję. —

—Pomnę — Jagiełło zimno mu odpowie.—
Czyż dwóch przyjaciół nie znaleźć na świecie?
Czyż ty i on się zgodzić nie możecie? —

A Witold dumnie twarz spłonioną zwrócił,
Zamilkł, nie czekał wesela, powrócił.

Smutne to było na Wilnie wesele!
Wojdyłły duma przez nie urość miała,
A krew Olgerda okryć się sromotą.
Marja w zamku świetlicy odludnéj
Ciężko nad brata rozkazem płakała.
Niewolnik, dawniéj na zamku był sługą,
W komnacie Xiężnéj posługiwał długo,
I nieraz wzgardą popchnięty lub nogą,
Na dumnéj duszy przebolał on srogo,
A nie zapomniał, co cierpiał zamłodu!

Nad wszystkich srożéj, Marij go bolały
Wzgardliwe słowa. Żadnego nie stracił,
Wszystkie pamiętał, by za nie zapłacił.
Marja na ciężką szła jemu niewolę,
Płacząc, się bratu rzucała pod nogi
—Chcesz mnie ukarać? komu chcesz daj, Panie!
Wyszlij, na łódce puść w nawalne morze,
W puszczę każ źwierzóm rzucić na pożarcie,
Ale nie dawaj w nienawistne ręce!
On zemsty szuka we mnie, a nie żony!—

Jagiełło zimny, stał nieporuszony,
I nic jéj nie rzekł, wzrok tylko odwrócił,
Ręce odepchnął, a jęku nie słuchał.

Marija słała do braci, pomocy
Wzywając. Próżno! bo bracia daleko,
Bo pod Jagiełły została opieką.
Matki nie było, żeby się użalić,
Żeby od dziecka tę burzę oddalić.

I w dzień Perkuna weselni kapłani
Wiedli płaczącą w komnaty Wojdyłły.
Gdy mu obówie żona zdejmowała,
Spójrzał, uderzył, i rozśmiał się gorzko.

—Patrz, Xiężno!—wołał—przyszłaś mi na ręce!
Za wszystko dawne teraz ci zapłacę.
Jam był niewolnik; teraz, tyś poddana.

Na Bogi! Xiężno! poznasz we mnie Pana! —
Pomnisz, gdy nieraz, zgięty pod ciężarem,
Wszedłem w świetlicę i biłem ci czołem,
Tyś urągała obliczem wesołém,
Tyś nieraz słowem bolesném mnie w serce
Wbiła pogardę; i ode drzwi twoich
Nieraz mnie gnali za twemi rozkazy,
Krwawemi znacząc plecy moje razy.
Teraz ja prawo mam popchnąć cię nogą,
Duszę twą dręczyć, dręczyć twoje ciało,
Pastwić nad tobą i oddać ci setnie
Urągowisko, szyderstwo i płetnie.
Na łożu mojém tyś spocząć nie warta.
Idź u drzwi leżeć na twardej pościeli.
Wojdyłło z tobą łoża nie podzieli,
A milcz! bo jęków uszy nie posłyszą.
Jękami sroższéj doprosisz się kaźni.—

Takie wesele Olgerdowéj córy!
We łzach, na słomie Marija spoczęła.
On popchnął nogą, drzwi zamknął za sobą,
I do Jagiełły poszedł się weselić.

Ona nie spała, ona łzy gorzkiemi
Wianek dziewiczy swój opłakiwała.
Nie taką dolę wróżyła jéj matka,
Nie takiéj ojciec spodziewał się stary,
Nie takiéj młodość świeciła jutrzenką!

A teraz ona zeszla na służebną
Niewolnikowi! Olgerdowéj córce
Serce się wzdęło, jak morze na burzę;
Płakała, miecza szukając dokoła,
A nic nie było, tylko garstka słomy
Na pośmiewisko u progu rzucona;
Płakała biedna. Aż do drzwi ktoś kroczy.
Ona wybiega, i patrzy ze łzami,
Komu się skarżyć, przed kim żal pokazać!
Stary to Bojar Gierdo, przeszedł mimo
I zniknął w mroku. Marija go woła.
Zwrócił się, stanął, patrzy, nie pojmuje,
I oczóm swoim, choć widzi, nie wierzy—
Olgerda córka we łzach, stoi w progu,
Ręką na słomy garść u drzwi wskazuje.
—Marjam! ja Maria! ale nie Olgerda,
Nie Pana Litwy córka ulubiona!
Podłego sługi, niewolnika żona,
Co na krwi Pana mści się swéj niewoli.
Patrzaj, o Gierdo, lituj się méj doli!
Próżno Jagiełły prosić, jemu żalić,
Jedź do Kiejstuta, niech Kiejstut ratuje;
On krwi braterskiéj może pożałuje,
Nie da się słudze pastwić nad swym rodem.

A Gierdo stoi i duma głęboko;
I jemu nieraz dojadł już Wojdyłło;
On pałał zemstą, tylko strach, starości

Odebrał siły. Na widok się Xiężnéj
Oburzył znowu, cóś mruknął i znika.

I znowu do Trok ktoś po nocy bieży,
Gdzie Kiejstut z synem na naradzie siedzą,
Nowemi wieści do serc ich uderzy.
Oni cóś radzą tajemnie, szeptają;
Posła słuchali, spójrzeli po sobie,
Co czynić mają? nikomu nie mówią.
A noc spłynęła, oni nie usnęli,
Starszych wołają, coś knują pociehu,
I gońców kilku do Wilna posłali.

Jeden powraca, i takie im wieści
Przynosi: w Wilnie gród pusty, wojsk niéma;
Wszystkie w Połocką ruszyły wyprawę;
Na zamku mieszczan kilkuset straż trzyma;
Wojdyłło szali, i wszelką obawę,
Widać, przymierze z Krzyżaki odjęło,
Przymierze, którém kupiono spokojność,
Wyjąwszy z niego Kiejstutowe xięztwo.
—Czas, Kniaziu, jechać, bratanka odwiedzić,
I.... — Czas!—rzekł Kiejstut.—Zaraz lud gromadzą,
Witold niech idzie w Podlaskie swe włości,
Ja sam z Jagiełłą i Wilnem poradzę.—

XXIV.

Po nad grodem Gedymina
Turza góra, zamkiem strojna,
Wznosi czoło uwieńczone
W murów czerwonych koronę;
U stóp góry Neris płynie;
Nad nią Swintorohy pole
Xiążęcemi mogiłami
Usypane; a na straży
Perkunowa tuż świątynia,
Gdzie się Znicza ogień żarzy;
Dalej za wał, za parkany,
Wilno pstrym się ciągnie sznurem;
Kościoł z krzyżem w jednej stronie,
W drugiej cerkwi dachy świecą;
Tam słup stoi, gdzie męczeńska

Krew pogańską chrzciła ziemię;
Lecz najwyżéj gród Xiążęcy,
Dach świątyni, dym Zniczowy,
Po nad miasto wznoszą głowy.

Cisza w grodzie Gedymina;
Lasy wkoło go objęły,
Góry ścisnęły dokoła;
Milczy miasto śpiące w dole,
Milczą góry lasem strojne;
Nawet Neris, mrozem zjęta,
Falą niebieską nie szumi;
I na zamku cisza długa;
Dym się tylko czarny wznosi
Od ogniska, gdzie Jagiełło
Z ulubionym siedzi sługą;
Straż milcząca u wrót chodzi;
Nigdzie orężnego ludu,
Nigdzie krzyku bojowego;
Cisza, tylko po nad lasy
Ciągną ptacy z wieszczym krzykiem.

Od Trok, Lidy, Antokola,
Zmrokiem, cicho, jacyś ludzie
Idą w miasto, rozproszeni
W drobne kupki, małe grona;
Coraz kilku w miasto wpłynie,
Kędyś zapadnie i zginie.
Znać ze twarzy i odzienia,

Z pobożności znać Żmudzina:
Bo na widok się świątyni
Każdy z nich o ziemię rzuca,
Głowę zarosłą odkrywa
I szepce ciche modlitwy.
Coraz nowe tłumy śpieszą,
I jak w morzu nikną rzeki,
Tak oni znikli wśród grodu.
Wszystkich miasto pochłonęło.
Znowu cisza w starym grodzie.

Lasy wkoło go objęły,
Góry ścisnęły dokoła;
Leży, zasypia w dolinie;
Milczą góry lasem strojne;
Nawet Neris, mrozem zjęta,
Falą niebieską nie szumi;
I na zamku cisza długa;
Dym się tylko czarny wznosi
Od ogniska Xiążęcego.

Od Trok, Lidy, Antokoła,
Ciągną wozy, ładowane
Sianem, słomą, skórą kryte;
A przy każdym z nich woźnica,
Żmudzin, znać z odzieża, z mowy.
Wszyscy wolno w miasto jadą,
Obozem się w mieście kładą.
—Co w tych wozach?— strażnik pyta.

—Siano, słoma, skóry, bracie!
Do Pana wieziem na Troki.—
Strażnik milczy, a woźnice
Dzikim jakimś śmieją głosem
Stali w rynku, poglądają,
Szepcą z sobą i czekają.
Piesi ku nim się gromadzą,
To gdzieś pójdą, to cóś radzą.
A liczba ich rośnie coraz,
Z wozów, zda się, cóś ubywa,
Ale ruchy noc pokrywa.
Znowu cisza w starym grodzie.

Cóś na Trockiéj czerni drodze,
Jakiś szmer przerywa ciszę.
Ludzie z chat powybiegali,
Patrzą, dziwią; czy uciekać,
Czyli pozostać, nie wiedzą.
—Nasi to—poznali z mowy,
Litwini—widać z odzieży.
I wszyscy stoją w milczeniu.

Na drodze od Antokola
I od Lidy cóś czernieje.
Zewsząd wojsko gród zalewa,
Turzą górę opasuje.
Aż róg Kiejstuta odzywa
I strażnika wywołuje.
Na głos rogu, zewsząd głosy

Jednym wrzaskiem się ozwały.
Trzysta Żmudzi z łukiem stoi,
Sześćset z wozów wyskoczyło,
Tysiąc Kiejstut przywiódł z sobą.
Gród zajęty; zamek wkoło
Opasany żywym murem;
Otwarte na rościeź wrota;
Wojsko się w podwórce miota.

Gdzie Jagiełło? czy śpi jeszcze?
Gdzie Wojdyłło? czy ucztuje?
Czy..swą młodą pieści żonę?
Czy na zdrady się gotuje?
Czy Bojarom się urąga?
Nowych ziem i nowéj władzy
U Jagiełły się doprasza?

Cisza w zamku; dym się wznosi
Od ogniska Xiążęcego.
Kiejstut słudze oddał konia,
Sam jeden w komnaty śpieszy.
Wojdyłło go spotkał w drodze.
— Kniaziu! — rzecze ulubieniec,
Dumnie przed nim wznosząc czoło —
Wasz i mój Pan widzieć z wami
W téj godzinie się nie może.
Nazad na miasto powróćcie,
I pokoju nam nie kłóćcie. —

Kiejstut dłonią niewolnicze
Usta stulił.—Nie mam pana!
Krzyknął głośno twój, mym jeńcem!
Idę nie o słowo prosić,
Ale karać go za zdradę.—

Sługi woła.—Zwiążcie! strzeżcie!
W najciemniejszy loch go wrzucić,
Najcięższemi spętać więzy!—
Struchlał dumny ulubieniec,
Upadł czołem; ten go mieczem
Popchnął i szedł swoją drogą.

W drzwiach komnaty, blady, drżący,
Synowiec Kniazia spotyka;
On nań wzrok rzucił gniewliwy.
—Dziękuj krwi twéj, że ci łyka,
Razem z tamtym, kłaść nie każę.
Brata mego pamięć droga,
Droższa, Jagiełło, niż tobie,
Coś na pastwę niewolnika
Siostrę swoję dał rodzoną.
Wiém o zdradzie, wiém o zmowie,
Tyś niewolnik, na méj łasce.
Wiész o losie Jawnutowym;
Ale Jawnut nas nie zdradzał;
On tylko w kobiécéj dłoni
Wielkiéj Litwy nie mógł strzymać;
On na niewolnicze ręce

Nie zdał nas, nie przedał wrogóm!-
Rzekł, i sługóm nań wskazuje.
—Pęt mu nie kłaść, strzedz w ciemnicy.—
A Jagiełło blady stoi,
Słowa nawet rzec się boi,
Szumi mu w uszach i głowie;
Oczy chodzą krwią zalane
I szukają kogoś wkoło;
Krew to blade zleje czoło,
To do serca ustępuje;
To się wstrzęsie, to ponury
Wzrok do drzwi zwraca, do okna,
Jakby szukał, jakby czekał,
Czy kto nie wyjdzie z ciemności,
Nieproszonych wygnać gości?

Kiejstut na komnaty śpieszy,
I od skarbcu bierze klucze,
Zamek z końca w koniec schodzi,
Bo nie wierzył wieści zdrady;
Ale żywe znalazł ślady;
Na żółtéj spisane skórze
Przymierze w skrzyni leżało.
Kiejstut porwał, aż zawrzało
W oczach, w piersiach; podniósł w górę
I pod nogi deptać rzucił.
—Patrzcie, otoż to zapłata,
Żem ukochał dzieci brata,

Żem się dla nich wyzuł z władzy!
Żem koronę im na głowę,
Dał, a sobie szablę tylko
Pozostawił, i na straży
U synowca stał we wrotach!

I oczyma po téj karcie
Wodzi, oczóm swym nie wierzy,
I z nią w ręku, jak szalony,
Do Jagiełły znowu bieży.
On złamany wpół, zgarbiony,
Jęczał na dnie dolnéj wieży,
Gdy w drzwi bijąc, Kiejstut leci,
I podchodzi, w twarz synowca
Bijąc zapisaną kartą.
—Patrzaj, zdrajco! społń ze sromu!
Wszak cię śmiercią karać warto!
Kupczyłeś krwią swego domu,
I mnieś przedał Krzyżakowi.
Gdyby nie ta krew płynęła
W żyłach twoich, dziśbym jeszcze
Urągał się śmierci twojéj!
Dziśbyś jeszcze na Turzysku
Śmierć haniebną odniósł w zysku
Za niewiarę, za przedajne,
Zmowy podłe, spiski tajne.
Co mi powiész? powiész słowo?
Czegoś głowę wtopił w ziemię?

Mów, czyś ty dał mnichóm słowo,
Czyś ty przedał swoje plemię? —

— Ja — Jagiełło mu zawoła,
Skrwawionego wznosząc czoła —
Ja! jam karty téj nie pisał. —

— Pieczęć twoja! — Ja nie kładłem,
Jam przymierze zawarł tylko;
Ale słowa w niém nie było,
Coby na ciebie godziło.
Na Perkuna, na mą brodę,
Na ojcowski grob przysięgam. —

Kiejstut stał, a potem pędem
Wybiegł niżéj w lochy ciemne;
Gmachy przeleciał podziemne,
Nogą w drzwi dębowe bije
I otwierać każe sobie.

W ciemnéj cieśni, w czarnym grobie,
Co nad głową cięży nizko,
Leżał zausznik Jagiełły;
Rano, jeszcze pan nad Litwą,
Wieczór, tłuszczy pośmiewisko;
Skrępowany, powiązany.
Warga mu się krwią zapiekła
I źrenica krwią zaciekła;
Ale jęku nie wycisnął
Strach, co nad głową zawisnął.

Spójrzał—sroga twarz Kiejstuta
Nad nim stoi; jak przykuta,
W duszę patrzy mu źrenica;
Przed jéj wzrokiem tajemnica
Nie ukryje się, nie schowa.
Kiejstut w jeńca bije nogą,
Kiejstut w twarz na powitanie
Plunął, i obelgą srogą
Z odrętwienia go wywodzi.

—Patrz—zakrzyczał—żmijo podła,
Patrz, do czego cię przywiodła
Wielkość twoja! zdrady twoje!
Dowód trzymam w mojém ręku.
Chciałeś stawić nam na karkach
Swoję wielkość! nam na barkach
Zamek sobie pobudować!
Ale Bogi w czas znać dały.
Wszystko widne—tyś mój cały!
Jutro kara! jutro kara!
O! na Bogi, niechaj Saule
Prędko zemsty dzień oświeci.
Przez noc oka nie zamrużę,
Póki nie ukończę z tobą.
Patrzaj! maszli wstyd? człowiecze!
Niech ci krew po twarzy ciecze,
Bo łzy twojéj, łez twych mało!

Patrzaj — widną twoja wina,
A jutro — kary godzina. —

Wojdyłło głową o ziemię
Bije w milczeniu, i pada.
— Daruj mi, daruj, o Panie!
Moja niewdzięczność i zdrada!
Moja wina! Jam zasłużył
Na karanie, lecz tyś wielki!
Co ci przyjdzie z krwi kropelki,
Którą zlejesz ziemię czarną?
Strąć mnie w lochy, strąć w niewolę,
Każ psy swoje karmić, Panie!
Posłuszny na rozkazanie,
Będę ciężką znosił dolę;
Ale śmiercią mnie nie karaj,
Ale nie bierz mego życia.
Pójdę, oczy twe mnie więcéj
Nie zobaczą, nie spotkają. —

— Życie! tobie! życie! tobie! —
Woła Kiejstut. — Jabym swego
Dziś za zemstę nie żałował.
Słuchaj! kiedy słońce wstanie,
Jutro na Zamkowéj górze,
Gdzie już raz mnichy wisiały,
Gdy tłum mścił na nich zuchwały,
Jutro tobie, chrześcijan druhu,

Wisieć także. Noc ci daję.
Przez noc jęczeć możesz jeszcze,
Włosy wyrwać z podłéj głowy
I o lochu bić się ściany.—

Rzekł, i wyszedł zadyszany,
Znowu gdzieś na zamek śpieszy:
Zbiera ludzi, i obsadza
Mury, wały, grodu wieże;
W miasto hufce porozsyłał.
Każdych wrót już Sargas strzeże,
A posłaniec ku Grodnowi
Śpieszy, zanieść Witoldowi
Wieść Kiejstutowéj wyprawy.
I posłańcu powiedziano:
Niechaj Witold w skok przybywa,
Zemstę widzieć, zdrajców witać,
I przy ojcu zasiąść w Wilnie,
Na dziadowskim starym grodzie,
Gdzie się krew ma toczyć winna,
Gdzie Jagiełło okowany
Czeka na śmierć lub niewolę,
Czy swobodę gdzieś w ukryciu,
Hańbę w śmierci, hańbę w życiu.

XXV.

Na Wileńskim zamku, na Świętéj dolinie,
Kiejstut siadł, i patrzy, kędy Neris płynie;
Patrzy, jak się głowy gór wkoło podnoszą,
Stary gród ojcowski ogląda z roskoszą;
I uśmiech po ustach błędny mu przelata:
Bo dawno tu nie był, bo młode swe lata
Przypomniał. Lecz teraz nie młodość wspominać,
Bo karać czas przyszedł, i wieszać, i ścinać.

Znów chmurno na czole. Powstaje z kamienia,
Klasnął w dłoń na sługi, wywołał z przedsienia.
—Biegnijcie na wieżę! patrzajcie na drogę!
Czas karać winnego; Na Witolda czekam;
Ubiegł już dzień cały, ja zwlekam a zwlekam,
A jeszcze doczekać, dopatrzyć nie mogę.—

I słudzy pobiegli—patrzają, śpi droga,
Tuman się nie wznosi, nic na niéj nie czerni;
Tylko się po mieście przechadza załoga;
Wojsko Kiejstutowe, Bojarowie wierni.

Na zamku, na mieście, wciąż lękając zdrady,
Obsiedli, i w zbrojne zbierają gromady.

A Kiejstut znów duma. Ciężko mu z Wojdyłłą
Dzień długi pod jednym przeżywać już dachem.
Niechby się co prędzéj zemstą nasyciło,
Zdradę i zdrajcę jednym zwaliło zamachem.

Jagiełło strzeżony łzy płacze gorzkiemi.
Nie xięztwa żal mu tak, nie władzy straconéj,
Lecz hańby, co czoło plamami czarnemi
Na wieki piętnuje. Bez walki zginiony!
Wojdyłło związany co chwila wygląda
Siepaczów. Na duszy niecierpliwość trwożna.
On kary chce prędkiéj i śmierci pożąda,
A i śmierci nawet przyśpieszyć nie można.
I co drzwi zaskrzypią, co chód da się słyszeć,
To głowę podniesie, to przestaje dyszeć,
Patrząc, się podnosi. Drzwi miną. Dzień cały
Nikt chleba nie przyniósł ni wody spleśniałéj.
Woda, co ze sklepień na usta mu ciekła,
Padając kroplami, pragnieniem go piekła,
Powietrze dusiło, głód srogi dojmował,
I więzów już swoich zerwać nie probował.

Dzień płynie. O, gdyby choć szelest pod drzwiami,
O, gdyby głos ludzki z przekleństwem na głowę!
Milczenie śmiertelne; a woda kroplami
Wciąż zwolna upada w kałużę grobową,
Gdzie dziwne się gady wylęgły; wzrok płowy

Podnoszą zdziwione na więźnia twarz wściekłą;
Podlażąc, śliskiemi krępują okowy
Ręce mu związane, pierś potem ociekłą.
Południe — blask dniowy przez okno zaświtał,
A więzień wzrok podniósł, zębami zazgrzytał.
Nikogo! Pragnienie ogniem go paliło,
Głód jadł go, i chleba dać komu nie było!
Aż drzwi się otwarły, a we drzwiach ktoś staje.
— To ona! to Marja! — Z uśmiechem wzrok topi.
— Tyżeś to? Wojdyłło! — ze śmiechem mu łaje —
Tyś wrócił w niewolę, w twój podły stan chłopi,
Coś chodził w szkarłacie, i pańską krew z swoją
Męszałeś? I gady już cię się nie boją,
Pełzną ci po piersi i patrzają w oczy!
Ropucha ci w usta jad z pianą swą toczy!
Gdzie słudzy, z których plec krew nieraz pociekła?
Gdzie żona, co drżąca za tobą się wlekła,
Ta, której kazałeś służyć ci schylonéj?
Tyżeś to? Wojdyłło! w kałużę rzucony,
Mój mężu i panie! O, tyś to! Przychodzę
Zobaczyć, pocieszyć się zemsty widokiem.
Niech duszę nasycę, niech serce ochłodzę,
Po wielkiéj sromocie, po żalu głębokim. —

On głowę powoli od piersi podnosi,
Obelgóm odrętwiał i łżeniom szalonym;
Nic nie rzekł, lecz głosem konania omdlonym,
O kroplę ją wody i o chleb ją prosi.

— Ty wody chcesz! chleba! ty prosisz, Wojdyłło!
O, niéma litości, jak mnie jéj nie było,
Gdym u nóg pełzając, w łzach cała, krwi cała,
Litości spokoju i spoczynku żebrała.
Pij błoto z kałuży, jedz swoje wnętrzności,
Gryź więzy, Wojdyłło! To strawa dla ciebie.
Zapomnij o wodzie, zapomnij o chlebie,
Bo serca ty nie masz na świecie jednego;
A podłyś, jak gad ten, co pełza po tobie,
Brudniejszy od wód tych, co na twarz ci biegą.—

I śmiechem wtórując, na oczy mu obie
Stąpiła nogami — żrenice wyprysły,
Jęk z piersi się wyrwał, łzy krwawe zawisły
Na bladych policzkach. A ona, jak wściekła,
Na twarz mu plunęła, i klnąc go, uciekła.

— Biegnijcie — rzekł Kiejstut — biegnijcie na drogę.
Czas przybyć Witoldu. Naprózno go czekam,
I myślę, a myślą napadam na trwogę;
Chcę zemsty, a zemstę dla niego odwlekam.—
Sludzy wnet polecą, patrzają — spostrzegli,
Tumany gościńcem ku miastu się włoką,
I z wieży z tą wieścią do Xięcia przybiegli.
— Tumany czarnieją, lecz jeszcze daleko!—

Sam Kiejstut na wieżę wystąpił wysoką,
Popatrzał, podumał. — To Witold tak śpieszy.—

I w wrota pobieży otwarte széroko—
Znać bardzo niecierpliw i bardzo się cieszy.

Już mury minęli i wrota przebyli,
Już w mieście podróżni. A Kiejstut na moście
Witolda pochwycił, nie daje i chwili.
—To Witold! to syn mój! Witajcie mi, goście!
W sam czas mi przybywasz! Przybywaj mi z radą
Co robić ze zdrajcą, co robić ze zdradą?-
Jagiełło pod wieżą, Wojdyłło w ciemnicy.
Na pniu położyli głowy zausznicy.
Co robić z Jagiełłą? co robić z Wojdyłłą?—
—Gdzież zdrada?—rzekł Witold—wszakże jéj nie było.
Jeśli jest, niech za nią zausznik odpowié;
Ja w zdradę nie wierzę, Jagiełłę kochałem.
Ojcze mój! na krewnéj nie mścijmy się głowie,
Bo Bogi na rodzie mścić będą się całém.
Ja w zdradę, o ojcze, w złość jego nie wierzę.—
—Masz dowód—rzekł Kiejstut—masz, patrzaj—przymierze
Tu stoi! Niech mnich ci przeczyta, w ich mowie,
Że przedał nas obu, na mojéj knuł głowie
Swą wielkość budować. I pisze Mistrzowi,
Że Żmudzi, Żmudzkiego Kniazia się wyrzeka,
Że nawet wspomoże Krzyżaków w potrzebie.
Co Witold mi na to? co syn mój odpowié?
Czy nie dość jam cierpiał? czy nie dość jam zwlekał?
Czy nie czas, nie warto z ich karków spaść głowie?—
—Posłuchaj mnie, ojcze, a potém czyń woli

Zadosyć, jak zechcesz, jak serce ci powie.
Jam świadom Jagiełły ohydnéj niewoli;
Byłem sam na zamku, i byli świadkowie,
Co ze mną powiedzą, kto rządził za niego.
A brata mi oszczędź, synowca swojego!
Krwi jego nie żądaj! Wojdyłło cię zdradzał;
On z mnichy się związał, on mnichy nasadzał;
Wojdyłło niech padnie za zdradę ofiarą!
Jagielle....— A jemuż więc żadną już karą
Słabości — rzekł Kiejstut — złéj woli nie płacić?—
— Jagielle dać xięztwo i władzę utracić.—
— To mało! — To dosyć. Wypuścić na wolę,
A ciężko mu będzie wstyd znieść swój i dolę.
Upadnie, jak Jawnut, zniewagą przybity.
Ty, panuj, mój ojcze! On z Wilna wygnany,
Gdzieś w lasy daleko, od oczów zakryty,
Niech żyje na hańbę i żale skazany.
To brat mój! i ja go kochałem, jak brata;
A zginie, to ciężką będzie mi ta strata,
Jak gdybyś mi rękę odcinał od ciała,
Co przy niém wyrosła, i co je wśpierała.—

Rzekł Witold, i ojcu do nóg się potoczył.
A Kiejstut rękami schwycił go za głowę,
I milcząc, na zamek ku wrotóm poskoczył,
Myśl jakąś zapewne hodując już nową.

XXVI.

Nazajutrz, słonce nim wstało,
Już się w zamek lud gromadził.
Kiejstut na kamieniu siedzi,
Obok Witołd z mieczem w dłoni,
A dwornia czeka rozkazu.
—Więźniów do mnie przyprowadzić.—
Skoczą natychmiast i wloką.
Przodem Jagiełło schylony,
Wzrok w ziemię, barki zgarbione,
Jak ciężarem przywalone,
Idzie, jakby szedł na ścięcie;
Ani obejrzy się wkoło,
Ani stryjowi pokłonił,
Ani na Witołda skinął;
Stanął, i czeka w milczeniu.

—Słuchaj! -rzekł Kiejstut powstając—
Warteś kary za twą zbrodnię;
Lecz Olgerdowa krew w tobie!
Nie chcę haniebną ją śmiercią
Rozlewać, ród hańbić własny.
Pójdziesz swobodny, i bratu
Będziesz za wolność dziękować.
On cię od zemsty zasłonił.—

Jagiełło stał bez podzięki,
Nie schylił głowy, ni wzrokiem,
Ni słowem wdzięcznem przemówił;
Tylko po chwili rzekł zcicha:
—A Wojdyłło? a Wojdyłło?—
—Jego, zobaczysz, co czeka!
Chcę, żebyś patrzył na karę,
Byś ją pamiętał na wieki.
Oto i jego prowadzą.—

Z sinem ciałem, krwią ociekły,
Wojdyłło wlókł się za tłumem;
Zadrżał, słysząc głos Jagiełły,
Głowę podniósł, trząść się począł,
I—Bądź przeklęty!—zaryczał—
Przeklęty! Olgerda synu!
Za ciebie śmierć ja ponoszę!
Na coś mnie wyciągnął z błota?
Na co podniósł? i niedźwiedzia
Z lasu wziął, bym oswojony,

Służył potém na igrzysko?
Może dzisiaj gdzie na dzieży
Spokojnie piłbym miód z rogu
I strzały ostrzył na wojnę.
Bądź przeklęty!— Pienił z złości,
Aż się pod siepacza ręką
Głos krwawą stłumił paszczęką.

Lecz doszedł Jagiełły uszu.
On zwrócił głowę, z litością
Spójrzał, bez złości i gniewu.
A Kiejstut rękę podnosi
—Na górę wieść go! na górę!
Jest dąb tam stary na wierzchu;
Niech ten, co mierzył wysoko,
Wysoko na nim zawiśnie.—

I zaraz ciągną siepacze,
A za niemi tłum się ciśnie,
A za niemi, wielkim głosem
Wołając, idą Kniaziowie:
Bo Wojdyłło nie miał druha,
Bo z każdego krwi utoczył;
I wszyscy teraz poklasną
Srogiéj śmierci zausznika;
I lud radośnie wykrzyka.
Jeden Jagiełło w milczeniu,
Nie śmié nawet podnieść wzroku.
Mijają wieże zamkowe,

Mijają wały nad rzeką;
A wciąż tłum wrzeszczy szalony,
Wciąż Wojdyłło klnie Jagiełłę;
I Marja krok w krok za mężem,
W uszy mu bije przekleństwy:
— Oto twój pochód zwycięzki!
Oto twa wielkość, Wojdyłło!
O, lepiéj, lepiéj ci było
Z błota twego nie wychodzić,
I niewolnikiem pozostać!
Słyszysz te krzyki dokoła?
Twa to drużyna wesoła,
Co wczoraj jeszcze przed tobą
Padała, bijąc ci czołem,
Dziś z wrzaskiem na śmierć cię wiedzie;
I nieodstępna twa żona
Krok w krok za tobą, Wojdyłło!
Chce patrzeć na męki twoje,
Chce widzieć twoje skonanie,
Aby na całe się życie
Słodkim napasła widokiem.—

Siepacze Wojdyłłę wleką;
On ich pyta:—Czy daleko?—
— Daleko!— woła mu żona—
Krwawa jeszcze, długa droga!
Chciałabym, byś nią szedł wieki,
Byś wołał śmierci naprożno,

I w mękach nie mógł wymodlić.
Jeszcze daleko! daleko!
Długa jeszcze, długa droga!
Ale już stryczek gotowy.
Dla Xiążęcéj twojéj głowy,
Już się na dębie kołyszą —
Dwóch siepaczy i czekają.
O! nadto prędko umierasz!
Patrz, jaki pogrzeb wspaniały!
Tysiąc cię ludu prowadzi,
Na czele wojska, czeladzi,
Na czele dworni rozlicznéj.
Żyw idziesz na stos, Wojdyłło!
Nie masz oczów, nastaw uszy,
Nasłuchaj swojéj katuszy.
Za moje męki to kara,
Za mój wstyd śmiercią zapłata!—

A lud radośnie wykrzyka,
Lud, śmiejąc się, bije w dłonie,
I do Wojdyłły przymyka,
Sromoci go zemstą swoją,
Bije, plwa nań i urąga,

Długo tak, długo ścieżkami
Szli, gdzie dąb stoi na górze;
Aż gdy do niego zbliżali,
Upadł im więzień bezsilny.
Wówczas sznurami siepacze

Po grzbiecie bijąc go, zmuszą,
Ażeby powstał na nogi;
Ale napróżno; ból srogi,
Ani wycisną katusze
Jednego jęku z ust jego;
Martwy pod drzewem upada;
I wnet na rękach gromada
Do petli z łyka go wznosi,
Z okrzykiem gardło mu ściska,
I wrzeszcząc, ciągnie za nogi.
Wojdyłło ducha wyzionął,
I piana z krwawéj paszczęki
Kłębiąc się, duszę wyniosła!

Spójrzała Marja, pobladła,
I nieruchoma, u drzewa,
Jęknąwszy, martwa upadła.

— Taka jest zemsta Kiejstuta! —
Spójrzał, i nazad na zamek
Śpieszy, wieść każe Jagiellę.
On smutny za nim się wlecze;
Ani go Witolda słowa,
Słowa pociechy i zgody,
Z odrętwienia wywieść mogą;
Dusza i usta zamknięte,
Wzrok stępiały, wargi ścięte!

Na zamkowéj, na świetlicy,
Kiejstut usiadł przy ognisku;

Dokoła niego Bajoras,
Dokoła syny i krewni,
I Jagiełło stoi wdali,
Smutny, z pochyloną głową.

— Słuchaj! Kiejstut doń zawoła.
Widziałeś, jak zdrajców karzą?
Krwim twéj, nie ciebie, oszczędził;
I nie puszczę cię żebrakiem,
Byś po drogach chleba prosił,
Lub do obcych sciągał rękę;
Krewo ci z Witebskiem daję,
Kawał ziemi i xięztw dwoje.
Dość na słabe barki twoje.
Nie umiész bić się, ni rządzić.
Idź, i skarby zabierz z Wilna,
Wywież na nowe twe xięztwo;
Nie chcę ci spadku odbierać.
Mnie po bracie należało
Rząd zabrać i władzę całą,
Teraz powracam do swego.—

Rzekł, a Jagiełło upada
Na kolana; lecz milczący,
Słowa przebąknąć nie umié.
Czy to bojaźni, czy dumie
Przypisać, Kiejstut sam nie wié;
Ale hamuje się w gniewie,

Każe powstać synowcowi.
— Idź, idź, Jagiełło! a bratu —
Rzekł — podziękuj za swobodę;
Bo na Perkuna klnę brodę,
Gdybym sam sądził, sam karał,
Gdybym na niego nie czekał,
Byłbyś dziś wisiał z Wojdyłłą,
A nad głowami waszemi
Karta przymierza z Krzyżaki! —

XXVII.

NAD NIEMNEM, nad Wilją, stare dęby stoją,
Nad Niemnem, nad Wilją młode dęby rosną;
I wnuki po dziadach u ich wód się poją,
I wiosna po zimie, i lato za wiosną,
Przechodzą, przelecą—zawsze wody wodą,
Płynęły jak płyną, ku morzu się wiodą;
Liść rośnie i spada, sypią się mogiły,
A wody tak płyną, jak od wieków były;
Ni je smutek wstrzyma, ni radość pośpiesza;
Czy łza w nich dziewicy, czy krew wroga wmięsza,
Przechodzą, przelecą—zawsze wody wodą,
Płynęły jak płyną, ku morzu się wiodą.
Tak i życie nasze, na łzach, czy weselu,
Płynie, jak te wody, do grobu—do celu!

Na smutnym Witebsku Jagiełło sam siedzi,
Sam jeden, sam jeden! I nie ma u boku
Druba już, Wojdyłły, co dawniéj wejrzenia,
Co dawniéj skinienia, posłuszny, czatował;
A bracia go tylko lekkiemi słowami
Chcą cieszyć we smutku; lecz ze słów znać braci,
Że serce nie boli, że w sercu się cieszą
Nieszczęściem braterskiém. On teraz im równy,
Bo zstąpił z stolicy; on niższy dziś od nich!

A jemu! dnie, noce, myślami ciężkiemi,
Jak mgłami czarnemi, zasnute ponuro!
Na słowa pociechy skinienia nie rzuci.
Sam Witold na zamek Witebski go przywiódł,
Witold mu na rany lał leki pociechy;
Lecz zamiast wdzięczności, Jagiełło i słowa
Nie wyrzekł dobrego; a w sercu cóś chowa,
Co?—zemstę!—nie może zapomnieć Wojdyłły.

I smutno czas płynie na zamku Witebskim!
Napróżno go matka pociesza, żal słodzi,
O dawnych mu dziejach, o starych mu zemstach,
Wygnańcach, co potém na wrogach pomścili,
Pocichu cóś mówiąc. On milczy uparty;
A imie Wojdyłły gdy kto doń wyrzecze,
To łza mu ukradkiem po twarzy pociecze.

Lecz że łzy zarówno, zarówno z tęsknotą,
Jak z śmiechem, weselem, dni płyną człowiecze:

Szczęśliwe przelecą, a ciężkie przegniotą;
A równo i szczęście i boleść uciecze.

Raz wieczór był ciemny i burza na dworze,
I wichry w ciemnościach szalały samopas,
W krużgankach zamkowych świszczały ponuro,
Do okien się tłukły; i promień ogniska
Z dymami na izbę przed wiatrem uciekał;
I ptastwo do blanków, do drzew się tuliło
Jagiełło sam siedział, zgarbiony, ponury,
Cóś szeptał, jak gdyby chciał duchy zaklinać,
Wejrzeniem nieśmiałém na czarne wiódł mury
I wzdychał; a sługi w przedsieniu wesoło
Pieśniami mu serce zbolałe jątrzyli.

Czy wicher tak zawył? czy wrota zaskrzypły?
Czy róg się odezwał? czy puhacz skowycze?
Czy wjechał gość jaki? czy szumi w krużgankach?

Powoli komnaty drzwi przemkną się napół,
Służebnik przed panem z pokłonem upada.
—Kniaziu mój! podróżny przyjechał do ciebie.
Czy każesz go puścić?—
—Z daleka podróżny?—
—On z Wilna; po pilnéj przybieżał potrzebie,
I prosi, i błaga, by widzieć się z tobą.—

—Zapytaj o imie.—On imie powiedział,
To Hanul Nakiemna.—
—Niech wnijdzie tu do mnie;
I podać mu wodę, podać mu róg złoty,
I placki, i mięso, i miodu Krewskiego.—
Tak mówił; powstaje, sam do drzwi pośpiesza;
A w oczach nadzieja i radość raz piérwszy
Zabłysły; aż słudzy odmianie się dziwią.
Wszedł Hanul, i twarzą do ziemi przypada;
Jagiełło podnosi, za rękę go ciśnie,
—Ty tutaj!— zawołał—ty tutaj! ty u mnie!
I cóż cię, mój stary, na Witebsk przygnało?—
Tak mówił, a w głosie od płaczu mu drżało,
I oczy w starego jaśniejące wlepił,
Starą dłoń zatrzymał z uczuciem braterskiém.

A Hanul Nakiemna był starzec już siwy,
Olgerda dworzanin, Jagiełły druh z młodu,
Przyjaciel Xiążęcia, krwi jego i rodu.
Włos mu już się srébrzył, a jeszcze policzki
Jaśniały rumieńcem, i oczy pałały.
Na sobie miał czarne odzienie zszarzane,
Nóż tylko za pasem, kij tylko okuty,
A włosy od prochu i pyłu zwalane,
A plecy od wieku i znoju schylone.

—O, powiedz mi, Hanul—Jagiełło zawołał—
Co w Wilnie się dzieje? jak stryj tam panuje?
Czy pamięć tam ojca brat całkiem wymazał?

I o mnie, i o nas zapomnieć przykazał?
Czy wiedzą na Litwie, że żyje Jagiełło?
Czy synom Olgerda nie postać tam więcéj?—

—Nie!—Hanul odpowié—nie! Ród wasz Xiążęcy
Na starą do grodu powróci siedzibę,
I tam, tam zasiędziesz, gdzieś przeżył od młodu;
A pamięć Olgerda nie zgasła na Litwie,
Ni ramię Kiejstuta wymazać ją może.
Wy zawsze przytomni! wy zawsze tam z nami!
A cicho lud gwarzy, wygląda powrótu.—

—Powrótu! powrótu!—Jagiełło rzekł smutnie—
Powrócić! być sługą, poddanym Kiejstuta!
To nadto sromoty dla syna Olgerda!—
—Powrócić panować!—Hanul mu odrzeka.—
Nam tęskno za wami, my na was czekamy.
Jam przybył....—I wkoło wzrok toczy nieśmiało.
—Mów, Hanul! nikt nas tu nie słucha, na Bogi!—
—Więc powiém. Już tobie czas wracać do Wilna;
Kiejstut tam bezpieczny, w wyprawy się gania,
Załoga małenka, a Witold na Trokach.
Przyjaciół masz w Wilnie, słudzy ci pomogą.
Idź, zabierz, co twoje, Olgerda dziedzictwo,
I rękę ci tylko ściągnąć już po niego.—
—O! nie tak to łatwo!—Jagiełło przerywa.—
Nie patrzy się Kiejstut, a jednak on strzeże.
I Witold zbyt blizko, i siły mam małe.—
—Sił wam tam nie trzeba, bo Wilno twe całe—

Rzekł Hanul.—Jam z swemi już mówił o tobie.
Im tęskno za Panem, na ciebie czekają.
Przyjdź tylko i zabierz.—
—O! byłażby prawda!—
Jagiełło wykrzyka, rzucając ku niemu.—
I mogęż ci wierzyć?—
—Wierz słudze staremu,
Bo stary cię sługa wszak nigdy nie zdradził.
Gdy Kiejstut na Krewie z Witebskiem cię sadził,
My wówczas szeptali:—Niedługo tam jemu;
Powróci do swoich, na Wilno powróci.—
Czas nadszedł, my rękę ciągniemy do ciebie.
Chodź, Xiążę, w stolicę. Swoi cię czekają.—

Wtém wnieśli miód Krewski i rogi złocone,
I oba umilkli. Jagiełło do gościa
Wychylił, i wzrokiem wesołym pogląda.
A czeladź go widząc z tak jasném obliczem,
Dziwi się, coś szepce o wieści wesołej.

Nazajutrz odjechał. Pozostał Jagiełło,
Lecz nie już, jak wprzódy, samotny u ognia;
On zbiera swe sługi, do wojny ich zbroi:
A kiedy pytają—Z Kiejstutem—powiada—
Pójdziemy w Krzyżackie nacieszyć się włości.—

I zamek się cały, i miasto się całe
Przybiera; łucznicy z strzałami gotują;
Ostrzą się szablice, i dzidy hartują,
I konie zdziczałe w pastwiskach zajmują.

Choć jeszcze Jagiełło dnia wyjścia nikomu,
Ni drogi nie wskazał, a wszyscy już wiedzą,
Że pójdą daleko, że wojnę poniosą.
Matka się pytała, przed matką zataił;
Brat młodszy się pytał, nic nie rzekł przed bratem;
Bajoras chcą wiedzieć, Bajorom powiada,
Że z stryjem Kiejstutem na Prussy napada.
I ranku jednego w trąb dziesięć zatrąbią,
W Lietaury zabiją, chorągwie rozwiną.
On matkę pożegnał i smutny wyjeżdża,
A dokąd? nikt nie śmie domyślać, nikt nie wie.
Raz mówił, że do Pruss, to znowu, że w Krewie
Na zamku chce w swoich przesiedzieć czas włościach.

A w Wilnie?— O nowych lud szemrze coś gościach.
W gospodzie Nakiemny co nocy mieszczanie
Miód piją, pocichu, tajemnie coś gwarzą,
I chodzą—nie swoi; oczyma i twarzą
Wskazują, że spisek uknuty, i zdrady
Lękają się jakiejś, a sobie nie wierzą.
Co nocy na drogę do Krewa wiodącą
Kilku ich wychodzi; patrzają ze wzgórza;
Szepcąc coś, wracają; gdy czarna okryje
Noc miasto, gościniec, i góry, i lasy,
Naówczas podchodzą, i z strażą zamkową
To piją, to ciche prowadzą rozmowy.
Nakoniec i Hanul do Krewa się nocą

Przebiera, powraca, a znowu do niego
Mieszczanie ciekawi rozpytać się biegą.

A Kiejstut?— pociągnął na Siewierz, daleko.
Korybut go ztamtąd napada, jak gdyby
Za brata chciał pomścić; i coraz to głębiej
Żmudź żyzną plądruje, i coraz to dłużéj
Nowgrodzkich swych wojów na Litwie wypasa.

A Witold?— On w Trokach. I często zaglądą
W ojcowską stolicę; lecz spokój w niéj tylko.
Ilekroć przyjedzie, Bajoras mu nizko
Wybiją pokłony i bramy otworzą,
Podarki przyniosą, poddaństwem klną swojém,
Że wszystko w porządku, bezpieczny spać może.
A Witold im wierzy, bo każdy zamłodu,
Dopóki go trzykroć zdrada nie pożyje,
Chce wierzyć przyjaźni i ufa wierności.

Na Wilnie Namieśnik, sam Hanul Nakiemna;
On straże zamkowe, on warty grodowe,
On klucze od wrót ma, on klucze od murów;
On, zda się, najwierniéj Kiejstuta poddany,
On, zda się, Witolda serdecznie ukochał;
Nawet go zaprasza do Wilna na łowy,
Nawet go przywabia na pobyt w stolicy;
A kiedy wyjeżdża, za strzemię wstrzymuje,
Za nogi go chwyta i nogi całuje.
I Witold, po siwéj głaskając go głowie,
Uśmiechem, podarkiem ucina rozmowie.

Nie widać, nic widać z Siewierza Kiejstuta!
Gdzieś pewnie Korybut Olgerdów harcuje,
I chowa się w lasy, lub w zamkach zaszywa,
Że dotąd go pożyć stary Kniaź nie może.
A w Wilnie?—spokojnie. Widać, nań czekają,
Bo codzień z wieczora wychodzą na wieże,
Za wrota, za mury tłumami biegają;
Straż nawet, co zamku dzień i noc pilnuje,
Często się gdzieś zwlecze, pogląda ze wzgórzy,
W gościńcach tumanów powrótu szukając.

Był wieczór. Na wieży, na wysokim grodzie,
Dwóch ludzi usiadło, ku Krewu patrzali;
Do siebie ni słowa nie mówią, a coraz
Obadwa w tę stronę wzrok wiodą stęskniony;
Czy Kniazia od Krewa czekają z téj strony?
Czy wróg im tam grozi? Lecz niéma na wroga
Gotowych tu ludzi, ni broni; a bramy
Naoścież otwarte, choć wieczór się zbliża.
Wtém powstał Nakiemna, i rękę do czoła
Przyłożył, pogląda; cóś szepnął, i zbiega;
I drugi tuż za nim. Na drodze od Krewa
Pędzą się żołnierze, chorągiew powiewa.
A jedni wołają:—To Kiejstut powraca!
A drudzy z uśmiechem, jak gdyby szydzili.
Do wrót się pospieszą—otwierać? czy bronić?
Czy witać Kiejstuta? czy z wrogiem spotykać?

Krzyk powstał w przedmieściach. Już wojska do zamku
Pędzą się wrzaskliwie; już mury minęli,
I straże zwalone, i bramy złamane
A Hanul Nakiemna za konia prowadzi,
Z odkrytą sam głową, coś głośno wykrzyka:
—Niech żyje Olgerda krew! Pana naszego!
Jagiełło nasz ojciec! poddani my jego!—
—Niech żyje Jagiełło!—tłum za nim powtarza.
I na most zamkowy wpadają z okrzykiem.
Wtém z zamku, o kiju, w Xiążęcéj odzieży,
Drżącemi krokami spotykać ktoś bieży;
Włos biały wiatrem się rozwinął po skroni,
I broda po piersiach srébrna się rozwiła;
Policzki rumieńcem ma gniewu okryte;
Stał w wrotach, i straże wylękłe zwołuje.
—Na Bogi! na Bogi! kto wierny Kiejstuta!
To zdrada niegodna! — Niech wrota zatrzasną!
Niech stają z łukami, najezdców odpędzą!—
Lecz nikt go nie słucha. Ci klęczą, i twarzą
Przed nowém się słońcem pokornie kłaniają,
Ci z bronią, głęboko od strachu chowają,
Ci mury przełażą i w pola zbiegają.
Naprożno się starzec i zmaga i woła,
Napróżno wstrzymuje, zachęca i łaje—
Lud w jedną Jagiełły połączył się zgraję,
I rzuca czapkami, witając Xiążęcia.
A starzec to widzi, i usiadł na ziemi
Wpoprzek wrót, osłonił na głowę połami,

Sparł plecy o wieżę, drogę zaparł sobą.
Jagiełły koń cofa, tłum cofnął się razem.
—Precz z drogi! precz z drogi!—za Kniaziem wołają.—
Do zamku kto Panu śmié drogę zapierać?
Otworzyć mu wrota! otwierać! otwierać!
Kto zaparł je sobą? kto stanął na drodze?—

Hanul się wprzód rzucił i starca pochwycił.
—Na Bogi! Widymund! Wy pocoście w bramie?—
—Bronię jéj.—Przeciwko tysiącóm? wy stary!—
—Tysiąców nie przeprę. Jagiełło mnie złamie,
Niech starca jednego we wrotach zagniecie,
By nie rzekł kto potém, że jednéj nie było,
I jednéj tu duszy, co wiarę strzymała!—

Tak mówił; gromada na niego się rwała,
I suknie mu darli, i włosy szarpali.
Jagiełło zajeżdżał do zamku swojego;
Wtém spójrzy do góry—dąb stoi na górze,
Na dębie się chwieje kościotrup przegniły;
On oczy zakrywa—to ciało Wojdyłły
Zwycięzcę Jagiełłę na Wilnie witało.
—A! na kim się pomścić? a karać tu kogo?—
—Widymund jest tutaj, to ojciec Biruty.—
—Widymund! Do jutra niech leży w ciemnicy,
Gdzie leżał Wojdyłło. A rano ze świtem
Niechaj stos nakładną na Świętéj dolinie,
Niech koło postawią na górze Krzyżowéj:

Na stosie Wojdyllę pocześnie spalimy,
Na kole rozbijem Kiejstuta krewnego.

—Lecz mało Widmunda, mnie mało starego,
Krwi jednéj za druha na świecie jednego:
Dwónastu niech starszych wywiodą na ścięcie,
Dwónastu niech młodych na stos mi wybiorą.—

Tak mówił Jagiełło, i w progi zamkowe,
Z krwi słowy i zemstą witając Kobole,
Wszedł znowu, ze drżeniem pochylił im głowę.

A rano, o świcie stos płonie w dolinie;
Wojdyłły trup na nim i młodych dwónastu;
Na pnie się starszyzny karki pochyliły;
A Widmund dał głowę na kole rozbity;
I ciało starego psy gryząc powlokły,
Wnętrznośćmi skrwawiwszy podwórce zamkowe.

XXVIII.

Na twoję głowę, Kiejstucie,
Walą się chmury gromadą:
Oto się Wilno poddało,
Hanul Jagiełłę wprowadził!
Z Trok Witold, z matką i żoną,
Uciekać musi do Grodna.
Niéma z kim stanąć w obronie.
Pije gorycz zwyciężony,
Klnąc dzień, gdy ojcu doradził,
By Jagiełłę swobodnego
W Witebsku z Krewem posadził;
Jagiełłę, co w jednéj chwili
Odzyskał wszystko stracone.
Już idzie w cudze dzielnice,
Po Trockiéj hasa już ziemi.

Pamiętni swego przymierza,
Krzyżacy, Ruś, z nim są razem.
Trzech braci wojsko uderza,
Ogniem idąc i żelazem!
A Kiejstut? Kiejstut z Siewierza
Garść tylko wywiódł bezsilną.
O, jak powrócić mu pilno!
O, jak mu brwi się zmarszczyły,
Gdy o Widmundzie znać dano!
Kiedy go wieści goniły,
Że Witold musiał sromotnie
Z Trok ubiedz z matką do Grodna!
Ale nic nie rzekł, nie łajał,
Ani Jagiełłę przeklinał;
Konia ku Żmudzi skierował,
Oczy ku Żmudzi obrócił,
Wojsko się zbierać gotował.

Nigdy zło nie idzie jedno,
Zawsze się wlecze, jak chmury,
Kupą się ciągnie, gromadą.
I drugi goniec do Żmudzi
Leci z wieścią opłakaną:
Zięć z Mazowsza wyszedł zdradnie,
Całém Podlasiem już władnie;
Zajęte włości Kiejstuta;
Mielnik, Kamieniec, Drohiczyn,
Suraż — zabrane, podbite;

Brześć tylko, gdzie jest Biruta,
Zięć niewierny poszanował;
Resztę zagarnął pod siebie.
Wieść ta nie przydała bolu.
Kiejstut z wojskami już w polu.
— Na Jagiełłę naprzód! woła
Potém z zięciem obrachujem.—
I pod Troki ciągnąć każe.
Witold przyleciał tam z Grodna,
Kiejstut nadbiega ze Żmudzi;
I Jagiełło z Krzyżowemi,
Ze trzema braćmi swojemi,
Na odsiecz zamku pośpiesza.

Trzykroć zatętniała ziemia,
Trzykroć zaszumiały lasy,
A słońce wschodzące krwawo
Na Trockie spójrzało pola,
W Trockiém zabłysło jeziorze,
Jakby w krwi rozlanéj strudze.

Cicho w obozach; oczyma
Dwa wojska mierzą się wzajem;
Na dwóch pagórkach się kładły,
Z dwóch się patrzą wysokości,
I liczą ufce, proporce,
Z siłami swemi rachują.

Na jednêm wzgórzu Jagiełło,
Z Mistrzem i bracią, w milczeniu
Stoi, i od Trok pogląda;
Na drugiém Kiejstut z Witoldem,
Sparci na mieczach i smutni,
W żelazne Krzyżaków zbroje,
Co świecą słońca odblaskiem,
Patrzą; i na Żmudź swą okiem,
Skórami i pałki zbrojną,
Zwątpiały wzrok obracają.

— Słuchaj, Witołdzie! — rzekł stary —
Nie trudno zgadnąć wygraną.
I nie wiém, czemu na Trockie
Smutno poglądać mi wieże!
Patrz, chmura kruków tam wisi
I kracze, wzbiwszy nad mury.
Miałżebym nigdy już, nigdy,
Nie siąść przy Trockiém ognisku?
I moje Bogi domowe
Pożegnać, rzucić na wieki!
Nie trudno zgadnąć wygraną —
Jagiełło silny Krzyżakiem;
Z nami tylko nasi staną,
Nieporządnym szykiem w boju;
I nie mają miecza, zbroi,
Twoi żołnierze i moi;
I trzech my nie mamy braci,

I ruskich wojsk my nie mamy.
Za wszystko męztwo zapłaci?
Czy jedném męztwem wygramy?
—

O, nie wiém, nie wiém ja, czemu
Oczu od zamku Trockiego
Odwrócić chwili nie mogę!
A łzą mi oczy zachodzą!
A ręce drżą mi i serce!
I męztwo moje straciłem!—

—Ojcze mój!—Witold odrzeka—
Zawsze tak, chwila przed walką;
Lecz gdy się ruszą szeregi,
Ziemia zatętni, krzyk wzniesie,
Wówczas i serce zabije,
I męztwo dawne powróci.
Wszak Bogi za dobrą sprawą,
Bogi za zdrajcą nie będą.
Ofiarę spalim przed Khawą,
I niewolników dwónastu
Na dziękczynienie oddamy.—

—O, dałbym, synu, sam siebie,
Siebie Bogóm na ofiarę,
Byłebym głowę mógł starą
W ojczystych murach położyć!
Ale mnie tego nie dożyć!

Patrz! nad niemi sokoł biały,
A nad nami kruków stado!
Bogi znak przed bitwą dały;
Bogi przeciw nam, za zdradą!—

I ręce smutnie opuścił,
Usiadł na wzgórzu i patrzy,
Nie zwróci oka z zamczyska,
Dumą gdzieś leci daleko.

XXIX.

Na drugiém wzgórzu trzech rycerzy stoi,
I patrzą, milcząc, na wojsko Kiejstuta.
Piérwszy obliczem odznacza i szatą:
Pancerz na piersiach, zbroja z stali kuta,
Nogi i ręce łuska mu okryła,
Miecz w złotéj pochwie u boku zwieszony,
Na hełmie czarną kitą wiatr powiewa,
Na barkach biały płaszcz krzyżem znaczony,
Po piersiach broda spłynęła mu siwa,
Powieki leżą na oczach znużone,
A czoło blade wpół przyłbica kraje.
Przy nim Jagiełło—wejrzenie zamglone
Strachem, radością, nadzieją, czy gniewem?
Czy szczęściem, czyli wróżbą nie po myśli?
Daléj Skirgiełło—rzadka czarna broda
W żółtéj mu skórze ciemne drogi kréśli.

A krwawe oko z pod brwi nachmurzonéj
Płowo się świeci, jak ognik grobowy;
Skoczyło wzrokiem w oddalone strony,
Niby potyczki przyszłéj plac rozmierza,
I rozstawuje wodzów i rycerza;
Potém w Jagielle pochmurne się topi.

Milczą dwa wojska; ranne słońce wstaje,
Nikt z dwu obozów walki nie poczyna;
I płynie ranek w ciszy uroczystéj,
Już dzień się rozlał, świat obielił cały,
Wojska tak stoją, jak wieczorem stały.
Kiejstut na Troki patrzy zamyślony,
Jagiełło szepce, rachuje i waży.
Dwa tylko ułce wyszły wprzód dla straży.

A Mistrz wciąż w ucho cóś kładzie Jagielle.
— Poczynaj, Xiążę! w Imie Boże! śmiało!
Co to za wojsko?—zbieranina ludzi
Zaledwie zbrojnych, których wojsko moje
Biło już nieraz w Kiejstutowéj Żmudzi;
Pobije znowu.—

—Nie wierzcie tak sobie—
Jagiełło odrzekł, potrząsając głową.—
W wodzu jest wojska siła i otucha.
Kiejstut najgorszym potrafi wlać ducha.
A jego męztwa czyż jeszcze nie znacie?
Sił i odwagi wszakeście świadomi! —

Mistrz się uśmiechnął, nic nie mówił dalej.
A wtém Skirgiełło przystąpił do brata.
—Na co wojować? po co krew rozlewać?
I zdawać losy na walkę niepewną?
Wezwać ich tutaj, zabrać, pozwiązywać.
Wszystko się skończy za jednym zamachem.
Zdradą począłeś, kończże, bracie, zdradą!
Zwabić ich tutaj. Klnę się, że przyjadą.
Kiejstuta łatwo przyciągniem za synem.
Odjąwszy głowy, wojsko się rozsypie.—

Nic nie rzekł Xiążę; widać, waha jeszcze;
A już Skirgiełło pośpiesza z gałęzią,
Wojsko przebiega w przeciwnym obozie,
Woła Witolda, by wyszedł przed szyki.
Postrzegł go Witold, posłyszał wołanie,
Siadł na koń, przeciw posłańcowi śpieszy.

—Słuchaj, Witoldzie! przyjaźni dziecinne
Długie i stałe—rzekł Skirgiełł do niego.—
Jagiełło pomni na braterstwo z tobą,
Wzywa, jak brata, do swego obozu.
Kto wie, czy zgody nie zawrzem bezkrwawéj?
Ja ci przysięgą na Perkuna brodę
Klnę się, że zdrady nie knowamy żadnéj.
Chcecie pokoju? zgoda na umowy?—
Wtém stary Kiejstut zerwał się z pagórka,
Leci do syna, Skirgiełłę spostrzega.

— Z jakąż wy wieścią?— z daleka wykrzyka.
— Widzicie, stryju! z gałęzią zieloną.
Jagiełło chce się z Witoldem rozmówić.
Ja w zakład u was za niego zostaję. —
Puśćcie go. Może zgodzimy bez boju.
Kiejstut pomyślał chwilę, dał znak głową.
— Idź — rzecze — synu! lecz żadną umową
Nie wiąż beze mnie. Mam w sercu obrazę,
Którą niełatwo zmyć słowy jednemi.
Czyjejś krwi na to, i wiele mi trzeba!—

Mówił, a Witold już konia dosiada,
Gałąź Skirgiełły pochwycił, wskok bieży,
Kędy na wzgórzu Jagiełło z Krzyżakiem
W milczeniu patrzą na Skirgiełły kroki.

Jagiełło rękę wyciągnął do brata.
— Ręki twéj nie chcę—Witold mu odpowié,
I w tył się cofnął.—Jagiełło! tyś zdradą
Podszedł nas z ojcem. Wiész, jaka zapłata
Zdrajców? Wojdyłło wiész jak ukarany?—
— Wiém — rzekł Jagiełło.—Tak i Widmund zginął!—
Witold zapłonął, znów cofnął i skinął.
— Bądź zdrów — rzekł.—Jam tu nie przyszedł się śpierać,
Lecz zgodę robić i pokój zawierać.
Zgoda nie można, pokój nie podobny!—
— Czekaj!— Mistrz przerwał — Kniaziu! jesteś młody.
Przez kłótnie często przychodzą do zgody.
Po co wymawiać dawne wasze żale?

Jagiełło zgody chce, nie nowéj kłótni.
Zjedźcie tu z ojcem, i mówcie o zgodę.—
—Z ojcem! Ja ojca tutaj nie przywiodę!—
Zakrzyknął Witold.—Kto raz zdradził, zdradza;
Ani ma wiarę, kto ją raz przełamał!—
—Nie zdradąż Kiejstut odebrał mi Wilno?—
—Nie, bo szedł karać za tajne przymierze,
I niéma zdrady, gdy się swoje bierze.—
—Swoje?—Jagiełło szydersko zawołał.
—Swoje! Po bracie jemu było rządzić.
Oddał ci Wilno, bo chciał. Z jego łaski
Tyś w niém utrzymał. Odebrał, gdy żądał,
Gdy godnym rządów nie byłeś, mój bracie!—
—Próżne to słowa, próżno się spieracie.
Czas idzie marnie. Niech rozejm ogłoszą.
Trzech braci Kniazia zaręczą Kiejstuta,
Że się tu żadna nie osnuwa zdrada.
Chceli pokoju? niechaj do nas zjedzie,
Zawrzemy zgodę, zawrzemy bez boju.—
—On, do was? Czemuż nie wyby do niego?
Starszy—nie wstydby szanować starego,
Chocieś Widmunda nie baczył siwizny!—
—Poszedłbym z tobą—Jagiełło nieśmiało
Rzekł—ale nie nam dwóm być przy umowie.
Mistrz do waszego nie pójdzie obozu,
A ja bez niego nic zrobić nie mogę.
Przywiedź tu ojca. Nie wierzysz mi, bracie,
Trzech Olgerdowych synów da wam słowo,

Że, czy się zwiążem, czyli nie, umową,
Swobodny wróci do wojska swojego.—

Witold mu w oczy pogládał nieufnie,
Wahał się, potém na konia poskoczył
I ku swojemu wojsku pędem wraca:
Tam ojca bierze w namiocie na stronę
I pocznie mówić. Stary wstrząsa głową,
I brwi nachmurzył, i stoi ponury.
Wtém Olgerdowych synów trzech przychodzi,
I kładną klątwę, że się nie ma zdrady
Ani żadnego obawiać zamachu.
Kiejstut wciąż milcząc, ciągle się opiera.
Naprożno Witold trzykroć przekonywa,
Naprożno Skirgiełł z braćmi poprzysięga.
Kiejstut się jeszcze podejścia obawia.
I walczy z sobą, bo chciałby ukończyć,
Nie zdając losów na bitwę niepewną.
Nareście spójrzał na Trocki swój zamek,
I kazał konia siwego podawać.

Olgerdowicze spójrzeli po sobie
Bystro, przelotem; i wszystkim się wargi
Wzruszyły śmiechem radości ukrytéj.
Wtém stary sługa przeciw Kniazia bieży,
—Na Bogi! Kniaziu!—krzyczy—co myślicie?
W paszczękę wroga nieść niemiłe życie?
Czy żony nie masz, synów i rodziny?

Czy ci się życie i wojna sprzykrzyła?
Po co tam jedziesz, zkąd dwakroć już zdrada
Do piersi twoich zmierzyła? Kiejstucie!
Wiész, jak Jagiełło przywyknął wojować.
Każ wojsku napaść, każ nam występować.
Zginąć nam, Panie, to zginąć nam w boju,
A nie idź do nich, bo zdradą cię zmogą!—

Na wrzask się sługi rwą Olgerdowicze,
Z zapalczywością na niego powstają,
Dobyli mieczów, klną starca i łają.
—Nasza przysięga warta cóś, na Bogi!
Czegoż się lęka? czy i nam nie wierzy?—
Sługa wciąż krzyczał; wtém konie podali;
Siadł Witold, Kiejstut, trzéj Jagiełły bracia,
I od obozu puścili się cwałem.
Kiejstut na Trockie wieże oczy wlepił,
I nic nie słyszy, i nie patrzy na nic;
Tylko się myślą kąpie na jeziorze,
Dumami ognie rozpala w świetlicy,
I dni ubiegłe odżywia z popiołów.
Minęli obóz, dolinę i czaty
Przeciwnéj strony. Wtém z wzgórza, gdzie stali,
Mistrz i Jagiełło zniknęli pospołu.
Czyli naprzeciw Kiejstuta wychodzą?
Czy skryli w namiot? Niéma ich na górze.
Wjeżdżają w obóz; do środka zmierzają,
Kędy chorągiew Krzyżacka powiewa.

Skirgiełł ich wiedzie, z Witołdem Kiejstuta.
Konie oddali i idą spokojni.

W progu namiotu Bojarów dziesięciu
Ciekawie patrzą szyderskiemi oczy;
I nagle jeden do starca poskoczy,
W tył szarpnął szablę od boku Kiejstuta,
Wnet drugi silnie za barki go chwycił,
Trzeci Witolda o ziemię powalił.
Skirgiełły niéma, bracia z nim zniknęli;
Siepacze tylko z pętami przybiegli,
Wśród krzyków wiążą jeńców i unoszą.
A trąby trąbią, i obóz się zwija,
Wojsko do Wilna uchodzi z pośpiechem.
Żmudź pozostała, jak ciało bez głowy,
I, płacząc zdrady, do lasów rozbiegła.

XXX.

Na Krewskiém zamczysku
Jest wieża wysoka;
O stopy jéj fala,
Pluskając, uderza;
I jedno okienko
Na wodę pogląda;
Okienko z ciemnicy,
Co wiosną, gdy wody
Powstaną wysoko,
Zalana do wierzchu,
Gdy rzeki opadną,
Gdy wody odpłyną,
Na dnie jéj się tylko
Kałuża błotnista
Zostaje, i mury
Wilgocią przesiękłe

Grzybami żółtemi
Okryją do zimy.

Na Krewskiém zamczysku
Jest wieża wysoka;
Ciemnica pod wieżą
Wilgotna, smrodliwa.
Tam gady, ze szczelin
Wyszedłszy na słońce,
W okienku się grzeją;
Mchy rosną zielone,
I grzyby żółtemi
Sklepienie obrasta.

W ciemnicy téj dawno
Więzień już nie siedział.
Był jeden. Kto taki,
Nikt w Krewie nie wiedział.
A kości się białe
Pod oknem zostały
Po gościu ostatnim.
I od téj już pory
Zbutwiałe zapory,
Drzwi padły przegniłe,
I w oknie dębowe
Kraty już spękały.

Wtém goniec od Wilna
Do Krewa przybiega,

I każe ciemnicę
Dla więźnia sposobić,
Drzwi, kraty dorobić.
Jagiełło Kiejstuta
Chce w Krewie osadzić.
- -Wszak on mnie dał Krewo,
Niech mu się wypłacę;
Wszak druha, Wojdyłłę,
Osadził głęboko—
I ja mu wynajdę
Ciemnicę głęboką,
Więzienie wilgotne,
Skonanie sromotne.

I zaraz za gońcem
Wysłali Kiejstuta.
Starzec był pół-żywy,
Jak gołąb' posiwiał,
Schylił się we dwoje;
A krwią mu powieki
Płynęły zagęsłą;
A ciało związane,
Nie strachem, lecz drżało
Słabością, niemocą:
Bo w jednéj on chwili
Zestarzał, na siłach
Podupadł, i lata
Z każdą mu godziną

Kark gięły brzemieniem;
Lecz skargi, lecz słowa,
Przekleństwa jednego
Nie wyrzekł; i milcząc
Na służby szyderstwa,
W kałuży się brudnéj
U muru położył;
I o nic nie prosił,
Nie żądał niczego;
Tylko wzrok w okienko
Raz powiódł, i znowu
Opuścił na ziemię.

O, wiele on, wiele
Przeżył już w swém życiu!
I trzykroć w niewoli
Krzyżackiéj zostawał,
Cztérykroć się na śmierć
Schwytany gotował,
Lecz nigdy nadziei
Nie stracił, jak dzisiaj.
Dziś głowa opada,
Dziś pierś się zamknęła,
I oczy na słońce
Nie chcą już spozierać.
I wyrzekł do siebie:
— Czas mi już umierać!
Jagiełło mnie strzeże,

Posadził pod wieżę!
Uciec ztąd nie można.
On śmierci chce mojéj.
Lecz biada mu, zdrajcy!
Ja umrę, a Witold
Na zbójcy się pomści.

Tak jeden dzień spłynął,
I wody plusk tylko
O ściany wieżowe
Odbitéj do ucha
Doleciał więźniowi;
A słońce zachodu
Promieniem ostatnim
W okienko zajrzało
I w wodę zapadło.

Wieczorem siepacze
Z usługą przybiegli.
Pięciu ich tam było:
Proksza był i Bilgen,
Co wodę nosili,
Mostew był i Gotko,
Co u drzwi na straży
Dzień i noc czuwali,
I piąty Lisica.
Im zwierzył Jagiełło
Straż stryja. Lisicy,
Gdy z Wilna posyłał,

Rzekł głosem surowym:
— Jeżeli ucieczę,
Wy głowy mi dacie.
Niech żyje, nie żyje —
O życie nie stoję,
Ucieczki się boję.
Jeśli go puścicie,
I wasze tam życie,
I waszéj rodziny,
Za niego odpowié!—
Lisica struchlały
Słyszał to, a w głowie
Rozebrał po słowie,
Co Pan mu powiedział.
I jechał do Krewa,
I swoim powtórzył.
Dniem, nocą na straży
Stawali w ciemnicy;
Szelestu się bali,
Westchnienia lękali;
Dziesięćkroć zajrzeli,
Nim na krok odeszli.

Ale dnia piérwszego
On leżał na ziemi,
Więzami ciasnemi
Ściśnięty, bezwładny,
I ludzie go widząc

Bez słowa, bez duchu,
Bez gniewu i ruchu,
Mówili:—Gdzie jemu
Z ciemnicy uciekać?
Zgnić jemu w więzieniu,
Na mokrym kamieniu
Kości tu zostawić.—

A w nocy usnęli,
I Kiejstut zębami
Gryźć począł sznur twardy;
I cicho, gdy spali,
Do okna przypełznął,
Na niebo poglądał.
Lecz czujny Lisica
W czas zajrzał w więzienie,
I zadrżał, Kiejstuta
Gdy w oknie zobaczył;
Wnet straże rozstawił
I więzy odnowił;
Sam zebrał siepaczy,
Poskrobał po głowie,
I dziko w swéj mowie
Namawiać ich zacznie:
— Kniaź mówił wyraźnie:
Niech żyje, nie żyje—
O życie nie stoję,
Ucieczki się boję.

Nam oka nie zmrużyć,
Dopóki on żyje.
Skrępujmy mu gardło,
A z pastwą umarłą
Spokojniéj, bezpieczniéj
Nam będzie na zamku.
Kniaź mówił Lisicy:
Niech żyje, nie żyje—
O życie nie stoję.
Czas starcu dać życie,
I lepiéj niż moje.
Mnie smaczny świat biały.—

A Mostew mu na to:
—Wy prawdę mówicie.
On był już za kratą,
Trzy razy od Niemca
Przez mury uciekał.
Kto go wié? duch jaki
Może mu pomaga?
A nuż znów ucieczel
Położyć nam głowy.
Nie lepiejże skończyć?
A Kniaziu powiémy,
Że umarł z rospaczy,
Że sam się udusił,
Że gad go zjadliwy
Ukąsił w pierś nagą.—

Mówili, szeptali.
Dzień drugi upłynął,
A Kiejstut widocznie
Upadać już pocznie:
I głowę pochyla,
I oczy zamyka,
I, zda się, co chwila
Ot duszę wyzionie.
Siepacze pod drzwiami
Czatują dzień trzeci,
Czatują i czwarty.
Czwartego wieczorem
Usnęli na chwilę.
A Kiejstut ku oknu
Poskoczył z rospaczą;
I kratę wyłamał,
I głowę wysadził,
Gdy szelest go zdradził.
Zbudzą się strażnicy
I wpadną na niego,
A sznurem za szyję
Spętawszy, wgłąb' lochu
Ciągną go, krępują.
I gardło przedarte,
I usta otwarte;
Krew niemi buchnęła;
A dusza olbrzyma
Na góry gdzieś Wschodnie

Leciała, w żałobie,
Rzucając po sobie
Swéj chwały puściznę
I zemstę synowi.

Długo tam siepacze
Nad trupem, w milczeniu,
Drżąc, stali, bez ruchu,
I jeszcze w nim duchu
Śledzili ze strachem.
Dniem jeszcze i nocą
Pilnują, by zmarły
Nie uciekł z więzienia

XXXI.

Kiedy w boju z Rusinem,
Kiedy z Niemcem, psim synem,
Albo zawziętym Lachem
Walcząc, Kunigas padał,
Kiedy konał pod dachem,
Gdy już mieczem nie władał,
Gdy dziećmi otoczony,
Z włosem białym na skroni,
Zwycięzki, uznojony,
Z rogiem Alusu w dłoni,
Pożegnawszy ród cały,
Kończył życie wesoło,
Syt i boju i chwały,
Zwiędłe schylając czoło,
O, nie żal, nie żal było
Składać proch pod mogiłą,
I na stosie go palić,
Pieśń zwycięzką zanócić,
Grób kamieniem przywalić,
Kamień ziemią przyrzucić,
Na ziemi, na kamieniu,

Wznieść pamiątkę wodzowi,
By pamięć w pokoleniu
Wiek podawał wiekowi.
Lecz gdy bojem wpół zgięty
Ten, co walczył wiek cały,
Padł zdradliwie ujęty
Nie Perkuna postrzały,
Lecz rękoma siepaczy
I haniebném skonaniem,
Lud zaryczał z rospaczy,
Lud powstał z narzekaniem!

I Jagiełło, ze sromu,
Uciekł z Wilna stolicy,
Gdy trup do swego domu,
Do swéj staréj dzielnicy
Wracał w dolinę Świętą.
Za nim ludów się tłumy,
Z twarzą smutkiem przejętą,
Z oczyma, z których dumy
Czarne myśli patrzały,
Z Żmudzi, Litwy ściągały.

I na odgłos o zgonie,
Złamawszy drżące dłonie
Biruta, kądziel łzami
Przędzioną porzuciła:
Nocą bieżąc i dniami,
Aż do Wilna przybyła.

W wrotach dwa się orszaki,
Gdzie dwa schodzą się szlaki,
Otarły i spotkały:
W piérwszym jechał Jagiełło,
Drugi orszak składały
Wierne druhy Biruty
Na wozie siedząc stara
Szkarłatami pokrytym,
Blada, jak piekieł mara,
W rąbku łzami omytym,
Z służebnemi jęczała.
Gdy twarz w twarz, oko w oko,
Z Jagiełłą się spotkała,
Czarną mignie powłoką,
Z oczyma czérwonemi,
Z włosy rozrzuconemi,
Powstała, ręką skinie.
— Stój! — zawoła na ludzi—
Stój ty Olgerdow synie!
Niech przekleństwo cię zbudzi!
Stój i słuchaj, co wdowie,
Któréj męża zabiłeś,
Któréj życie skrwawiłeś,
Praurma Bogini powié:

Przeklętyś! Olgerdow synie!
Przez cię Kiejstut zginął stary!
Przez cię się Litwa wyrzecze swéj wiary,

Przez ciebie pożarta, zginie!
Klnę ciebie w imie Perkuna!
Klnę ciebie w imie Praurymy!
Niech pożarów świeci łuna,—
Niech pożarów wznoszą dymy,
Kędy stopą dotkniesz ziemi!
Bądź przeklęty z dziećmi twemi!
Na pokolenia ostatnie!
Niechaj cię ścigają swoi,
Niech ręce wiążą cię bratnie!
Niech hańba w łożnicy twojéj
Siedzibę sobie uściele!— —
Niechaj cię zdradzi twa żona,
Niechaj zdradzi, kto ci miły!
Niech głowa twoja znużona
Próżno pożąda mogiły!
Klnę cię w imie wszystkich Bogów!
Klnę w imie ojców i dziadów!
Niech nieszczęście u twych progów
Siądzie, pilnuje twych śladów,
Niech wszędzie z tobą się wlecze,
Jak cień, bojaźń i przeczucie!
I niech ci kamieniem życie
Cięży, jak wdowie Birucie!
Przepadnij! Olgerdow synu!—

Jagiełło oniemiały
Stał, wylękły, pobladły;

Srogie bole szarpały,
Szarpał gniew go zajadły;
Naglił konia; koń wryty
Wparł się w ziemię kopyty,
Potém ruszył, gnał siwy,
Aż padł w polu nieżywy.

W Swintoroha dolinie,
Gdzie dwie Wilije płynie,
Gdzie śpią Litwy Kniaziowie,
Stos się wysoki wzbija;
Na nim złote wezgłowie,
Nad nim dym się już zwija,
I wstęgi niebieskiemi
Do Wschodniéj leci ziemi.

W Swintoroha dolinie,
Gdzie dwie Wilije płynie,
Patrzy się Witold z wieży,
Gdzie ojcowski trup leży;
Kędy matka przybiegła
Łzami mogiłę zrosić;
Na twardéj ziemi legła
Bogów o zemstę prosić;
Modli się do Pokole,
Do Praurymy Bogini,
By pomścili jéj bole;
Z reszty życia im czyni,

Na lata swoje stare,
Z siebie, z dzieci ofiarę.

— Sroga to kara, woła — o Bogowie,
Co na starej legnie głowie!
Jam zawiniła, rzucając ołtarze,
I dziś mnie Praurymа karze!
O! niech go pomści! Ja dam moje życie,
Dam siebie, z dzieci najdroższe me dziécię,
I wszystkie dzieci oddam, i świat cały,
Byle nieszczęściom naszym się nie śmiały
Wroga serce, usta wroga.
Niech piorun Perkuna Boga
Spadnie Jagielle na głowę!—

Modli się— stos osiada,
Dymy objął wielkiemi—
Wtém się ziemia rozpada,
I on idzie wgląb ziemi.
Kapłani wystraszeni,
Lud upadł na kolana.
Biruta się podnosi.
— Jam — woła — wysłuchana!
Tak padnie wróg przede mną,
W otchłań pójdzie podziemną.—

XXXII.

Smutneś ty, Krewo! więźniów i wygnańców
Do starych murów przytulasz z kolei!
Jednemi wroty trup na pogrzeb wiozą,
Drugiemi więźnia na ciemnice twoje.
A straż, co stoi na wieży wysokiéj,
Nie patrzy Pana wesołéj drużyny,
Czeka na jeńców i wygląda brańców.
Smutneś, zamczysko więźniów i wygnańców!

Namiestnik jękom przywykł, jak weselu,
I rad, kiedy mu jęczy więźniów wielu;
Przynajmniéj w głuchéj starych murów ciszy
Cóś nad pluskanie zimnych wód posłyszy.
Na to ci przyszło? dawniejsza stolico!
Abyś się stała więzieniem, ciemnicą!

Jednemi wroty na wozie pogrzebnym
Kiejstut na Świętą odjechał dolinę,
Drugiemi wroty w orszaku siepaczy
Witold na długą wwiedziony niewolę.

Witold to?—trudno poznać go z oblicza,
Bo boleść we twarz wryła się głęboko,
Przygasło dawniéj jaśniejące oko,
I usta sine, milcząc, się zawarły.
Żywy, a na-wpół zdaje się umarły;
I nic nie widzi, co dzieje dokoła;
Na brzęk łańcuchów, na krzyki gawiedzi,
Skinieniem, okiem nie da odpowiedzi;
Zsunął się z konia, i powolnym krokiem
Poszedł, dumając, po dworze szérokim.

Zabójcy ojca patrzą się nań z boku;
Szyderskie myśli śmieją się im w oku,
Usta się krzywią; rękami w milczeniu
Cóś pokazują, jakby stryczek kładli.
Cicho Lisica szepce do Bilgena:
—Czy mu ta sama izba wyznaczona,
Gdzie ojciec Kiejstut przeżył dni ostatek?
Czy naszéj straży oddadzą młodego?—
Szepcą—wtém słudzy do Witolda biegą
I na komnaty w wieży go prowadzą,
W osobnéj izbie smutnego sadzają.
Pomni Jagiełło, że Witold mu życie,
W niewoli ojca, uprosił, ratował;

Więzi Witolda, lecz przykazał skrycie,
By go namiestnik w niewoli szanował;
I kazał izbę na wieży mu jasną
Wysłać kobiercem, przyodziać skórami,
A chociaż straże u drzwi mu postawił,
Przynajmniej okno puszcza blask słoneczny,
Przynajmniej Witołd na wody i lasy,
Na ziemię może okiem rzucić zdala.
Lasy mu szumią, szumi srébrna fala,
Słońce mu świeci; powietrzem swobodnie
Oddycha, ziemię obejmując wzrokiem.

Ale więźniowi nie patrzeć na słońce,
Ani zieloną wiosną się weselić,
Ni fali słuchać, ani ptaka śpiewu,
Ni piersią szukać słodkiego powiewu!
Jemu myślami karmić się gorzkiemi,
Jemu boleścią swoją się napawać,
I słuchać Raudy, którą serce śpiewa!
Wszystko mu smutkiem, boleścią, rospaczą!
Tak Witold siedzi, siedzi, je sam siebie,
A śmierć ojcowska, co zgonem zagraża,
Nad głową skrzydły czarnemi roztacza,
I w nocy nawet sny słodkie odgania.

Nazajutrz w zamku ruch i wrzawa nocna.
Witołd się zerwał, usiadł na posłanie.
—To zamach—myśli—na moje się życie

Sposobi! Idą wysłani siepacze! —
I chwycił drzewce z ogniska zgasłego,
Siedzi, a krwawe wejrzenie na wrota
Swego więzienia, — odważny, posyła.—
Aż w drzwiach zapora ciężka się ruszyła.
On wstał. Ktoś idzie — to idą siepacze.
Patrzy, a nim się rozpoznał w ciemności,
Z krzykiem na piersi Anna Świałosławna
Rzuca się, płacząc, i do stóp mu pada.
— Ty tutaj! Anno! —
— To ja, o mój Panie!
Przyszłam podzielać ciężką twą niewolę.
Smutne dni długie i nocy bezsenne! —

— Dzięki ci, Anno! Ale pocóż było
Saméj oddawać na Jagiełły ręce?
Z tobą ja stokroć więcéj boleść czuję,
Bo lepsze czasy na pamięć przychodzą. —

— Więc odejść każesz? —
— Pozostań! na Bogi!
Jesteś, pozostań! Zesłał cię mój Gulbi,
Bym nie zmarł z nudów, nie zjadł się myślami. —

Mówił, oboje płakali do rana,
A kiedy Anna Świałosława córka
Usnęła ze dniem w Witolda objęciu,
Drzwi znów skrzypnęły — namiestnik wszedł stary,
Dziewkę służebną wprowadził w komnatę.

-Dzień już- -rzekł- -Xiężno! wróć do swéj świetlicy.—
-Jak to? więc w nocy tylko będziem razem?—
—Taki był rozkaz, idę za rozkazem.- -

I obudzona Anna, płacząc, idzie;
Za nią komnaty drzwi ryglują znowu;
Witold jak po śnie wesołym się budzi,
I znów podparty na ręku zadumał,
Znowu pierś szarpie i włosy rozrzuca,
Śmierci się lęka, za każdym szelestem
Widzi ojcowskich siepaczy nad sobą.

Jak dnie mijają, co wieczór przychodzi
Anna do męża, i niewolę słodzi,
Tuląc się w jego skosniałém objęciu.
A! nie pieszczoty w sercu teraz jemu,
Nie szeptać z żoną, nie twarz jéj całować!
Jemu swobody chce się zakosztować,
Jemu na wolność chce znowu wypłynąć,
By mścić za ojca i na bojach zginąć.
Śmierć w tém więzieniu od katowskiéj ręki
Kiedy przypomni, włos na głowie wstaje,
Krew w żyłach zawre, piersi żarem buchną.

Tak walczy codzień ze strachem, myślami,
Gnębi, spodziewa, rospacza i mami;
Nakoniec znękał, spuścił smutną głowę,
Pobladł, i siły utracił znużony.
Niczém mu teraz słodki uścisk żony.

Co nocy, kiedy Kiejstutowéj śmierci
Przyjdzie godzina, z łoża się porywa.
Zda mu się słyszeć jęk z głębi ciemnicy,
I szamotanie, i stuk siwéj głowy,
Jak pada, bijąc o twardą podłogę.
Z łoża powstaje, chodzi po komnacie,
Ogień rozpala, a Anna zbudzona
Napróżno męża przywabia do siebie,
Chce cieszyć słowy, kołysać w uścisku.
Chodzi do świtu, i gorącą głowę
W dłoniach gorących tuli, a łzy jednéj
Nie może wylać, by z nią boleść sciekła.

Co ranek służba wchodzi do komnaty
I Xiężnę Annę na zamek odwodzi.
Sam wówczas Witold z myślami zostaje,
Rzuca znużony na twarde posłanie,
I sen na chwilę klei mu powieki;
Ale i we śnie myśl szarpie wnętrzności,
Smutek powolnie szpik wysysa z kości.

Raz, wieczór, słońce nad jeziorem było,
Ptacy śpiewaniem z słońcem się żegnali,
I nic nie słychać, oprócz szumu fali
I szumu lasów, który wiatr przynosił.
Witold, oparty na oknie, oddychał
Wonném powietrzem, a myślą daleko
Latał po Żmudzi, zwołując poddanych.
W komnacie więźnia powoli sciemniało,

Ogień się tylko drżącém światłem palił,
A Witold ujrzał postać jakąś białą,
Co rosła, rosła, od ogniska wstała,
U ognia palce zziębłe rozpostarła,
Milcząc, żylaste ręce rozgrzewała,
Długo w twarz smutną Witolda patrzała,
I tak nareszcie ozwała do niego:

—Witoldzie! poco żałość ta, rospacze?
Niechaj kobiéta smuci się i płacze,
Niech dzieci piszczą, gdy w duszę im szpony
Zapuści boleść, żal nieutulony.
Mąż cierpi milcząc, boleść swą zwycięża.
Zimna wytrwałość piérwszą cnotą męża.
Nie tobie jeszcze łamać męzkie dłonie
I tulić głowę na kobiéty łonie.
Śmierci się lękasz—śmierć jeszcze daleko,
Ani, jak ojca, trupem cię ztąd zwleką.
Na twoich rękach losy Litwy całéj,
Pomsta za ojca, lata wielkiéj chwały,
Nieszczęścia, klęski. Długie życie twoje,
Długie twe prace, ciężkie jeszcze znoje.
Poco zachmurzać u młodości wschodu?
Wyjdziesz, o Xiążę, wyjdziesz z tego grodu,
A boleść przeszła, boleść dziś tak wielka,
W przeszłości spłynie, jak w morzu kropelka.
Będziesz swobodnym. Litwa na cię czeka.
Tobie nad całą władza i opieka.—

Tak cichym głosem gdy mówił do niego,
Pełzły mu szaty, ciało się w powietrzu
Topiąc, nikuęło, i z dymem uleciał.

Drugi to już raz Witold ducha swego
Widział, i w duszę odwaga wstąpiła
Wtém drzwi skrzypnęły—Anna weszła cicho
I na kolanach położyła głowę.
—Panie mój!—rzekła—ty patrzysz; gdzieś oknem
Myśl wyleciała i daleko buja;
Chcesz być swobodnym—ja ci dam swobodę,
Ja cię z niewoli, w któréj schniesz, wywiodę.

—Ty?—

—Ja, mój Panie! Posłuchaj twéj Anny:
Jutro, zaledwie świt wstanie poranny,
Zastukam do drzwi o służebnę moję;
Ty na się wdziejesz twojéj Anny stroje
I wyjdziesz z sługą. Ja tutaj zostanę.
Modlić się będę, abyś uszedł cało.
Koń w lesie czeka i drużyna wierna,
Algimund dawno błąka koło Krewa.—

Witold do piersi swą Annę przycisnął,
Z oczu mu promień radości wytrysnął.
—A ty?—rzekł.—Jeśli Jagiełło zatrzyma?—
—Jagiełło? Cóż mu po jednéj kobiécie?
Nie myśl—ja się méj nie boję niewoli;
Czuję, że on mi pójść z tobą pozwoli;
A zechce mścić się, pomści się na straży.—

Witold piérwszy raz na promiennéj twarzy
Zajaśniał dawném swobodném weselem.
—Jutro— rzekł—jutro znów wolny polecę!
Jutro! O! czemuż ranek już nie świta!—
Napróżno Anna wabi go ku sobie,
Chwilę ostatnią chce by jéj poświęcił—
Witold przez okno niebo o wschód pyta,
Szaty nadziewa; ledwie na dzień brzaski,
Żonę płaczącą w czoło pocałował,
Zakrył zasłoną i wyszedł z służebną;
Z zamku w ciemności wyrywa się skrycie
I na Mazowsze popędził o świcie.

XXXIII.

Cóż tak huczno, wesoło,
Na Malborskim dziś dworze?
Wszystkie okna się świecą,
Wszystkie dymią kominy,
Służba biega zziajana,
A za stołem biesiada,
I w podworcu gromada,
Za stołem z Mistrzem Panem
Witold usiadł za dzbanem,
A dokoła drużyna,
Cichą, żywą rozmową
Bujną wrzawę godową
Tajnym szmerem przecina.

Co tak huczno, wesoło,
Na Malborskim dziś dworze?

Wszystkie okna się świecą,
Wszystkie dymią kominy,
Na podworcu tłum, wrzawa,
A w komnatach zabawa,
Krzyżakow izby pełne,
Żmudzi pełen podworzec,
Żmudź z Witołdem na boje
Zebrała się iść razem,
Za Kiejstuta się pomścić,
Na Jagiełłę uderzyć.

W świetlicy po za stołem
Siedzi on; Krzyżak siedzi:
Kniaź Olszański i żona,
Co z Krewa wypuszczona,
Za mężem się pognała;
I Zofja Witołdówna,
Kwiat ogródka różany,
W polu biała lilija.
Przyjaciele Kiejstuta,
Witolda przyjaciele,
Na Litwę się sposobią.

—Słuchaj—Mistrz, ciągnąc na ustroń Witolda—
Słuchaj mnie—rzecze—ja ci pomoc daję,
Zamek Malborski mieszkaniem wyznaczam,
Wojsko pod twoje zgromadzę rozkazy,
Ale pomnijcie, że piérwszy warunek,

Abyście chrztem się z pogaństwa obmyli.
—Przyjmę chrzest—Witold odrzucił po chwili—
Przyjmę chrzest.

—Zawrzesz z Zakonem przymierze?—
—Zawrę, jak chcecie.—

—I stali w swéj wierze,
Trzymajcie z nami. Niech was Jagiełłowe.
Nie wstrzęsą słowa pokoju i zgody.—
—Zawrę umowę, dotrzymam umowę.—
—Z nami, wy panem; Litewskie narody
Scisniecie w ręku, zgarniecie pod siebie.
My wam staniemy do boku w potrzebie.
Pomnijcie, Mindows kiedy nas porzucił
Zginął.-

—O Mistrzu! nie bójcie się o mnie.
Co wam przyrzekę, dotrzymam niezłomnie.
Na kiedy Mistrzu, na Litwę wyprawa?—
—Wojska gotowe. Dzisiaj przybył goniec.
Czas nam wyruszyć. Jagiełło nie w domu,
Trok waszych, Xiążę, niéma bronić komu;
On na Podlasiu u Janusza gości,
Suraż, Drohiczyn i Mielnik oblega.
Stare to także Kiejstutowe włości.—
Witold radośnie do Mistrza przybiega.
—Więc poco czekać? Jutro w pochód idziem!—
—Jutro?—

—Nie daléj. Gdy Jagiełło wróci,
Cięźéj nam będzie na Litwie pładrować.—

Czolner rzekł słowo w ucho Komturowi.
—Więc jutro, Xiążę, szczęsliwéj wyprawy.—
Dłoń zatarł Witold—O, długo czekałem
Bezbronny więzień, wygnaniec, bezczynny!
Jutro!!—I Xiążę Olszańskie porywa:
—Ty, Algimundzie, idź do naszéj Żmudzi,
Na jutro półki przysposób. O świcie
My występujem, i wy wystąpicie.
Bądźcie gotowi. We mnie krew inaczéj
Płynie po żyłach; drga ręka, drży serce!
O! gdyby ująć ojcowskie morderce,
Gdyby széroką, czérwoną krwi strugą,
Pomścić się razem nad panem i sługą!—

Niéma nocy na grodzie,
I dnia wszyscy czekają,
By wyruszyć o wschodzie.
Żmudzini potrząsają
Smolne oszczepy swoje,
Łuki z rogów wygięte,
Proce z skóry wycięte,
Rzadkie rdzawe szablice.
Krzyżacy zbroje jasne
Sposobią, i pancerze
I hełmy podwiązują,
Włócznióm końce ze stali
Kują. Nim dzień zaświta,
Trzeba w pole wyruszyć.

Kniaź Algimund się gania
Z gromady do gromady,
Dzieli ufce, rozdaje,
I dowódzców stanowi,
I chorągwie podziela.

Z świtem Malborga bramy
Otwarły się szeroko.
Czoło — ufiec Krzyżacki,
Ciało — Żmudzcy żołnierze,
Tył Mistrz z swemi im bierze.
Tak Litewska się siła,
Opasana dokoła,
Do Krzyżackiéj wcieliła,
Z wielkim krzykiem puściła
Ojczyste niszczyć sioła;
A na czele proporzec
Krzyżem czarnym powiewa,
I chorągiew za niemi
Lśni znaki Krzyżackiemi.

Dniem, nocą bez oddechu
Ciągną wojska pod Troki.
Mistrz nagli do pośpiechu,
Witold wielkiemi kroki
Z bijącém sercem leci
Ku rodzinnéj dzielnicy.

Ot już widać jezioro;
Na kępie, na jeziorze,
Czarne zameczysko stoi
Wieże wysoko wznosi;
Po nad brzegiem jeziora
Drobne chaty czernieją;
Za chatami, wzgórzami,
Las z ciemnemi sosnami
Objął miasto dokoła.

Nim załoga postrzegła,
Zanim na mur wybiegła,
Już Krzyżacy schwycili
Prom i łodzie na brzegu,
Już na ostrow przybili,
Do bram walą, szturmują.
Obudzona załoga
W koszulach na mur bieży.
W zamku popłoch i trwoga.
A na czele dowódzcą
Stary Hanul Wileński;
On szykuje, on wrota
Kazał ziemią podsypać,
Kazał wodą oblewać,
Z murów kamieńmi miota,
Po basztach stawi straże,
Wściekle bronić się każe,
Ani myśli poddawać.

Trzykroć Mistrz doń posyła,
By się poddał z załogą.
On posłańca nie słucha,
W wojsko swe natchnął ducha,
Sam na wieży rozkazy
Daje, bieży, i w chwili
Już Krzyżaków trzy razy
Obleżeni odbili.

A wtém łodzie sprzęzone
Niosą cięźkie tarany;
Podstawiają pod ściany.
Naprożno na obronę
Wojsko, ogień, kamienie,
Wrzątek leje i kłody
Zrzuca. Wkrótce zabrakło
I kamieni i wody.
Taran w bramy kołacze,
Wrota trzeszczą ugięte,
I żelazne okowy
Pospadały odcięte.
Strach załodze zamkowéj!

Ale noc czarna zrywa
Bój krwawy i szturm cięźki.
Mistrz do jutra odkłada.
Witold do wrót przybywa,
Po litewsku odzywa.
Próżno! — z murów zniknęli,

Słuchać nawet nie chcieli.
Noc oblężeni całą
W trwodze bez snu spędzili;
A zaledwie zadniało,
Krzyżacy uderzyli,
Tłuką w wrota tarany,
Tłuką belki o ściany
Wali się mur. Wyłomem
Wpada Witold z pogromem;
Za nim Krzyżacka rzesza,
Ogień niosąc, pośpiesza.
Zewsząd się zamek pali,
Zewsząd Krzyżacy stoją;
Kogo mieczem oszczędzą,
Tego w płomień zapędzą,
I z Trockiego zamczyska
Już kupa rumowiska,
Z której dymy się wleką
Po dolinie daleko.

XXXIV.

Czegoś smutny? Witoldzie! czego na twe dłonie
Głowa spadła? pot zimny oblewa ci skronie?
Czyliżeś nie zwyciężył, nie pomścił Kiejstuta?
Czyli wojna nad Litwą długa nie osnuta?
Czy silny twém przymierzem, Mistrzem i Zakonem,
Obawiasz się Jagiełły, gdy pod jego tronem
Przepaść się już otwiera? Bracia z Rusią wiążą,
Hołdują Dymitrowi, lub wybić się dążą?
Czegoś smutny? Wszak Trockie zniszczyłeś dokoła,
Trzech Komturów pod Wilno posłałeś na zwiady,
I stolica Jagiełły jeszcze z swego czoła
Nie starła, płomiennemi coś napisał ślady;
Wszak ci Krzyżak obiecał i tron i opiekę,
Wszak i chrzest już przyjąłeś, i wiarę porzucił,
Oddałeś Zakonowi twą przyszłość daleką,
I dzieci w jego ręce. Czegoś się zasmucił?

— Czegoś smutny? Witoldzie! — mówiła mu żona.
— Czegoś, Panie, nierady? — Algimund go pytał.
A Mistrz, śmiejąc, mu mówił: — Cięży ci korona,
Nimeś jeszcze na skroniach twoich ją powitał.
Będzie czas trosków doznać, gdy Litwą zawładasz;
Teraz czego przed czasem na siłach upadasz?
Zakon zgnieść nie dozwoli, Zakon cię utrzyma.
Z nami lękać się czego, dumać nad czém niéma. —
A Witold, potrząsając głową, lub głęboko
W mówiącego ogniste zapuszczając oko,
Uśmiechem lub milczeniem wzgardy odpowiadał,
Bo nikt nie był mu w duszy, nikt serca nie zbadał.

O, wiele tam oddawna, wiele się zebrało!
Wiara ojców, z naddziadów nieskażoną chwałą,
Obie stały przed duszą z żałobnemi szaty,
Obie wstyd jéj wznosiły i liczyły straty;
Blade ojca oblicze nad synowską głową,
Smutne, milczące, z zgrozą odstępcę karciło,
I, odsłaniając przeszłość, z postawą surową
O przyszłość się pytało, bo o niéj wątpiło.

We śnie, dwónastu starców pod dęby staremi
Siadali przed nim sądzić — sądzili na ścięcie,
I klęli go, mieczami wstrząsając wielkiemi.
On się tulił przed niemi w ojcowskie objęcie,
A ojciec go odpychał; on do matki chronił,
Matka go odpychała — nikt go nie zasłonił!

Takie sny, taka jawa. Z Zakonem przymierze
On poddany Krzyżaków, on, ziemia i dzieci.
Jeśli Litwę z pomocą Zakonu odbierze,
Litwa w gardło smokowi na pożarcie wleci!

I zewsząd biada! Lud się odstąpił od niego,
Żmudzini po dawnemu pod sztandar nie biegą;
Wiedzą, że się już ochrzcił, że zerwał ze swemi,
Całą przeszłość darował za kawałek ziemi.

Witold smutny; a Anna, widząc smutek, płacze,
Jak nigdy nie płakała, gdy życie tułacze
Pędząc, z Wilna do Krewa goniła za brańcem,
Potém w Pruskie się włości darła za wygnańcem.

Noc była. Witold miecza o ziemię probował,
To uderzał, to giął go, to znowu prostował,
To nim dziwne postacie po podłodze kreślił;
Usiadł i miecz odrzucił, głęboko zamyślił.

Wtém u ognia się postać znowu jawi biała,
Mglista, coraz wyraźniej z ciemności wypływa,
Suche ręce nad płomień wznosząc, rozgrzewała,
Chwilę milczy, a potém cicho się odzywa:

—Witoldzie! jam twój Gulbi. Jeszcze raz przychodzę
Pożegnać cię. Na nowéj niepotrzebny-m drodze.
Tyś nie nasz już, Krzyżackim jesteś tylko sługą,
Tyś zwycięzca, szczęśliwy! lecz będzież nim długo?

Tyś poddaństwo zaprzysiągł, na karcie wypisał,
Dał swe życie Zakonu, aby je wysysał,
Przyszłość swoję i Litwy, za zemstę niepewną.
Jam duch, a oczy moje łzą zachodzą rzewną;
I lud twój, jak ja, patrząc na Kiejstuta syna,
Łamie ręce i płakać z rospaczy zaczyna.
Ty zginiesz! Strzeż, Witoldzie, ochrzczonéj twéj głowy!
Pradziadowie do walki, a ty do umowy
Stałeś z nim. Lepsza walka, niżeli przymierze.
Da-ć Zakon kości, gdy z nich szpik wyssie, wybierze.—
Przerwał Witold:—A znasz ty, Gulbi, co w méj duszy?
Myślisz, żem szczérze wiarę i Litwę porzucił?
Co Witold zrobił, Witold, gdy zechce, pokruszy.—
Biały cień wstał, od ognia jasną twarz odwrócił.
—Posłuchaj mnie, i pomnij! Tyś Litwy nadzieją,
Tyś ostatni swéj wiary, bohatér ostatni.
Jeszcze chwila, a ludy Litewskie stopnieją,
Wróg je zabierze w uścisk, zdradny uścisk bratni,
W którym życie ze staréj Litwy wydobędzie!
Krzyż na górach, świątyniach, na czołach osiędzie,
Krzyż nad Litwą zaświeci! kraj nasz się podzieli!
A tobie go zjednoczyć, tobie, rozerwany
Gdy zionąć będzie ducha w śmiertelnéj pościeli,
Wskrzesić jeszcze, Witoldzie! Zwyciężon, wygnany,
Stokroć zdrajca, zdradzany, pobity, do końca
Zwracaj oczy do myśli, jak orły do słońca.
Niechaj twojemu życiu ona gwiazdą pała.
Litwa jedna i silna, w ręku twojém cała!

Boleć nie twemu sercu, nie tobie się smucić—
Silny, nią możesz wrogów zwyciężyć, wywrócić;
Ale pomnij, dla Litwy i zdrady, i boje,
Dasz wszystko, spokój, wiarę, w końcu życie twoje.—

Mówił ciszéj i ciszéj, i bledniał duch w bieli.
Witold zajaśniał dumą. Wtém z komnaty krzyki,
Ludzie ze światłem, płacząc, do niego wlecieli.
I Anna pada, łkając; wzrok jéj błądzi dziki,
Usta trzęsą się zbladłe; słowa rzec nie może,
Spójrzała, zachwiała się, i padła na łoże!
—Co wam? co jéj?—podnosząc w górę hardo czoła,
Do przerażonéj służby swéj Witold zawoła—
Co się stało? Czy ogień? czy wróg nas otoczył?—
I do żony wybladłéj, pytając, poskoczył.
Anna z łoża się zrywa, za rękę go chwyta,
Milcząca do świetlicy synów swoich bieży.
W kolebce dwaj synowie, mały Jan i Jerzy,
Kolebka rozrzucona stoi i rozkryta,
W niéj tylko dwa trupy leży!
Witold się w czoło bije i ręce załamał;
Lecz prędko uspokoił, obojętność skłamał.
—Wynieść ciała!—rzekł sługóm.—Anno!—rzekł do żony—
Nie płacz! Jam to mym synóm wczesną śmierć zgotował!
Jam winien! Kto gadzinę chowa dla obrony,
Często na sobie piérwszy jéj żądła sprobował!—

XXXV.

Gdy Witold znosi Krzyżacką niewolę
Okuty więzy złotemi,
Jagiełło z Litwą swoją ciągnie w pole
Po zdobycze w Lackiéj ziemi.

Na cóś ty, Lachu, Ziemowita wśpierał,
Gdy nań Jagiełło mścił zdrady?
Na cóś w granice Litewskie się wpierał?
Sam się zadarłeś z sąsiady?

Ciągną Litwini w Sandomierskie włości,
Ku Łyséj górze zmierzają—
Już widny biały gmach na wysokości,
Do niego pędzą się zgrają.

I objął górę żywy łańcuch ludu.
Na górze w dzwony uderzą,
A mnichy, klęcząc, oczekując cudu,
Jeszcze w zagładę nie wierzą.

Biją we dzwony, chorągwie rozwito.
Na przedzie świętego Krzyża
Część, niesie Starszy, złotą blachą, krytą;
Tłum przed nią głowy uniża.

Mnich żegna pogan; ale zjadła tłuszcza
Bieży na Bożych kapłanów,
I strzał tysiące z giętkich łuków puszcza,
We wrota bije z taranów.

A mnisi idą, pieśń piejąc pobożną,
Ciągle w cud wielki ufają,
Tłuszcza się cisnie, z wrzawą leci groźną,
Bramy klasztorne pękają!

Wtém kapłan żegna — lud na twarze pada;
Upadł, by więcéj nie powstał!
Na karkach ludu Litwinów gromada.
Bicz Boży grzesznych ochłostał!

Biada, kto cudu od Boga spodziewa,
Kto śmié go czekać od Niego!
Bo na ratunek Bóg mu nie przybywa,
I nie podźwignie dumnego.

Pogańskie tłumy już w kościelne wrota
Wpadły, przybytek pustoszą,
Na klasztor ognie dzika tłuszcza miota,
Złoto i srébro wynoszą,

Łupy zbierają, a bezbronnych wiążą,
Na wozy zabór swój kładą;
Lecz strach ich pędzi- -wzrokiem wkoło krążą,
Złupili, palą i jadą.“

Bo dzwony ciągle z wież kościelnych biły,
Jakby o pomoc wołały.
Próżno Litwiny wszystkie swoje siły,
Hufce ku wieży wysłały.

Dzwonnicy we krwi leżą, a na wieży
Uroczyste dzwonów głosy
Biją a biją, i dźwięk ich się szérzy,
Po ziemi idzie, w niebiosy.

Coraz głośniejszy, coraz silniéj bije,
Strachem przejmuje ich serce;
Zda się, że pomstę wywola na szyję,
Na świętokradźce, morderce!

I Litwa goni z łupami do domu,
A wciąż jéj w uszach dzwon bije;
Patrzy na niebo i lęka się gromu.
Strach pogańskie ugiął szyje.

Wpośrodku łupów, na wozie ładownym,
Był rzucony krzyż złocisty;
Krzyż to ze drzewem zbawienia cudownem;
W nocy stawał płomienisty;

A niebiańskiemi Aniołowie chóry
Hymn przed nim chwały śpiewali.
Ilekroć z pogan dotknął się go który,
Wszyscy trupami padali.

Kiedy na Polską granicę przybyli,
Stanął wóz z krzyżem, jak wryty;
Próżno ciągnęli, próżno się silili-
Stał na Polskiéj ziemi wbity.

Aż pogan zdjęła niepojęta trwoga.
Szemrzą cóś z sobą i radzą.
Jest-li to siła chrześciańskiego Boga?
Jego to dzieje się władzą?

I Kniaź Jagiełło, co się Bogów boi,
Duchy i czary go trwożą,
Ukradkiem spójrzał po drużynie swojéj,
Uląkł się przed mocą Bożą.

—Porzucić wóz ten—zawoła na swoje—
Lub zaprządz ludzi do niego.
Wolę ja wojnę, wolę krwawe boje,
Niż sprawę ducha wielkiego.

Siły nie widzę, potęgi nie zgadnę.
Włos mi powstaje na głowie!—
Ni go zaklęcia zmódz potrafią żadne.
—Co to jest? niech mi kto powié.—

Wtém się Dowojny zbliża niewolnica;
W Polsce to zajęta branka;
Z czarnemi oczy, wybladła dziewica,
Hanna, z rodziny Habdanka.

Klęknie przed Kniaziem i powié nieśmiało:
— W tém Boża siła jest, Panie!
Wozu nie ruszyć mocą wojska całą;
On w miejscu zawsze zostanie.

Na wozie leży część krzyża świętego,
Na którym Chrystus, syn Boski,
Umierał dla nas, dla świata całego,
Umęczon przez lud żydowski.

Odeślij świętość! Cud to! czarów niema!
Krzyż niech wróci w Polską ziemię;
A wówczas żadna siła go nie wstrzyma,
Lekkiém się stanie to brzemie.

Wielki Bóg Chrześcian, wielki Bóg, jedyny!
Bodaj nawrócił cię, Panie!
Oto znak czynił, by między swe syny,
Wziął cię pod swe panowanie.—

Mówi, Jagiełło zadziwiony słucha,
Na wóz, to na nią pogląda;
Oczy mu błyszczą; i nabiera ducha,
Prawdę słów jéj zbadać żąda.

Każe zawracać. Para wołów biała
Wóz cudownie poruszyła,
I ciągnie nazad; a tłuszcza zdumiała,
Milcząc, na cudo patrzyła.

I sam Jagiełło pozostał w milczeniu;
Patrzy, swym oczóm nie wierzy,
Jedzie, a dumy siadły mu w spójrzeniu,
A w sercu strach jakiś leży.

XXXVI.

Między jeńcami w Polsce zabranemi
Był mnich ubogi, Franciszka zakonu.
Zakon nie obcy już Litewskiéj ziemi.
Bracia to jego, męczeńskiego zgonu
Piérwsi polali ziemię krwią chrześciańską,
Piérwsi winnicę w niéj krzewili Pańską.
Na Piaskach Wilna, na miasta kończynie,
Stał ich kościołek, niby gród obronny;
A dachu nie śmiał wywodzić wysoko,
Ani się krzyżem na wieży pochwalić,
Ni dzwonu dźwiękiem do modlitwy wołać.
Wysoki płot go obejmował wkoło;
Brama dębowa milczała zaparta,
Broniła wejścia, jak w Krzyżackim zamku.
I rzadko mnichy, od pamiętnéj chwili,
Na miasto wyszli, między lud wkroczyli;

Rzadko śpiew w nocy po nad ściany wzbity
Uszy pogańskie dziwnym dźwiękiem raził.
Kościołek zwał się Marji na Piaskach:
Wokoło niego Litwa z swemi domy
Rozstąpiła się, nieufna, daleko,
Jakby przeczuła potęgę Chrystusa,
Jakby jéj w oczy zaglądać nie śmiała.

Do tej to bramy jeniec uwolniony
Zapukał cicho. Lecz trzykroć naprózno
Stukał i wołał. Jak gdyby zamarli,
Tak mnichy w swojém gnieździe się zamknęli.
Nareście głos mu ze wrót odpowiedział
Litewską mową. On polskim językiem.
I małą fórtkę otwarli mu z krzykiem.
A mnich ubogi, w obdartéj odzieży,
Wbiegł, i u krzyża, co stał niedaleko,
Padł na kolana, modli się gorąco.

Powstał. Wnet braci kilku doń przybiega,
I ciekawemi powitali słowy.
On im nic nie rzekł.—Naprzód Boskie Bogu.
Niechaj uklęknę u kościołka progu,
Niech złożę dzięki, że mnie Bóg ocalił.—
Poszedł, drzwiczkami wcisnął się ciasnemi.
Kościoł, budynek był napoły w ziemi.
Nawpół nad ziemią stał słomą pokryty:
Wnętrze ubogie, jak ubogi z wierzchu.
Jeden w nim ołtarz, krzyż nad nim drewniany,

I jeden Jezus na krzyżu rozpięty,
I jeden obraz—Franciszek to święty,
Jak był do ziemi po śmierci schowany,
Jezusowemi naznaczony rany.
Niéma podłogi, ni stropów ozdobnych;
Gołe tam drzewo, a gałęzie jodły
Zielone stoją, i ciemną zielenią
Smutny kościołek w gaj zaciszny mienią.
Jedna się lampa u ołtarzy pali
I błyska ciemno. Mnich u krzyża klęka,
Modlitwę jakąś niewyraźnie stęka;
Potém się podniósł: ale stać nie może—
Bracia za ręce ująwszy go wiodą,
I w swoim domu sadzą znękanego.
Jemu drżą usta z bezmiernéj radości,
I siły traci, a oczy podnosi
W niebo, i jeszcze modli się gorąco.
Wody wziął w usta i czarnego chleba.
—Dość mi—rzekł cicho—dość, więcéj nie trzeba.
Ojcze Gwardjanie, przyjmij spowiedź moję!—
Ukląkł, a bracia z strachem ustąpili.

. . . .

—Śmierć moja blizka—rzekł im, gdy wrócili.—
Czuję ją—idzie; a ojciec nasz miły,
Franciszek święty, co mi dodał siły
Dowieść to nędzne, grzeszne moje życie,
Aż do téj chwili, do chwili szczęśliwéj,
Przez usta moje objawia wam dziwy,

O jakich, bracia, jeszcze nie marzycie.
Słuchajcie, bracia! Jam w Polsce zabrany;
Pogańska tłuszcza do granic mnie wlekła,
Lecz błogosławię męczeńskie kajdany,
Bom wielką duszę wyrwał z bramy piekła!
Bracia! jam Xięcia Jagiełłę nawrócił!
Wkrotce nad Litwą błyśnie święte znamie,
Miljony ludów bałwany pokruszą,
A Polska, kropiąc chrztem świętym na Litwę,
Powiąże losy swoje z nią na wieki.
O! chwalmy Pana! Wielki! niepojęty!
Wołajmy: Święty! śpiewajmy Mu: Święty!
Niegodne usta wybrał na czyn wielki,
Tak, jak dla niego dość deszczu kropelki,
By wywiódł z łona ziemi kwiatów cuda.
Przez moje usta wiarę w nim zaszczepił!
Niegodnem, Panie, niegodne naczynie!
Tyś jeden wielki! jam Twą mocą silny!
Tyś jeden wielki! Ty jeden niemylny!
Z Tobą i robak olbrzymy pokona;
Bez Ciebie jeden włos nie spadnie z głowy.
Chwała Ci, Panie! Mnie czas już umierać.
Jam spełnił życie. Patrzcie—niebo jasne,
Święty Franciszek rękę mi wyciąga,
Anioły skrzydły szeleszczą złotemi,
Cheruby sypią kwiaty różanemi,
A Święta Boża Matka swoję szatę
Nad moję głowę od blasków niebieskich

Wyciąga, ziemskie me oczy zasłania.
O, widzę, bracia, przyszedł czas skonania!
Wy chwalcie Pana, jako ja przy zgonie,
Robak niegodny, Pana na Sjonie!—

Oblicze jego nieśmiertelną chwałą
Błyszcząc, bledniało i coraz jaśniało,
A wszyscy bracia na kolana padli
I konających modlitwy śpiewali.
Jemu się usta klonią do uśmiechu,
I—oddał duszę w roskosznym oddechu.
A wtém powietrze napełnia się wonią,
Pieśni nieznane w uszy braci dzwonią,
Pieśni nieziemskie, niebieskiéj krainy,
Któremi Bogu Anioły śpiewają.
Oni się modlą, i ciało oddają
W małym smętarzu piaszczystéj mogile.
Na niéj drewniany krzyżyk stoi biały.

Kiedy modlitwy i śpiewy ustały,
Pytają bracia:—Kto był mnich nieznany?
Kto był szczęśliwy? kto był ten wybrany?—
On nie zostawił im imienia swego,
I nikt go nie wié.

Wciąga ziemskie me oczy zasłanie.
O, widzę, bracia, przyszedł czas skonania!
Wy chwalcie Pana, jako ja przez zgonu
Robak niegodny, Pana na Słonie...

Oblicze jego nieśmiertelny, chwila
Błyszczące, jedynie coraz jaśniało.
A wszyscy bracia na kolana padli
I konających modlitwy śpiewali.
Jemu się usta skłoniły do uśmiechu,
I — oddał duszę w rozkosznym oddechu.
A w tem powietrze napełnia się wonią,
Pieśni nieznane w uszy braci dzwonią,
Pieśni niebiańskie, niebieskiej krainy,
Któremi Boże Anioły śpiewają.
Ciało umyli i ciało ubierają

W małym sucharzu jego szaty ubogie.
Na niej drewniany krzyżyk stoi biały.

Kiedy modlitwy księży ucichły,
Pytają bracia: — Kto był umarły nieznany?
Kto był szczęśliwy? kto był ten wybrany? —
On nam ostawił ani imienia swego,
I nikt się nie dowie.

XXXVII.

Po Wileńskim zamku chodzi
Sam Jagiełło; chodzi smutny,
Czegoś tęskny; czegoś ciężko
Mu na piersiach i na głowie;
Odwróci się, słowo powié,
I znów chodzi, i znów duma;
Aż Bojara wziął Rusina
Do ogniska; tak zaczyna:

— Słuchaj, Siemion! tyś niedarmo
Rusin; w tobie jest Rusina
Chytrość wielka, rozum wielki;
I niedarmo cię używam,
Do wielkiego wzywam dzieła.
Chcesz-li twemu służyć Panu,
Choćby służbę krwią przypłacić?—

Rusin czołem bije w ziemię.
—Jam twój, Panie! ja i plemie,
Do ostatniéj krwi kropelki,
Do dziecięcia, co w kołebce
Pierś matczyną ssie dopiéro.
Każ, a spełnię, co rozkażesz,
Choćbym cztéry stradał życia.—

Życia twego mi nie trzeba,
Ale głowy, Semen, twojéj.
Wiész Witolda! On z Zakonem
Klin mi w moję Litwę bije,
Na połowę ją rozpłatał,
Z wszystkim wrogiem się pobratał
I rozpisał ziemie moje.
Mnie nie walczyć teraz z niemi,
Mnie gdzieindziéj los mój woła.
Ty wiész—Polska chce mnie Panem.
Dwóch państw losy się kojarzą.
Nie czas z nim prowadzić wojnę.
Niech powróci. Trok nie mogę,
Dam Podlasie, zamki liczne,
Dam dzierżawy, dam swobodę,
W równi z sobą go wywiodę;
Niech z Zakonem zerwie zmowę,
Mojéj Litwy dam połowę!
Słyszysz, Semen! Idź do niego,
Mów ode mnie, niech powróci,

Wszystko niech w niepamięć rzuci—
Moje losy z jego losem
Zwiążę; dam mu, co zażąda.—

Semen słucha, głową kręci,
Wszystko bierze do pamięci,
Wszystko od słowa do słowa
Po jednemu w sobie chowa;
Nic nie rzekł; upada twarzą,
I milczący na koń siada,
Sam jeden w pole się goni.

W Królewieckim białym grodzie
Czemu smutno? Jakie śpiewy?
Jakie krzyki i jęczenia?
Jakie płaczki idą, płaczą?
Jaka matka tam z rospaczą,
Włos puściwszy na ramiona,
Jęczy, idąc rozżalona?

Witoldowych pogrzeb dzieci.
Jan i Jerzy w jednéj trumnie,
W różanych kwiatów posłaniu,
Na spoczynek idą wieczny.
Mistrz im pogrzeb sprawił wielki:
Mnichy w białych płaszczach idą
I śpiewają; a chorągwie
Powiewają; wóz żałobny.

Czérwonemi sukny kryty,
Lśni się kwiatami i złotem.
Pod szkarłatnym, pod namiotem,
Na trumience w kwiaty strojnéj,
Dwoje dzieci śpi, białemi
Twarzyczkami świeci swemi;
A za niemi matka leci!
A za niemi sznurem długim
Płaczki z pieśni pogańskiemi.
Xięża z pieśnią chrześciańską,
I sam Mistrz cóś idzie smutny.
Bracia, kapłani Zakonu,
I rycerze, i lud wielki,
Tak ich wiodą do mogiły.

Witold z okna zamkowego
Na pogrzebny orszak patrzy;
A z oczu mu łzy nie biegą,
A twarz blada, marmurowa,
Nieruchoma, jak w świątyni
Posąg stoi, u grobowca.

Pod oknami, łachmanami
Osłoniony odartemi,
Nędzarz jakiś sparty stoi;
To w Witolda patrzy oczy,
To na pogrzeb spójrzy, wzdycha:
I wyciągnął dłoń zmarszczoną,
Głowę odkrył ubieloną.

—Panie! w imie twoich dzieci!
—W imie dzieci?! Nie mam dzieci!—
Witold zaśmiał się z goryczą.
—W imie dzieci, których niema,
W imie żalu twego, Panie,
Chciéj posłuchać mnie biednego!
Ja ci wieść przyniosłem z Litwy!—
—Z Litwy!—Witold westchnął ciężko.—
O, na Litwie, na rodzonéj,
Jak w Królewcu, pogrzeb wielki:
Wszystko stare, wszystko młode,
Wszystko wielkie, grzebią razem,
Wszystką po ojcach puściznę,
Wiarę naszą i zwyczaje,
Wszystko! Biedna, biedna Litwa!
Wielka otwarta mogiła!—
—Wielka kolebka, o Panie!
A nad nią wielkie świtanie,
Zorza dnia niewygasłego!—
—Któś ty?—Witold wrzący spyta.
—Kto?—jam nędzarz, jam posłaniec.
Lecz tu i mur słowa chwyta.
Czy pozwolisz mi do siebie?—
—Wchodź tu, starcze! przybliż śmiało.—
Semen obejrzał się wkoło.
Mrok już padał. Wszedł w komnaty,
I poselstwo Jagiełłowe
Rzucił w ucho Witoldowe.

Błysnął okiem Witold żywo,
Ścisnął starca.—Dałeś życie!
Wynagrodzę cię sowicie!
Idź, Jagielle nieś ode mnie
Dobre wieści. Zgoda z nami,
Wszystko stare zapomniane.
Daję rękę. Za dwie doby
Jam u niego. O mnichowie!
Pomszczę dzieci wam na głowie!—

Semen do nóg mu upada,
I znikł w ciemni. Witold siada.
Dwie łzy nieme twarz mu zlały,
Dwie łzy srébrne popłynęły:
Jedna za ojcem Kiejstutem,
Druga za dziećmi biednemi!
— Jagiełło mojego ojca,
Mistrz moich dzieci zabójca!
Obie rany niezgojone!
Obie śmierci niepomszczone!
Cicho, serce! nie bij w łonie!
Obie śmierci pomścić trzeba!
Bogi moje! dajcie życia!
A umoczę obie dłonie
W krwi lub we łzach moich wrogów!—

XXXVIII.

Smutne to było dwóch braci spotkanie,
Ponura zgoda, co ich ręce splotła:
Obódwu w ustach konały wymówki,
Obu pierś żałość i chęć zemsty gniotła.
A jednak Witold i Jagiełło razem
Dłoń wyciągnęli.—Zapomnim przeszłości.
Zgoda na przyszłość! Litwa nam wystarczy.
Oba się zmieścim na rodzinnéj ziemi.—

Witold spójrzeniem żarzącém mu na to
Odrzekł i zmilczał. Potém u ogniska
Siedli. Nie wiedzą, jak począć rozmowę.
A wszystko, co ich otacza, dotyka,
Dawne im czasy, braterską ich przyjaźń,
Młodzieńcze lata zgody przypomina.
Między przeszłością, między dniem dzisiejszym,

Ile wypadków, ile krwi przelanéj,
I nienawiści powoli zebranéj!
Jagiello sięga po Polską koronę,
Witold chce Litwę zagarnąć pod siebie.
Piersi wzburzone, czolo namarszczone,
A każdy w sobie tajemnicę grzebie.

Jagiełło przecie ozwał się do brata,
Róg miodu złoty wyciąga ku niemu.
—Pijmy na zgodę. Bracie! lat niewiele,
A odmian tyle, wypadków bogato!
Jam Chrześcianin, tyś już chrztem obmyty.—
Witold się tajnie uśmiechnął szydersko.
—Jam nawrócony—rzekł Jagiełło daléj-
Wielki Bóg Chrześcian! Bóg to matki mojéj!
Bóg wszego świata!—
—Bóg Polski, mój bracie!—
—Bóg Niemców—odparł Jagiełło szydersko.—
Ja w niego wierzę, bom poznał prawdziwą
Wiarę, i sercem ku niéj przystąpiłem.—
—Sercem?—rzekł Witold.—Jam przystąpił głową,
A Bogów ojców mych nie zapomniałem.
Przyjąłem chrzest ich, bo przyjąć musiałem.
Dali mi imie Wiganda Konrada.
Chrzciłem w Królewcu i chrzciłem w Taplawie,
Chrzciłem na Rusi, i ochrzczę w Krakowie.—
—Nie żartuj, bracie! Wielki Bóg chrześciański!
Karze bluźnierców, zabija za zdradę.—

Witold zamilczał.—Ty naprawdę, bracie,
Mnichem zakończysz!—wybuchnął po chwili—
Ty, coś nabożny taki był do Znicza!
Co się tak lękał piorunowych gromów!—

Chwilę Jagiełło milczał i zadumał,
Obejrzał trwożnie i szepnął do brata:
—Wiészże? Witoldzie! ja i teraz jeszcze
Starych się Bogów naszych ojców boję!
Gdy nocą z Znicza ołtarzów zabłyśnie
Na moje okna światło jego blade,
Strach mnie przejmuje. Gdy Perkun grzmi z nieba,
Kryję w komnaty; nie wiém gdzie uciekać;
Usta się same modlą do Perkuna.
Lecz Bóg chrześciański silniejszy mnie broni!—

Słucha go Witold oparty na dłoni,
I nic nie mówi, zamyśla głęboko.
Wtém się po zamku rozlega tętnienie.
Zmrok był, a słońca ostatnie promienie
W otwarte okna czérwone wpadały;
We świetle jego gorzał zamek cały;
Zdala od murów Zniczowéj świątyni,
Po jasném niebie dym się wił z ołtarzy;
A czarna chmura, nad głowy zwieszona,
Płynęła w stronę Litewskiego wschodu.

—To posły nasze—rzekł Jagiełło dumnie—
Wracają z Polski. Lachy jadą z niemi.

Wiesz, że do Polski na Króla mnie proszą.
Ochrzcimy Litwę. Wielki Bóg chrześciański
Będzie mnie swoją osłaniał opieką.
Ja Mu dam wiele; wiele dusz poddanych,
I krzyże Jego na wieżach zaszczepię,
A Litwę z Polską połączę na wieki.

Drzwi się otwarły, dowódzca zamkowy,
Jamund, o posłach Lackich oznajmuje.
Oni podchodzą i schylają głowy
Jagiełło rękę swą ku nim wyciąga,
I każe rogi podawać złocone;
Prosi ich usiąść na ławach, skórami
Krytych, co wkoło ognia rzędem stoją;
Sam się ciekawie patrzy w posłów twarze.
Starce to, ale rumiane ich lica,
Piersi zbrojone blachy żelaznemi,
Suknie do ziemi, długi włos na głowie,
I brody bujne, i wąsy szérokie,
Na szyi złote zwieszone łańcuchy,
Szable u boku, noże za pasami,
Płaszcze złociste, sobolem podbite,
Kołpaki futry drogiemi pokryte.

Na czele posłów Włodźko z Ogrodzieńca,
Za nim z Ostrowa Krystyn szedł Podczaszy,
I Piotr Szafraniec, i Hincza z Rogowa.
Wiedli ich posły Jagiełły, z powrotem
Z Polskiego kraju, od Lackiéj Królewnéj.

Skirgiell, i Wigund, i Borys, Xiążęta,
I Hanul stary, Namiestnik Wileński,
Co się z Trockiego ognia uratował
Oni tam dary złożyli Jadwidze,
A w zamian darów niosą obietnice,
Że się dwa kraje, dwa połączą ludy,
Jagiełło będzie nad Polską panował.

Wtém drzwi się drugie otworzą Xiążęta:
Korybut, Lingwen, wchodzą do komnaty,
Obok Jagiełły kręgiem wszyscy stają,
Posły schylają i mówić rozpoczną.
Słodko Jagielle brzmi w uszach ta mowa,
Choć zrzadka Polskie może złapać słowa,
Które mu stary Hanul wytłómacza.
Skończyli—Xiąże przez Skirgiełły usta
Śle im odpowiedź z dziękami wielkiemi,
Stawić do Polski na czas obiecuje,
Ochrzcić się z bracią i całym swym krajem,
Żyć chrześcijańskim odtąd obyczajem;
Potém róg kazał podać, i przepija,
Posły zasadza, ucztę stawić każe,
Nogi im obmyć, suknie dać ze skarbcu.
Nim zasiadł za stół, krzyżem się przeżegnał,
A skrycie schylił przed Kobolem głowę.

Za wielkim stołem Jagiełło zasiada,
W prawo Skirgiełło, a Witold na lewo,
Lingwen, Korybut i Borys za niemi,

I posły Polskie, i Hanul na końcu.
Z srébrnych mis dzikie parują mięsiwa,
Wpośrodku jeleń upadł na kolana,
Dokoła dzbany miodu, lipcu, piwa,
I złote czasze, i rogi oprawne.
Za gośćmi słudzy stoją, i żółtemi
Świecą nad głowy pochodniami z wosku.
Polacy patrzą, i dzikiéj prostocie
Dziwią; bo jadła na srébrze i złocie,
Ale znać pogan po sprzętów robocie:
Skóry ze źwierząt zawieszają ściany;
Wpośrodku ogień na wielkiém ognisku;
A psy Xiążęce pod stołem o kości
Gryzą się, swarząc; a sokoły białe
Drzémią na grzędach nad głowami gości.

XXXIX.

Stolico Piastów! dzień ci wielki świta!
Powstańcie z grobów Królowie,
Brata w stolicy powitać;
Wyciągnijcie mu dłoń stalną,
Przeżegnajcie krzyżem świętym.
Ty, ze Skałki męczenniku,
Zbudź się, Stanisławię Święty!
Z srébrnéj truny wstań, Biskupie!
Rękę, co zmarłych wskrzeszała,
Wyciągnij nad jego głową,
Błogosław na przyszłość całą!
Wstańcie umarli i żywi,
W tysiączne klaśnijcie dłonie,
Głosem radośnym ozwijcie!
Nowy Król wjeżdża w stolicę;
Świetny orszak za nim jedzie:

Warneńczyk i Kaźmierzowie,
Alexander i Zygmunty;
Długie lata szczęścia, chwały,
Berło niosą, i koronę,
I królewskiéj władzy znaki.
To nie Węgrzyn, co za złoto
Kupił Polskie panowanie;
To nie Elżbieta Królowa,
Co szalała na Krakowie,
Gdy w krwi Polska się nurzała—
Jagiełło idzie, co wiarą
Pierś, krzyżem świętym naznaczył,
Co swą opuścił ojczyznę,
Co się swéj Litwy zapiera,
Aby nowy kraj do łona
W ojcowskim tulić uścisku.
Powstańcie z grobów, Królowie!
Powstań, Stanisławie Święty!
Błogosławcie jego głowie,
I przyszłości błogosławcie,
Swoje mu cnoty oddajcie,
Swoje mu szczęście przelejcie,
Odwagę sercu natchnijcie,
Głowę jasnym, jak korona,
Otoczcie wieńcem rozumu—
Niech świeci Polskiemu światu
Niezgasła i niezaćmiona.

Słońce powstało jasne, choć zimowe,
Promienie sieje po śniegu całunach,
We złoto wieże kościołów ubiera,
Dachy Krakowa posrebrza spiczaste;
We dzwony biją, a lud się gromadzi,
Z miasta strumieniem na gościniec płynie,
Czeka na wzgórzach — dziś Litewskie Xiążę
Przybywa Polskiej Królewnie pokłonić.
Zimowe słońce z za mgły się wyrwało,
Jasnym promieniem witać go wychodzi,
I niebo szaty lazurowe wdziało,
I drzewa stoją w diamenty strojne,
A w każdém błyszczą, jak w kropelkach rosy,
I jasne słońce, i czyste niebiosy.

W Krakowie dzwony z czterdziestu kościołów
Do ludu głosem radości wołają,
I o przybyciu Pana znać mu dają,
I pieśń wesela, witając, śpiewają.

A w zamku starym, w zamku na Wawelu,
Choć się on przybrał, chociaż się przystroił,
Smutno tam czegoś. W komnacie sieroty
Słychać jęk cichy, modlitwę i łkanie;
A ile razy dzwony się poruszą,
Serce uderzy, ona z łoża wstanie,
Pada przed krzyżem, i całą się duszą
Modli do Boga: łzy po licu białém
Perłami płyną na piersi dziewicze.

—Siły! o Boże! Boże! daj mi siły
Dla Polski wszystko położyć w ofierze,
Wszystko poświęcić Chrystusowéj wierze,
Siebie i przyszłość; i młode wspomnienia,
Wilhelma! Boże! o, dodaj mi siły!
Niech łzy na oku nie ujrzy przybyły,
Niechaj nikt nie zna téj ciężkiej ofiary!
Modlę się Tobie, Boże! Matko Święta!
Przyczyń się za mnie, Stanisławie wielki,
Patronie Polski, przyczyń za sierotą!—

Wtém dzwony biją, krzyki się rozchodzą.
Jadwiga wstała i bezsilna pada.
Do drzwi jéj trzykroć zewnątrz zapukano.
—Zmiłuj się! Boże! ulituj nade mną!
Już idą!—Drzwi się otwarły powoli,
I Oleśnicki wszedł Zawisza młody.
—To wy!—Ja, Pani! z poselstwa powracam.—
—Mówcie, o, mówcie! Wszystko znieść mam siły.
Źwierz-li to dziki? źwierz-li to straszliwy?
Potwora z puszczy Litewskich? Zawiszo!—
—Nie, Pani! Wkrótce sam za mną przybywa.
Ujrzysz, Królowo! Lecz nie potwór dziki;
Człek, jak my wszyscy; młody, piękny, silny,
Szérokich ramion, ciemnéj barwy oczu,
Mowy łagodnéj, cichy i milczący.—
—Prawda? Zawiszo! zaklnijcie na Boga!—
—Bogiem klnę, Pani, że ci prawdę rzekłem.

Lecz wkrótce sama Jagiełłę zobaczysz.
W poczcie się licznym do Krakowa zbliża.
Z Lublina z pany szedł do Sandomierza.
Spytek z Mielsztyna spotkał go na drodze,
Poczet pomnożył, i wiedzie go z sobą.
Dzisiaj przed tobą kolana swe skłoni.—

Jadwiga oczy zakrywała w dłoni.
—Idźcie—mu rzekła—niechaj na przyjęcie
Gotują zamek. Stało się! Ofiarę
Przyrzekłam, spełnię. Teraz na modlitwie
O siły będę, o odwagę prosić.

Wyszedł Zawisza; ona sama znowu,
Klęczy i płacze. Wtém do drzwi pukają.
Serce Królewnéj żywo bije w łonie,
Jakby przeczuła, kto na progu stoi.
Podniosła głowę.—Wnijdź—wyrzec się boi.
Gniewosz tam u drzwi, Wilhelma posłaniec?
Czyli sam Wilhelm? Ktoś niewieścią szatą
Zaszemrał, wchodzi. Jadwiga powstała,
Rękę wyciąga.

—Wychodźcie! na Boga!
Na rany Pańskie! na Marij boleści!
Na wszystko święte zaklinam, wychodźcie!—

Wilhelm to w szacie kobiécéj przybywa;
On raz ostatni chce jeszcze sprobować,
Czyli się w młodém nie odezwie sercu

Dawniejsza miłość? Pada na kolana,
— Jadwigo! — woła — modlę się przed tobą!
Porzućmy wszystko! jeszcze czas uciekać!
Za chwilę niedźwiedź po pastwę przybędzie
Tyś moja! moja! —
— Nie twoja, Wilhelmie!
Jam Chrześcijanka, jam Polski Królowa!
Naprzód do Boga, a potém do kraju
Należę cała, i poświęcę jemu.
Na co napróżno serce mi rozdzierać?
Przyrzekłam Bogu, i Polsce przyrzekłam!
Bóg za nas dał się na krzyżu rozciągnąć,
A ja dla Boga nie miałabym święcić
Trochę boleści życia mizernego?
Jabym dla Polski, co mi matką była,
Nie miała stłumić boleści dziecięcéj? —

Wilhelm powstaje. — Nic od ciebie więcéj,
Nic nie posłyszę? —
— Idź! — rzekła — uciekaj!
Już słyszę dzwony i krzyki w ulicy —
Jagiełło jedzie. Spełni się ofiara! —
Wtém do drzwi idą państwa urzędnicy,
Starce z siwemi brody drzwi rozwarli,
Schylili głowy, w milczeniu czekają,
By ku nim wyszła. Wilhelm twarz osłonił,
Ucieka. Ona uklękła, i siły
Jeszcze w modlitwie szuka; potém wstała,

Zda się, wyrosła, zda się, wyjaśniała;
A wkoło głowy świeci blask męczeński,
Podwójna świeci, i ziemska korona,
I z palm, Aniołów ręką upleciona.

W ulice spłynął wszystek lud Krakowa,
We dzwony biją, odgłosy witają.
Orszak Jagiełły już bramy pominął,
I różnobarwnym sznurem się rozwinął.
Pięć ufców składa orszak Jagiełłowy—
Litwy i Rusi cztéry półki idą,
Tatary śniade, Witebszczanie bieli.
Bogate skóry na barkach im wiszą,
Czarne się łuki na plecach kołyszą,
Sajdaki świecą blachami srébrnemi,
Konie suknami kryte szkarłatnemi;
Na łbach ich szłyki z dzikich źwierząt puszczy,
Na piersiach wilków, niedźwiedzi pazury,
I miasto zbroi nabijane skóry,
I tarcze krągłe z gwoździami złotemi
Wiszą błyszczące na rękach wojaków.
Mężne ich lica i dzikie spójrzenia.
Ani się ludóm stolicy dziwują:
Nieraz po Polskiéj plądrowali ziemi,
Miasta niszczyli, i zblizka patrzali
Na cuda owe, gdy w nie ogień mietli.
Wpośrodku ufców wozy skarbne idą,

A lud je liczy i wielość podziwia.
Dziesięć wielbłądów droższe dary niesie.
Każdy z nich suknem do ziemi odziany,
Każdego wiedzie Tatarzyn półnagi,
Po nad ułcami dwie chorągwie wieją:
Na jednéj pogoń Litewska wyszyta,
Druga się w słupy różnéj barwy mieni.

Bogaty orszak Polski się na końcu,
Złotem i srébrem błyszczący przy słońcu,
Rozwinął. Spytek Mielsztyński go wiedzie,
W zbroi złocistéj wjeżdżając na przedzie;
Za nim Jagiełło na siwym bachmacie;
A wkoło niego jadą: Witold dumny,
Skirgiełł okrutny, Swidrygiełło chytry,
Jerzy, Korygajł, Michał syn Jawnuta,
Borys Olgerdow; Pany i Bojary,
Ałgimund Xięcia Witolda pokrewny,
I starzec Hanul, Namiestnik Wileński,
Jamund, *Sudzimund* i z Rusi starszyzna.

Przy dzwonów dźwiękach, przy ludu okrzykach,
Ciągną orszaki prosto do Wawelu.
Tam już Królowa, w Polskich Panów gronie,
Xiążąt Mazowsza, Szlązka, Oleśnicy,
Piękna, jak anioł, a jak posąg blada,
Czeka Jagiełły; i słyszy—jéj ucha

Coraz to bliżéj i jazdy tętnienie,
I ludu krzyki, i wozów skrzypienie.
Cisza nareście — u zamku stanęli.
Wchodzi Jagiełło w królewskie komnaty.
Królewna, Xiążę po sobie spójrzeli,
I stoją strachem przejęci oboje.

We dwa dni potém, na Skałce, w Krakowie,
Jagiełło z bráćmi chrzest przyjmował święty;
We trzy dni potém, na starym Wawelu,
Polska i Litwa, w narodów weselu,
Losy na wieki połączyły swoje.
A Witold patrzał, uśmiéchał się dziko.
— Królem tyś Polski, lecz nie Litwy panem—
Mówił.— Na Litwie jeszcze nasza stara
Długo po sercach rosnąć będzie wiara.
A kto od ludu oddzielił się Bogiem,
Tego nie przyjmie lud za Pana swego.—

Jeszcze Jagiełło w Krakowie ucztuje,
A z Litwy gońce śpieszą za gońcami.
Witold się smuci Litewskiemi sprawy,
Twarzą się smuci w sercu radość czuje.
Mistrz Czolner dumnie Dymitra z Goraja
Odrzekł, Jagiełło gdy go w kumy prosił,
I do Krakowa nie chciał na wesele.
On się z Andrzejem, Olgerdowym synem,

Nowém przymierzem połączył, i Litwę
Począł pustoszyć i nawracać mieczem
Niedosyć jednéj klęski- Andrzéj z Tweru
Litwę plądruje; Smolenscy Kniaziowie
Pod Mścisław idą, Jagielle wydzierać.
Smutną Jagiełło wieść dostał w Krakowie!
Niéma tam komu granic nagich bronić!

A Witold rzecze: — Ja pójdę, mój bracie! —
Skirgiełł się także z Witołdem wyrywa;
Korybut, Semen Lingwenowicz z niemi
Ciągną z Krakowa. Witold na Podlasie
Półki swe zbiera; Skirgiełło Ruś wiedzie.
Zaledwie wiosna śniegi z ziemi zdarła,
Już pod Łukomlą Witołd bije w ściany;
Dobył, Andrzeja załogę wycina,
Swoją osadza, i pod Mścisław leci.

Nad szybką Werchę, pod Mścisławia mury,
Syn Iwanowy Światosław Smoleński
Przyciągnął z Kniaziem Iwanem i Hlebem,
Z Światosławiczem Jurją, i mnogiemi
Wojskami z Rusi, i Bojary swemi;
A kędy przeszedł, ciągnąc do Mścisławia,
Krwawemi ślady gościniec zostawia.
Spalili sioła, zaparłszy do domów
Starców i dzieci, matki i dziewice;
Pod ściany chat im głowy kłaść kazali;
Wojskiem objąwszy, biedny lud palili:

Popiołem sieli i kościami drogi!
Zniszczał kraj wielki i zginął lud mnogi!

Już jedénasty dzień w Mścisławia mury
Biją tarany, a z wysokiéj wieży
Namiestnik próżno wygląda odsieczy.
Dnia jednastego trwoga na obozie.
Światosław każe odstąpić od murów,
I po nad Werchą szykuje ze swemi—
Od strony Litwy, gromady czarnemi,
Witołd przyciąga. Już proporce wieją,
I Mścisławianie odżyli nadzieją.
Litewskie wojska Witold ze Skirgiełłą
Wiodą; już wpadli na Rusinów szyki.
Ruś, opasana zamkami i wodą,
Stawi im czoło, lecz wkoło objęta.
Światosław ranny, krwią brocząc po ziemi,
W lasy ucieka; za nim Ruskie Kniazie;
Za niemi Litwa, i w polon zabiera.
Światosław włócznią przebity umiera;
Iwan, Wasyla syn, rażony strzałą;
Hlebu i Jurij jeńcem być dostało;
Bojarów w rzece wytopiła Litwa,
I krwią okryta, z zwycięzkiemi wrzaski,
Do bram Mścisławia odpocząć przybiegła.

Popiołem sieli i kośćmi drogi,
Zniszczał kraj wielki i zginął lud mnogi!

Już jedenasty dzień w Mścisławia mury
Biją tarany, a z wysokiéj wieży
Namiestnik groźno urąga, [illegible]
Dnia jedenastego trwoga na obozie;
Swiatosław każe odstąpić od murów,
I po nad Wechrą szykuje ze swemi
Od strony Litwy, gromady czarnemi;
Witold przyciąga. Już proporce wieją
I Mścisławianie odżyli nadzieją.
Litewskie wojska Witold ze Skirgiełłą
Wiodą, już wpadli na Rusinów czoło;
Ruś, opasana zamkami i wodą,
Stanął w czoło, lecz wkrótce [illegible]
Swiatosław ranny, krwią broczac po ziemi,
W lasy ucieka; za nim Ruskie Kniazie;
Za niemi Litwa, i w połon zabiera
Swiatosław włócznią przebity umiera;
Iwan, Wasyla syn, rażony strzałą;
Hlebu i Juriji jednem być dostało;
Bojarów w rzece wytopiła Litwa,
I krwią okryła, z zwycięskiemi wrzaski.
Do bram Mścisławia [illegible] przybyła.

XL.

Zielona wiosna Litwy czoło stroi,
I lasy szumią, łąki się zielenią,
I rzeki płyną ku morzu białemu,
I róże kwitną, i lilije białe,
Gaje się święte liściami ubrały.
Czemuż tak głucho? i wiośniane święto,
Święto pastusze, nikt już nie obchodzi?
Czemu' nie widać Zniczów, ni kapłanów?
A lud z bojaźnią pogląda na niebo,
Jakby Perkuna lękał się prawicy?

Zielona wiosna Litwy czoło stroi,
I lasy szumią, łąki się zielenią.
Na Turzéj górze siedzi starzec smutny—

To Wejdalota od Znicza ołtarzy.
Szatą się okrył, by łza, co po twarzy
Płynie, w cudzém się nie odbiła oku.
Patrzy — u jego stóp czy Wilno stare?
Gedyminowe Wilno? Olgerdowe?
Taż to Wilija, w któréj się kąpały
Tury? i też to lasy poświęcone,
Które Zniczowy ogień podsycały?
Taż Świntoroha mogilna dolina,
Kędy śpią kości starych dzidziawirów?
Gdzie się pomięszał popiół Gedymina,
I proch Olgerda, i Kiejstuta prochy?

Spójrzał na góry — też, co dawniéj, góry?
Spójrzał na miasto — gródże to nasz stary?
Spójrzał pod stopy — gdzie Znicza świątynia?
Na Antokole — i tam zgasły dymy!
Spójrzał i płacze — na górze wysokiéj
Trzy krzyże żółte ramiona podniosły,
Świątynia Znicza świeżym krzyżem strojna,
Na Piaskach znamie chrześciańskiéj wiary,
Na Antokolu krzyż żelazny wbity,
Po mieście krzyże, na zamku, na górach,
Wszędzie już! wszędzie! Gdzie Znicza kapłani?
Żebrzą rozbici, żebrzą rozsypani!
Gdzie gaje święte? — wycięte poległy!
Gdzie Bogi? — patrzcie, do Wilij ich wleką,
Młotami biją, toporami sieką.

A Perun zasnął, i z nieba jasnego
Ni grom zahuczy, ni się wstrzęsie ziemia.

Pod Krzywym Grodem, na Świętéj dolinie,
Mnogi lud ścisnął i zamek oblega,
Pod starą swoję przytulił świątynię;
Ale na szczycie jéj krzyże spostrzega;
Na zamku drugi kościoł po nad głowy
Wzniósł się, i dzwoni dziwacznemi słowy;
A w bramie stoją: Jagiełło, Królowa,
Biskup Bodzanta, Wileński Wasiłło;
Sludzy białemi szatami lud dzielą;
Kapłani sieją między lud naukę,
Na białe szaty kropią świętą wodą,
Imiona dają, dary, obietnice.
Smutny lud patrzy, jak Bogów zwalono,
Smutniejszy jeszcze krzyżowi się kłania,
Uchylił głowy, gdy wodą skropiono,
A łzę, odchodząc, za przeszłość uronił.

Trzydzieści ludu tysięcy ochrzczono,
Wszystkie bałwany na ziemię zwalono,
Ognie zagasły i gaje wycięto.
Ale kto pamięć z serc odejmie świętą?
Chrzest jéj nie zmazał; poszła ona z ludem,
Co krok do serca skrwawionego woła:
— Tu był gaj święty, tu ojców mogiły,

Tu wasze matki Bogóm się modliły,
Tu wasi ojce wrógów pokonali,
Tu pradziadowie zdrajców ukarali.—
I lud powrócił do chat swych; na sioła,
Krzyże na piersi kładąc, a w mrok szary
Bogóm Litewskim oddawał ofiary;
Bał się i Boga Chrześcian, i Perkuna;
Za swą przeszłością wzdychał z serca głębi;
I przyszła chwila, gdy zmięszał dwie wiary,
Nowéj się lękał, nie mógł zabyć staréj.

Litwo! o Litwo! gdzie są dzieci twoje?
Olgerd, Gedymin, Kiejstuty, Mindowy?
Gdzie czasy sławy, gdy w zwycięzkich bojach
Na świat leciałaś, zabierając ziemie?
Gdy do bram Moskwy jedną bijąc ręką,
Drugąś na Lackie wyciągała włości,
Zębami Pruskie szarpała wnętrzności,
Nogami siekła po piersiach Mazurów?
Nad morzem Czarném Tatarzyn wylękły
Łuk u nóg twoich porzucił, kark zgina,
A tyś mu na kark, idąc, nastąpiła,
Z Dniepru się wody i z Dniestru napiła,
Odwieczne Taurów zajęła sadyby,
W słońcu i morzu południa skąpała?
Gdzie wojny twoje? bohatéry twoje?
Gdzie Bogi? kędy i wielkość i sława?

Teraz tyś Polski służebną! Na ręku
Dźwigasz już więzy! Oddałaś im Pana;
A za jednego, tysiąc dali Lachy,
Boga i mnichów, panów i niewolę!

Litwo przesławna! gdzie dni twojéj sławy?
Zgasły! I zaszło słońce dnia twojego,
Co w Rusi, w Polsce, nad morzami dwiema,
Świeciło twoim zwycięztwom krwią zlanym!
Czemu ojcowie z mogił nie powstali?
Czemu ze Wschodniéj nie przybiegli ziemi
Wypędzić zdrajcę, co sprzedał swą wiarę,
Lud swój i braci! Czemu gromy z nieba,
Kiedy wywracał ołtarze odwieczne,
Na głowę jego nie padły, na głowy
Wszystkich służebnych?! Czemu się Litewska
Nie wstrzęsła ziemia, nie pożarła w łonie
Przybylców chytrych i niewiernych panów?!

Gdy Mindows wiarę Litewską porzucił,
Czemu na Litwie jeden jęk był tylko,
I jeden okrzyk boleści i trwogi?
Czemu w ołtarzach utrzymały Bogi,
A w sercach wiara, podania u ludu?
Dla czego matki, maluczkie swe dzieci

Tuląc do piersi, obyczaje stare
Z mlékiem dawały i dziadowską wiarę!
Dla czego teraz, kiedy chrzcił Jagiełło,
Lud nie zaszemrał? I poszli kapłani
Cicho, milczący? I padły świątynie,
I krzyże wstały, panujące czoło
Wzniosły, a na twarz runęły bałwany?
Lud biegł kupami, ochrzcić się pośpieszał?
Czemu?— Bo Litwy jasne dni skończyły,
Bo nowe słońce zaświecić jéj miało,
Starego życia godziny wybiły,
I legła w grobie z dawną swoją chwałą!
Krótki był dzień jéj! Słońce u zachodu,
Na wschodzie innéj wiary promień świta,
I krzyż zajaśniał u kraśnego wschodu—
Lud zachód żegna, nowe słońce wita.

XLI.

Kto na Wileńskim zamku panuje?
Kto się na Krzywym weseli Grodzie?
Kto dnie i nocy hula, ucztuje?
To Olgerdowicz. We swoim rodzie
Jagiełło wybrał na Wilno Pana.
Skirgiełł z wilczemi usiadł oczyma,
Wziął w rękę Litwę, na wodzach trzyma,
A co pociśnie w silnéj swéj dłoni,
To krew wyciska, łzy Litwa roni.

Skirgiełł na Wilnie — Witold poddany,
Witold lennikiem Olgerdowicza.
W Grodnie się rozsiadł, rwie swe kajdany,
W myślach swe wojsko zbiera, rozlicza.
A Skirgiełł w Wilnie, na Krzywym Grodzie,
Mnichów pozbierał z Kijewskiéj Rusi,
Siedzi przy piwie, siedzi przy miodzie,
Pije i bije, biedny lud dusi.

W zamkowych oknach dzień i noc blaski,
Słychać śpiewanie i słychać wrzaski,
Dzień i noc świeci łuna ucztowa;
A lud strwożony tuli się, chowa,
Mija Gród Krzywy, do domów zbiega,
I ledwie Dzieckich zdala postrzega,
Jak wróble, jastrząb gdy na nie bije,
W lasy i góry przed niemi kryje.
Skirgiełło w Litwie. Smutno w czużynie!
Na Rusi przywykł gościć, ucztować.
Ciasno mu tutaj w małej drużynie-
Ni z kim się napić, ni z kim polować.

—Pojadę na Ruś—woła pijany—
Niech dziką Litwę licho zabierze!
Lud wymęczony, biedny, znękany!
Zjadła go wojna, zjadło przymierze.
Cisnę a cisnę, i nic wycisnąć,
Ni z niego siłą datku wydusić.
Nieraz krwi struga musi wytrysnąć,
Nim do poboru potrafisz zmusić.—

Woła, i rogi napełniać każe,
Mnichów zwołuje, zwołuje straże,
Sadza na ławy, przepija z niemi;
A gdy znękani żarty pańskiemi,
Słowo mu jakie rzekną nieskładnie,
Woła na ludzi, rękoma skinie—

Wiodą w podwórzec—głowa upadnie! -
Skirgiełł się śmieje.—Znaj mnie, psi synie!—

I pusto w grodzie, pusto po siołach,
W kraju, jak gdyby świeżo po wojnie.
W zamku wesoło, na krwawych czołach
Trunek rozlany zabłysnął hojnie.

Skirgiełł weseli, śpiewa, ucztuje,
Ale mu na Ruś tęskniéj co chwila;
I róg po rogu duszkiem wychyla,
W drogę się jechać,-w Kijew gotuje.

W Rusi i miody lepsze i głowy,
Kraśniejsze dziéwki, druhy weselsze,
W Rusi bogatsze z ludu obłowy,
I Skirgiełłowe serce tam śmielsze.

Noc była ciemna, wicher wył z burzą,
Grzmiał Perkun w niebie i ziemia drżała,
W Wileńskim zamku ognie się kurzą,
A w ogniach cała, w okrzykach cała
Góra Zamkowa w burzy szalała;
I słychać było biesiadne krzyki,
I widać było ognie płonące,
Z okien wylatał głos jakiś dziki,
I dymy czarne, i skry błyszczące.
W niebie szalało, szalało w grodzie.

Na każdy piorun wykrzyk wtórował-
Skirgiełł tam w zamku, przy starym miodzie,
Swych ulubieńców, gości przyjmował.

W świetlicy wielkiéj okna otwarte,
Drzwi wywalone, w środku ogniska;
Dokoła pijane postacie sparte,
Do śpienionego miód leją pyska.
Ogień im w oczy, ogień na suknie
Skacze iskrami, płomieniem pryska,
Oni nie widzą, oni nie słyszą!
Gdy niebios piorun po ziemi huknie,
Aż się krawędzie ziemi kołyszą.

Pijani wszyscy! Co w gardło wleją,
To z pieśnią nazad wyjdzie im z gardła;
Tarzają w ogniu, z piorunów śmieją;
Rozum utonął, bojaźń umarła;
Miód im pozostał, co w mozgach światy
Jasne maluje, złotem, szkarłaty,
Co strach odebrał, rozum wygonił,
Ciało obnażył, dusze odsłonił.

W niedźwiedziéj skórze, w miękkiéj pościeli,
Skirgiełł się z swemi druhy weseli.
U jego boku dziéwka pijana,
Tuli się, śmiejąc, do swego Pana.
Piersi jéj nagie, oko jéj łzawe,
Rozwite płyną po ciele włosy,

Usta krwią prysną, zda się, tak krwawe!
Niepojętemi mówią cóś głosy.
Krew na podłodze i krew na ścianie!
Czyja krew? Xiążę! powiedz mi, Panie!
Ojca to dziewki, matki dziewczyny!
Przyszli wypraszać córkę niebogę,
On ich krwią obmył swe zaślubiny,
Krew prysła w ściany, zlała podłogę.
Potém płaczącéj miód w usta leli,
Póki pijana, póki szalona,
Nie padła napół-martwa w pościeli,
Nie przycisnęła Pana do łona.
A teraz patrzy na krew rozlaną!
Teraz się śmieje z plam na podłodze!
Skirgiełł ku sobie ciśnie pijaną —
I pieśni każe śpiewać niebodze.

Rzucił na druhów oczy krwawemi.
— O, jak pijani! — Klasnął na sługi —
Ogień podłożyć pod pijanemi!
Niech ich żółtemi podleje strugi.
Zobaczym, jak się będą w płomieniu
Wić podpaleni. Czy ich wytrzeźwi? —
Posłuszna służba Xięcia skinieniu,
Lecą pachołcy ku ogniom rzeźwi.
I płoną szaty, płonie świetlica!
Pęki podnoszą! Pan klaszcze w dłonie.
— O jakże pięknie drużyna płonie!

Jak im w płomieniach pięknie, do lica!
Pogasić ogień! dosyć płomieni!
Niech moja przyjdzie tu niedźwiedzica
A okna zaprzeć i drzwi od sieni.
Zobaczym, jak ich czule uściska!—

Wnet z hucznym śmiechem rozewrą wrota,
Leci zgłodniała pańska służebna,
Wzniosła na łapy, oczyma błyska,
I na pijanych, wpół-martwych, miota.
—Odważnaś! Meszko! Byłaś potrzebna!
Ślicznie-bo moje spełniasz życzenie!
Rwij cielska podłe, nie żałuj strawy!—
W komnacie przestrach, głuche milczenie,
A potém krzyki, potém bój krwawy.
Wzniesie się człowiek, pada rozbity.
Z krwawéj mu czaszki źwierz mózg dobywa,
I ssie, coś mrucząc; a Skirgiełł spity
Zabawce z łoża w dłoń przyklaskiwa.
—Precz mi z trupami! precz mi z niedźwiedziem!
Dawajcie rogi! znowu pić będziem!
Druhy tu do mnie! Bestje! na nogi!
Co? już padliście? nie podniesiecie?
Oknem ich, jak psów, rzucić na śmiecie!
Przypędzić z domów, wołać z ulicy!
Nowi przybędą wnet biesiadnicy.
I precz z tą dziewką! wygnać za wrota!
Przywieść mi inną, młódszą, weselszą!

Tą jakiś zły duch po łożu miota.
Dajcie mi młódszą, piękniejszą, śmielszą,
Co się nie zlęknie ognia, źwierzęcia,
Miodu, i swego Pana Xiążęcia!—

—Kto? do stu czartów!—Skirgiełł zaryczał,
Kiedy we wrotach rogi usłyszy.—
Jaki to tam pies tak zaskowyczał?
Kto śmie w noc pożną drwić z mojéj ciszy,
Kiedym przykazał, by z Litwą całą
Wilno usnęło, kamieniem spało,
I tchnąć nie śmiało, i drgnąć nie śmiało?—

Wzniósł się na łoże, a w drzwiach ukaże
Witold. I słudzy padli na twarze.
On pięść złożywszy, zęby zacisnął,
I klątwą dziką w oczy mu prysnął.
—Słudzy ci czołem, ty bij mnie, sługo!—
—Ja! tobie? Xiążę! poczekasz długo,
Nim Kiejstutowicz czołem uderzy!
Nikomu jeszcze nie biłem czołem!—
—To mnie uderzysz, lenniku hardy!
Wiész, że Xiążęcą czapkę ja wziąłem,
W ręce Xiążęcy miecz wziąłem twardy.—
—O! wiém! lecz widzę na twojém czole
Miód nie koronę; a w twojéj dłoni
Róg, co podżega cię na swawolę,

Z głowy ci resztę rozumu goni.—
Skirgiełł się porwał, chciał rogiem rzucić,
Ale bezsilny padł na podłogę.
—Po co przyszedłeś? pokój mi kłócić!
Idź w swoję drogę! idź w swoję drogę!
Albo cię każę ściąć tu przed sobą!—
—Mnie ściąć? Bezsilne, rozpustne źwierzę!
Jabym ulęknąć miał się przed tobą?–
Rzekł, i z uśmiechem za brodę bierze,
Spójrzał mu w oczy, głową potrząsa.
Skirgiełł za rękę szarpie i kąsa.
—Patrzcie, o, patrzcie! Pan to tutejszy!
Oto Jagiełło dał Litwie Pana!
Biedny mój kraju! Pan twój dzisiejszy
I drewnianego nie wart bałwana.
Niechby Jagiełło widział cię, Xiążę,
W błocie i we krwi obluzganego,
I namiestnika ujrzał swojego,
Jak z podłym gminem rozpustny wiąże,
Jak wieprzem w błocie podły się tarza,
I na swych braci w szale odgraża!
Litwo! o Litwo! biednaś ty ziemia!
Na takich panów ręceś popadła!
Twoje się stare słońce zaciemia,
Piękna twarz twoja zżółkła, pobladła!—

Puścił pjanego Skirgiełły brodę.
Ten pieni z gniewu, w gniewie bełkocze:

—Na pień lennika! na pień wywiodę!
Serce mu wyjem, krew mu wytoczę!—
Witold ramiony ruszył z pogardą.
Napróżno Skirgiełł ciągnął się, wrzasnął,
Chce go pochwycić. On popchnął hardo,
I drzwi za sobą, śmiejąc, zatrzasnął.

Jedzie i duma, śpieszy do Grodna,
W Podlasie bieży, zbiera swe woje.
—Na Bogi! Litwa lepszego godna!
Skirgiełło! w ręce popadła twoje!
Niedługo będzie królować zwierzę,
Przyjdzie silniejszy, swoje zabierze.—

Mówił, lecz napaść sił miał zamało.
Walczy sam z sobą, choć wre w nim męztwo.
Rozum wątpliwe wskazał zwycięztwo;
Każe mu czekać—czekać przystało.
Skirgiełł niedługo w Litwie pobędzie,
Na Połock rusza—czas Witołdowi;
Pójdzie na Wilno, w Wilnie usiędzie,
A wówczas biada Polski Królowi!

XLII.

Rannym snem usnęły i straże i wojsko,
I Wilna mieszkańce, i zamku załoga.
Na wschodzie się brzaskiem złociło już niebo,
Wiatr dźwięki przynosił rozbite z daleka,
I liście jesienne, z drzew żółtych urwane.
Na Wilnie śpi wszystko; lecz Hanul Nakienna,
Co znowu sam został na straży stolicy,
Nie zaśpi, na wieży już siedzi wysoko,
Na drogi, na cztéry, posyła on oko:
Na drogę od Grodna, od Lidy po Piaskach,
Na drogę wzgórzystą od zamku Trockiego,
Za Wiliją na góry i na Antokole.
A wszędzie spokojnie. Z kościołka Marji
Powolnie się dzwonek na jutrznię rozlega.

Lecz cóś tam ciemnieje w Antokolskiéj drodze!
Nie bydło, bo paść go nie pędzą w tę stronę,
Nie konie załogi z noclegu spędzone,
Nie Skirgiełł — w Połocku on teraz nad Dźwiną.
A orszak ku bramóm podsuwa się, skrada.
I w duszy Hanula cóś skrycie powiada:
— To wróg się na Pańską zasadził stolicę! —

Laskami powolnie hufce się zbliżają,
Wilji brzegami piechotni czołgają,
A konni rozpierzchli w Popławskiéj dolinie,
Migną, to ukażą; któś wnijdzie i zginie.
Wnet Hanul zatrąbił i woła na straże,
Sam pędzi ku wrotóm, zamykać je każe.
Wybiera swych ludzi, sam konia dosiada,
— Za Króla Jagiełłę! — zawołał — tam zdrada! —
Zaledwie dopędził, gdzie na Antokole
Kończą się usypy, wał i zaborole,
Już postrzegł, że chwila o mieście stanowi.
Pośpiesza ze swemi, we wrotach sadowi,
Po wałach rozsypał żołnierzy wzdłuż drogi,
Sam z garstką wyjechał nielicznéj załogi.
Już u wrót, u murów przyparte drabiny,
I warty zabite, i ogień zażgniony!
Toż samo od Lidzkiéj poczęto już strony.
Sam Witold, na czele Podlasian i Żmudzi,
We śnie chciał stolicę podstępem pochwycić;
Lecz nie dał mu Hanul zwycięztwem pocieszyć.

I Witold odparty odstąpił ze swemi.
A ognie zgaszono, drabiny złamano.
I Hanul z przestrachu ochłonął ciężkiego,
Pot z czoła zrytego obciera kroplisty,
Rozstawił strażników, na zamek powraca.

Naprożno się Witold o miasto ubiega,
Fortelem, nocami pod mury podkrada!
Już stary nie zaśnie; on czuwa a czuwa;
I czy to noc czarna na niebo zapada,
Czy brzaski poranne u wschodu zaświecą,
Czy wieczór spokojny na spoczynek woła,
On nie śpi — Witolda zna zdawna, z młodości;
Wié, że się nie zrazi stokrotną przegraną.

I we dwa dni potém znów od Antokola
Na czaty spokojne Żmudź cicho podpełzła;
Lecz chociaż we wrotach straż widnych nie było,
Wnet hufiec się silny z za bramy wytoczył;
A Witold za lasy Wierszupskie uskoczył,
Na Wilno gniewliwém poglądając okiem.
Tak wołał podwakroć od niego odparty:
— Naprożno, Hanulu! Jagiełło! mój bracie!
Naprożno bronicie, daremnie czuwacie!
Na Bogi Litewskie, na imię ojcowskie,
Na matki méj głowę, na pamięć mych dziadów,
Ja Panem tu będę! i prędzéj czy poźniéj,
Ja siądę na zamku, ja grodem owładnę!

Nie waszym to rękóm na Wilnie panować!
Nie Skirgiełł rozpustny kraj wielki utrzyma!
Żegnam cię, stolico! lecz wprędce powitam,
Nawiodę tu wrogów i ludu napędzę,
I siłą, czy zdradą, czy życia ofiarą,
Choć chwilę przed śmiercią nad Litwą usiędę,
Choć chwilę przed zgonem z koroną na głowie
Od morza do morza płaszcz krwawy roztoczę,
I berło złociste nad Rusią podniosę!
Naprożno! Jagiełło! rodzie Olgerdowy!
Sprzymierzcie się wszyscy, ja wszystkich pożyję!
I Lachy za wami, Ruś będzie za wami,
I Niemcy niech będą, ja wszystkich pobiję!—

XLIII.

W komnacie ciemnéj, za stołem pokrytym
Suknem do dołu, xięgami zasłanym,
Parganinami zawalonym stosy,
Stał krzyż z hebanu, z ozdoby srébrnemi;
Na nim Zbawiciel; u nóg trupia głowa;
A obraz Boga, sześcią skrzydeł strojny [1],
Dwóma ku niebu podnosić się zdawał,
Dwóma ku ziemi spuszczał litościwy,
Dwóma okrywał święte ciało swoje;
Na stole złotych dwoje świec gorzało;
Zegar piaskowy, szemrząc, pokazywał,
Jak czas nieznacznie po ziarnku upływał.

1. Krucyfix o sześciu skrzydłach nie jest wcale wynalazku Autora; podobne ze średnich wieków exystują. (*Przypis Wydawcy.*)

Nad kartą pisma stary człowiek siedział;
Czarną miał suknię, na niéj krzyż wyszyty,
Na głowie czapkę czarną, siwą brodę,
Oczy przygasłe, policzki wychudłe;
Żylastą ręką pargamin uciskał,
Jakby myśl jaką wycisnąć chciał z niego;
Podparł się, dumał; potém rzucił kartę,
I troski z czoła scierając uparte,
Przechylił, spójrzał, wykrzyknął zdziwiony.
Naprzeciw niego, z drugiéj stołu strony,
Stał niemy człowiek, niewielkiéj postawy;
Włos ciemny czoło wysokie osłaniał;
Broda bez włosa; twarz bez wąsów, biała.
Mimo kobiécych rysów, w sobie miała
Surowość męzką, dumę nieugiętą,
Upor żelazny i wolę zawziętą;
Brwi się na czole schodząc namarszczone,
Dwóma brózdami zaorały skórę;
A usta blade i silnie ściśnione
Śmiały się niby, śmiały niewesoło,
Jakby szydziły, jakby pewne siebie,
Rozkazem, groźbą ciężką zionąć miały.

Starszy był Mistrzem Krzyżaków Zakonu,
A młódszy — Witold, co Krzyżaków zdradził.
Teraz on nazad do Mistrza powraca:
Bo był w Mazowszu, a Jagiełły krewny,
Xiążę Ziemowit odmówił pomocy,

Olgerdowicze powstali na niego,
I niéma w nikim, prócz Mistrza, nadziei.

—Wy tu!—Mistrz z zgrozą i dziwem wykrzyka.
--Jam tu, w twych rękach—Witold mu odpowie.—
Zdrajca! wszak prawda? to powiedzieć chciałeś?
Więc zdrajca w twoje znów przybywa ręce.
Słuchaj! napróżno łudzić się kłamstwami,
Wyście mi synów w Królewcu otruli.
Jam, mszcząc ich śmierci, Jagielle przebaczył.
Jagiełło Wilno Skirgielle oddaje,
Litwę na ręce plugawe powierza,
Mnie kark uginać każe przed tym źwierzem!
Ja znowu do was przychodzę z przymierzem.
Chcecie? nie chcecie? Słowo—rzecz skończona.
Kłamstwa nie cierpię. Mów mi prawdę gorzką,
A mów otwarcie. Jakem wszedł, wychodzę,
I wasze zamki popalę po drodze.—
—Xiążę!—Mistrz rzecze—wy nas dobrze znacie.
My także wrogi Jagiełły i Lachów.
Czy możem rękę, którą wyciągacie,
Odepchnąć, aby pomścić się przeszłości?
Lecz cóż zaręczy, że z Jagiełłą znowu
Wy nie złączycie? nie zerwiecie z nami?—
—Ostróżni bądźcie, miejcie mnie na oku!
Daję wam słowo i pieczęć na karcie.
Zakon wié, komu i kiedy dowierza.
Chcecie? nie chcecie mojego przymierza?

Ja potrzebuję pomocy Zakonu,
I będę waszym, waszym druhem wiernym;
A jeśli Litwy rządami owładnę,
Mistrzu! wszak wielkie nagrody weźmiecie!—
— Starą umowę odnowić więc chcecie?—
— Starą lub nową zawrę, byle z wami
Pomścić się na tym Wileńskim niedźwiedziu,
I na zlaszałym bezmózgim Jagielle,
O, i na braciach, Mazowsza Xiążętach,
Co teraz skomlą w Jagiełłowych pętach,
I że Jagiełło dał Ziemowitowi
Siostrę swą Olgę i Radomską ziemię.
Gdym do nich przyszedł o posiłek prosić,
Zimnèm wejrzeniem na wrota wskazali!—

Mistrz słucha mowy, a wzrok mu się pali.
— Zgoda — rzekł — zgoda. Zawrzemy przymierze.
Chcecie się pomścić? dopomożem szczérze.
I nam Jagiełło stoi w gardle ością,
I nam Mazowsza dojadły Xiążęta!
Skirgiełł! I Skirgiełł sroższy nad źwierzęta,
Dziki rozpustnik, pijaństwem swém wściekły!—

Witold mu rękę podaje.—Więc zgoda.
Mistrzu! każ pisać, każ wojsko gotować.
Moje mnie czeka na Żmudzkiéj granicy.
Pójdziemy mścić się, polecim plądrować!
Czasu nie traćmy, by Jagiełło z Lachy

Nie ubiegł Wilna, swemi nie obsadził,
By Skirgiełł z Rusi wojska nie sprowadził.
Pójdziem!—
—Pójdziemy. Zwołam jutro radę;
Sam na mych braci czele wyjdę w pole.—
—A teraz, Mistrzu, wyznacz zamek który,
Gdziebym bezpieczny mógł przebywać z memi.
Mnie już nie siedzieć na Litewskiéj ziemi!
Żonę, rodzinę, na zakład ci daję.—

Mistrz w oczy spójrzał.—Sam wybieraj, Xiążę!
Lecz pomnij, kto się raz z Zakonem zwiąże,
Zerwie umowę, Zakon raz przebaczy;
Za drugą zdradę zapłaci swą głową.—

XLIV.

Dwóma na Litwę drogami
Wojska się toczą niezmierne:
Jedne się w Niemnie napiły,
Drugie napiły we Dźwinie,
I w biedną Litwę skoczyły.

Kiedy po burzy z pagórków
Potok błotnisty się wali,
I wszystko niszczy po drodze,
Kłosy na polach wybija,
Drzewa po lasach roztrąca,
Mniéj zniszczy, niżli w pochodzie
Krzyżak, gdy wejdzie na Litwę.

—Ochrzczeni! myśmy ochrzczeni!
Myśmy wam bracia w Chrystusie!—
Woła lud, zgiąwszy kolana.

— My cię chrzcimy krwią i mieczem!—
Odpowiadają Krzyżacy,
I idą w Litwę głęboko,
Ranami ziemię płatają!
Ciecze krew, płomienie świecą,
Pola w garść idą popiołów,
A lud w Krzyżacką niewolę!
Reszta w lasy nago bieży,
Karmi się korą zgłodniała,
Z dzikiém żwierzęciem po borach!

Witołdu chce się pod Wilno.
—Rany ja Litwy zagoję,
Gdy ją wezmę w ręce moje.
Teraz mi dobyć stolicę,
Teraz odzyskać dzielnicę,
Ojcowskie Troki dobywać.—

Przyszli pod Trockie jezioro.
Ale u zamków na straży
Polacy stali wokoło.
Stary im Hanul dowodził.
Objęli Troki, spalili,
Zamek nietknięty pozostał.
Witold go gniewnie porzucił,
Wojsko do Wilna zawrócił.
—Łatwiejszą Wilno zdobyczą.—

I w nocy pod Wilno idą,
Pod Gedyminowe grody.

Ale strzeżone tu bramy,
Ale obsadzone wały,
I Polska wiewa chorągiew
Z zamku Turzyska górnego:
Polacy już i tu siedli;
A Mikołaj z Moskorzowa
Przysiągł nie poddać stolicy,
Póki jednego żołnierza,
Dopóki jedną choć rękę
Mieć będzie na jéj obronę.
Krzywy Gród wały obsiadły,
Kobylenie, zaborole;
Głębokie rowy Wilji
Wodami toczą dokoła.
A ile razy Krzyżacy
Potkną się na Polskie siły,
Wszędzie zepchnieni, cofają.
Mistrz brodę szarpie zajadły,
Witold włos z głowy wyrywa.
— Będziesz moje; będziesz — woła —
Choćbym miał całe me życie
Patrzeć na cię i zdobywać,
Choćbym miał ptakiem tam wlecieć,
Choćby się ziemią podkopać!

Wnet wojsko swoje sprowadza—
Wié, że Skirgiełło ma wracać.
W nocy do bramy przychodzi,

Jakby wiódł z Rusi posiłki.
Lecz próżno w wrotach domaga,
Aby go wewnątrz puścili:
Bo Mikołaj z Moskorzowa
Poznał, czy przeczuwał zdradę.
Z tylu Witolda zachodzi
I do odwrótu przymusza.
Klnąc Lachów, Witold uchodzi;
Mistrz za nim ciągnie z swą siłą;
A w drodze żyzny kraj niszczą;
Bo Witold w duszy powiada:
—Niech zna, z kim walczy Jagiełło!
Łatwiejszy będzie do zgody.—
Potém, gdy Malborga blizko,
Witold wiernego Maldrzyka
Jagielle z słowem posyła.
—Chcesz zgody?—oddaj mi Wilno;
Chcesz zgody?—zerwę z Krzyżaki.
Prędzéj czy poźniéj, w stolicy
Ja z władzą Wielko-Xiążęcą
Usiądę, bracie, usiądę!—

Poseł w Polską ziemię śpieszy.
Jagiełło wszystko przyrzeka.
—A teraz z wami, Krzyżacy!—

Nocą z Malborskiego zamku
Witold skoczył z garścią swoich,

Żonę i córkę wyprawił
Przodem, na Żmudź swą rodzinną,
Do matki Biruty starej,
Która na morskim gdzieś brzegu,
Gdy Litwa wkoło się chrzciła,
Wierna starym Bogóm swoim,
Praurymy ogień niecila.

On sam, wśrod nocy, swe siły
Zbiera, szykuje, rozgląda.
Z Malborga w mroku wychodzi.
Trzy zamki z Krzyżackich włości
Pali i łupi po drodze.
Wielki Mistrz ujrzał trzy łuny,
I odblask widział pożarny;
Ale nie wiedział, co znaczą—
Czy Polacy naszli Prussy?
Czy z Rusi wrogi wyrosły?
Szle na wszystkie strony posły.
Wszyscy śpieszą z odpowiedzią:
—Witold braci wymordował,
Zamki spalił, zdradę sknował!—
Uszóm Mistrz swoim nie wierzy;
Zbiera wojsko, w pogoń śpieszy.
Ale już Witold w Podlasiu,
Śmieje się z sztuki, raduje.
A do Jagiełły wysyła.
—Oddaj mi Wilno, mój bracie!

Oto zerwałem z Krzyżaki,
Trzy zamki mnichóm spaliłem.—

Jagiełło w Polskiej był radzie.
Dokoła z brody siwemi
Wojewodowie siedzieli.
—Co z Witoldem począć?—pytał.
Aż starszy, Spytek z Mielsztyna,
—Co począć?—rzecze.—Dwa razy
Zdradził Krzyżaków, rozjątrzył,
Trzeci raz mu nie uwierzą.
Można już zapomnieć o nim.
Dla Polski wróg to nie straszny.
Oddać mu Wilno!! Nie, Panie!
Onby od Polski się z Litwą
Oderwał. Silnego ducha,
Gdy dziś nic nie mając, straszył,
Cóż będzie, gdy weźmie Wilno?-

A słowa Spytka z Mielsztyna
Wszystkim do serca trafiły.
Jagiełło posła odprawił,
Na dalsze czasy zostawił
Resztę z Witoldem układów.
A poseł widział, że w Polsce
Źle o Witoldzie cóś myślą.
Zawiodła zgoda mniemana.

Śpieszy do Grodna posłaniec,
Śpieszy w Nadniemeński zamek,

Gdzie Witold siedzi na wieży
I czeka jego powrótu;
Śpieszy, lecz z głową spuszczoną,
Nie śmie poselstwa objawić.
Witold rozpoznał na czole
Niedobrą wróżbę przyszłości.

— Mów mi złe, a mów mi skoro!
Na złe lekarstwo jest w ręku,
Póki wyleczyć je pora. —
— O Panie! — goniec mu szepce —
W Polsce źle słychać o tobie.
Radzi, żeś zerwał z Krzyżakiem.
Ani ci Wilna dać myślą.
Boją się, byś z większą władzą
Z Polskiego nie chciał uścisku
Wyrwać się swobodny w pole. —
— Tak! więc Polacy się boją!
Zgadli! o! zgadli myśl moję!
Niech jutro wojsko się zbiera;
Niech trzechset ludzi o świcie
Śpieszy drogami różnemi
I do Wilna wejdzie skrycie;
Niech się po mieście rozproszą
I głosu mego czekają.
Ja w tropy idę za niemi.
Sprawimy w Wilnie wesele,
Wesele siostrze Ryngali!

Henryk, Mazowieckie Xiążę,
Chce Kiejstutównę poślubić.
Sprawim wesele w stolicy!
Wszakżeśmy z Jagiełłą w zgodzie.—

Rzekł, śmiechem usta wykrzywił.
Rozkazy daje, i rano
Z Grodzieńskiego zamku śpieszy,
Ku Wilnu idąc dniem, nocą.
A wojsko jego rozbite
Małemi toczy kłębkami,
Lasy przedziera, górami.
On sam na orszaku przedzie,
Trzysta wozów tylko wiedzie.
W trzechset wozach z miodem beczki;
Dziki źwierz u Białéj Wieży
Na wielkich łowach pobity;
Skrzynie z wianem i darami;
A pod skrzyńmi, pod beczkami,
Cztérechset zbrojnych Żmudzinów.

Mrok padał, wozy piaskami
Powoli w miasto ciągnęły;
A miasto spało gdzieś w dole,
I tylko okny drobnemi
W pomroce zdała świeciło.
Wóz pierwszy przybył do bramy.
—Kto?—zapytały się straże.
—Wozy z wianem i przybory

Na Kiejstutównéj wesele.
Witold nas, Pan nasz, posyła.
Z Jagiełłą Xięciem on w zgodzie.
Chce się w stolicy weselić.—

I piérwsze wozy już wchodzą,
A niecierpliwi żołnierze,
Podnosząc skóry nad głową,
Czekają Witolda znaku.
Wtém z zamku Sudzimund stary
Wypadł, ku wrotom przybiega;
Długi sznur wozów postrzega;
Pyta, ogląda się na nie.
Na jednym skóry zadrgały,
Dwie się twarze ukazały.
Wnet zbrojny ufiec obwodzi
Z krzykiem wozy Witoldowe,
I wpadają na Żmudzinów,
I odwalają opony,
Mordują w wozach ukrytych.
Krzyk się rozlega daleko,
Strach napastników owładnął,
Pomoc od bram nie przybywa,
Z zamku załoga napływa,
Niéma, jak walczyć i bronić.
Sudzimund już wymordował
Jednych, za drugiemi goni.
I Witold, klnąc, bieży drogą:

Bieżąc, do Wilna odwrócił.
-Będziesz moje! będziesz moje!
Rzekł, rękę w górę podnosząc. —
Sto razy padnę popełnięty,
Sto razy wrócę pod bramy,
Aż cię nareście pochwycę;
Aż Litwa w ręku mych cała,
Powstanie wielka i sławna;
Aż Jagiełło na swym tronie,
Mistrz zadrży w Marji grodzie,
Ruski Kniaź na Moskwie Białéj.

Raz jeszcze okiem, w noc ciemną,
Gniewném rzucił, i znikł w mrokach.

XLV.

Gdzie Witold pośpieszał? dokąd z garstką ludu,
Na siwym swym koniu, dniem i nocą goni?
Czy na Żmudź, do matki Kiejstuta poddanych,
Po nowe zasiłki, po wojsko liczniejsze?
Czy na Ruś do Kniaziów zawierać przymierze,
I z niemi na Lachy puścić się w zagony?
Czy razem z Tatarem pić wodę Dniestrową,
Białogrodzką ordę na Jagiełłę zmawiać?

Nie na Żmudź on śpieszy, nie na Ruś, do Tatar—
Znowu do Krzyżaków z chmurném jedzie czołem.
Dwa ich razy zdradził, trzy im zamki spalił,
I krwi ich utoczył, i ziemie spustoszył,

Znowu do nich jedzie, znów o pomoc wzywa.
Lecz Mistrz umarł stary; nowego wybrano.
Kto wié, jaka będzie z nowym Mistrzem sprawa?

Z małą garstką ludu do Marji miasta,
We wrota zastukał, odmieniwszy imie.
Do Mistrza z poselstwem z Litwy przyszedł głębi.
I nikt go nie poznał, na zamek wpuszczono.
Na zamkowéj sali w nocnym siedział mroku
Mistrz nowy, Komturów otoczony radą.
Jakieś xięgi patrzą, listy przed się kładą,
I cicho coś szepcą, a czoła zmarszczyli.
Wtém podwórzec tętni, trąbka się ozwała
—Do Mistrza! Nieznany chce się widzieć Xiążę.—
Wnet bracia w krużganki rozbiegli się cicho;
Mistrz sam się pozostał, usiadł w wzniosłym tronie,
Czeka. Drzwi otwarły—Witold wchodzi dumnie.
On spojrzał i porwał, i stoi milczący,
Bo poznał Witolda, a boi się zdrady,
I lęka, czy zamku nie ubiegł ze swemi?
—Cny Mistrzu!—rzekł Witold—otom u was znowu!
Z prośbą po raz trzeci, do was, do Zakonu.—
—Z prośbą? do Zakonu? Wy ze mnie szydzicie!—
—Na Boga, nie szydzę. Jagiełło mnie zdradził,
Ja zdradzam Jagiełłę, i do was znów idę.—
—Lecz Zakon ci, Panie, trzy razy wszak wiary
Dotrzymał, nie zawiódł.—
—O! Zakon dotrzymał

Obietnic, gdy dwoje w kolebce strul dzieci!—
Mistrz głowę opuścił.

—Zapomnim przeszłości.
Jam u was!—pomożcie! Zapłacę Krzyżakom
I sławą, i ziemią, i wojną z Lachami,
Zapłacę sowicie, co dla mnie zrobicie.—

Mistrz czoło pociera, Komturów zwołuje.
Już wieść się rozeszła,—że Witold na zamku,
Więc śpieszą i wkoło siadają naradzać.
Długo w noc się sporzą i ostro ścierają.
A Witold uśmiécha. On pewny, że znowu
Odepchnąć go nie śmią. I nim dzień zaświtał,
Na karcie przymierza ciśniono pieczęcie.

—Teraz—rzekł do Mistrza—nie tak nam wojować.
Ja pójdę do swoich, od chaty do chaty,
Od sioła do sioła; a kto łuk naciągnie,
Kto procą wyrzuci, kto pałkę podniesie,
Ja wszystkich zabiorę; ja spędzę wam tłumy
Ze Żmudzi, z Podlasia, od Rusi, ze stepu,
Gdzie konie Tatarskie w morzu się kąpają;
Ja pójdę i płacić, i prosić, i silić,
Ja zbiorę wam wojsko, jak chmurę szarańczy,
By Litwę zalało, zniszczyło, zajadło,
Jak pomor, jak pożar na kark jéj upadło.
Wy, Mistrzu, pójdziecie po Niemcach, po braciach,
W zamorskie krainy, w daleki kraj waszy,

I w imie swéj wiary zwołacie do boju
I Panów, i Xiążąt, szlachtę, gmin i miasta.
Niech wojsko potężne, olbrzymie wyrasta.
Nie czas nam garstkami walczyć już malemi.
Nam Litwę zajechać, i jednym obozem
Od morza do morza położyć széroko.
Ja idę do swoich; do swoich wy szlijcie,
I proście, i płaćcie; zwołajcie Krzyżowych.
A teraz milczenie! Siły swe gotujmy,
I w próżnéj się walce nie możmy przed czasem.—

Tak mówił. Z iskrzącém Mistrz słuchał go okiem;
Szedł myślą zniszczenia za wojska potokiem,
I widział Jagiełłę, jak konał w objęciu
Nawały Krzyżackiéj, jak ziemia széroko
Płonęła, gorzała i krwią się zlewała.
Aż twarz mu kraśniała i pierś mu buchała.
Za rękę Witolda pochwycił i trzyma.
—Czas drogi—rzekł Witold—do Grodna pośpieszam.
Jagiełło w Podlasiu już zamki mi bierze.
Nim Grodna dosięże i mnie tam zastanie,
Zbierajcie swe wojsko, zbierajcie, na Boga!
Ja gońców rozeszlę na dziewięć pokoleń—
Co żyje powstanie, co żyje zgromadzę!—

Nazajutrz o świcie znów Witold się pędzi.
Nie zasnął, nie spoczął. Gdzie sen mu? spoczynek?
Jagiełło dni dziesięć pod Brześciem już stoi.
Choć mrozy mu wojsko, choć głód go pożywa,

On krokiem od Bugu nie poszedł, aż w grodzie
Załogę osadził, i Hinczę z Rogowa
W dziedzinie Kiejstuta na straży postawił.
Ciągnie na Kamieniec, łatwo go zdobywa,
Bo miejsce to płaskie i rzeka oblewa
Niewielka, ni strome broniły urwiska.
Choć dziewięć swych tylko do szturmu wiódł secin,
Na wieży zameczyska już orzeł powiewa,
A Zyndram Miaskowski w Kamieńcu dowodzi.
Już ciągnie do Grodna. A Witold pośpiesza
Na odsiecz zamkowi. I nie zbiegł na porę.
Jagiełło po lodach przez Niemen przeprawił,
Dokoła zameczyska swój obóz rozstawił,
A szturmem nie mogąc, chce dobyć go głodem,
I czeka posiłków od braci, od Rusi.
Skirgiełło zwołany, Włodzimierz Kijowski,
Korybut z Siewierza, pod Grodno przyciągną.

Stał Witold naprzeciw za rzeką i lody;
Chce przebyć, do zamku dostać się swojego,
Lecz Niemen szeroko rozpuścił swe wody,
Kry chwycił, rozerwał, Jagiełłę odgrodził.
A Witold z przeciwnéj góry się szańcuje,
I patrzy, jak biją do murów tarany,
Jak jego pomocy załoga wyzywa,
Klnie Polskę z Jagiełłą, rwie włosy na głowie,
I gońca za gońcem posyła co nocy:
— Nie poddać mu zamku, choć wszystkim wyginąć! —

Jagiełło chciał odejść, lecz Polscy wodzowie,
Wciąż mówią:—Dobędziem!—i wciąż go trzymają.
Już w Polskim obozie głód ciężki blademi
Rozpiął się skrzydłami; i żołnierz wymiera,
Chleb z ością i kłosem przegniłym pożera;
Dla koni daleko szukają posiłku,
I strzechy odarte zgłodniałym rzucają;
Mrą ludzie w obozie! Jagiełło chce wracać,
Polacy nie dają, i mówią:—Zdobędziem!—

A Witold? On patrzy, na oczach mu żarem
Pali się chęć zemsty. Nie przebrnąć za Niemen,
Ni dostać na zamek. Codziennie załoga
Posyła, wołając:—Ratuj nas! giniemy!—
On patrzy i duma; co począć, sam nie wie;
Klnie cały świat Boży w rospaczy i gniewie.
Nakoniec pomyślał—przez rzekę łańcuchem
Zarzucił i łodzie do ogniw posplatał,
Wojsko swe przez Niemen do zamku przeprawia.
Wtém z góry puścili Polacy bierwiona,
I kłody ogromne, i sosny z gałęźmi,
A Niemen je niesie na łodzie Witolda,
A Niemen o łodzie drzewami uderza,
I toną w Niemnowych wód głębi Litwini,
Łańcuch się rozdziera, czółna pęd porywa,
A z mnogiéj wyprawy, na stronę przeciwną,
Na obóz Jagiełły jeden człek przybywa.

Napróżno, gdy płynął do wroga ku brzegu,
Witold nań zawołał, by raczéj utonął,
Niż sam szedł w niewolę; naprózno strzałami
Na zdrajcę puszczali, bo zdrajca wypłynął,
I wszystko powiedział, co Witold zamyślał.
Polacy do zamku nanowo szturmują,
Już mury się walą, rowy napełniają,
I wieże rozbite padają na głowy,
Polaków i Litwę gruchocząc pod sobą!

Wyłomem Jagiełły cisną się żołnierze.
I nie chce już Witold bezsilny poglądać
Na swoję sromotę.—Obozy—rzekł—związać.—
Siadł na koń, milczący ku Prussóm pogonił.

XLVI.

Nigdy, jak Litwa pamięcią zasięże,
Straszniejsza na nią powódź nie spłynęła!
Ani Tatarska tak straszną nawała,
Ni Lackie wojny w Olgerdowéj ziemi!
Od czasów, kiedy wzdęte rzek powodzie
Zlały jezioro u Białego morza;
Kiedy się ziemia pod Perkuna dłonią
Trzęsła, i w góry, w doliny skrajała,
Wodami cała spłynąwszy wysoko;
Od czasu, kiedy z wschodniéj przyszłe ziemi
Olbrzymów plemie w bursztynowych brzegach
Usiadło — wojsk się nie zebrało tyle
Na Litwę biedną! Zda się, kopytami
Ziemię rozdepcą, z rzek wodę wypiją,
Jedną mogiłą cały kraj pokryją.

Powstał Mistrz. Wielkim głosem ku zachodu
Zawołał braci. Z daleka, z za morza,
Kędy się słońce kąpie w oceanie,
Idą rycerze na Mistrza wołanie:
Z Angielskiéj ziemi, z Francuzkiego kraju,
Z Niemieckich lasów liczne ufce płyną,
A każdym ufcem dzielny mąż dowodzi;
Idą łucznicy z dalekiéj gdzieś ziemi,
Włoką się działa z paszczami strasznemi;
Chorągwie dziwne nad wojskiem szeleszczą.
Obcych języki piérwszy raz o lasy
Litwy odbite, nigdy niesłychane,
Pieśnią rycerską powietrze wzruszają.
Konie rycerzy olbrzymiego rodu,
Postawy silne, a każdy na sobie
Dźwiga żelazną świecącą zbroicę,
W żelaznym szłyku blade czoło kryje,
W żelazne *Wiżos* nogi obuł silne,
I łuk na plecach dźwiga, co go w Litwie
Ni podnieść człeku, ni wypuścić strzały.
Łupem jednego obcych wojsk żołnierza
Dziesięciu Litwy mężówbyś uzbroił.

A wszystkich Witold na Litwę sprowadził!
Na Litwę swoję! On rzekł w duszy hardéj:
—Musi być moją! ja będę panować
Choćby nad pustą Litewską mogiłą!
Choćby nad puszczą z dzikiemi źwierzęty!—

On rzekł i zwołał ufce wojowników;
A jak się chmura czarna w troje dzieli,
Kiedy ją wiater rozporze na szmaty,
Tak wielkie wojsko rozbiło na troje,
I idzie, Litwie śmierć niosąc i klęski!

Na polach Kowna pierwsi się gromadzą,
Złączyli wszyscy i ciągną pod Troki.
Zamek nie ustał; działa go podarły;
Upadły wieże, bramy się rozwarły.
Weszli zwycięzcy na zwaliska grodu.
Miasto spłonęło, lud poszedł w niewolę,
Trupy pływają po mętném jeziorze.
Pusto i głucho! tylko rybitw biały
Skrzydełka kąpie, muska jego wody;
Tylko się krucy na ruinach chmurą
Zwalili, szarpać kościotrupy krwawe.
A Witold westchnął, patrząc na zniszczenie,
I wskazał ręką — ku Wilnu pójdziemy!—

Idą pod Wilno. Na Szyszkińskiém polu
Skirgiełł im z garścią Rusi zaparł drogę,
Z nim Światosławicz Hleb i syn Jawnuta
Siemion Zasławski, Kniaź Hleb Czartoryski,
I Iwan Lwowicz, i Ruskie Bojary.

Sparły się wojska u stóp gór w dolinie;
A Niemcy, w prawą rozciągnąwszy stronę,

Objęli swoim żelaznym uściskiem
Ruś, co bezsilna z rospaczą walczyła.
I wzejdą krzyki, i zaświecą strzały.
Jak tur się dziki rzucił między wrogów
Witold, i miecza dobywszy jasnego,
Szuka Skirgiełły, bo pragnie krwi jego.
Po za nim Niemcy gonią Ruś wylękłą,
I aż pod Werki wybiegli za niemi.
Ziemia się trzęsie zryta kopytami,
Zielona trawa sczerniała, kraśnieje,
Krew, czérwonemi płynąc strumieniami,
Z pagórków szumiąc, w doliny się leje.

Lipcowe słońce nad głowy rycerzy
Sieje promieńmi z płomieni zbitemi;
A czarne chmury, z wiatry gorącemi
W twarz Rusi idąc, piaskiem w oczy sypią,
Jakby się także z Witoldem zmówiły.
Już Ruskie wojska rozbite napoły,
Część leży w dole, nieforemna bryła,
Którą niemieckie roztłoczyły konie,
Ludzi, rumaki, w jedno ciało zbiły.
Druga część próżno ku Werkom ubiegła,
Jazda Krzyżacka ściga ją w pogoni.
A droga, kędy przeszli wojownicy,
Trupami, końmi, członkami znaczona,
Kędyś w zaroślach garścią mięsa kończy.
Trzecia część, któréj Skirgiełło dowodzi,

Już tył podała, i śpiesznie uchodzi
Na stare Wilno. Witold z mieczem w dłoni,
Krwią zlany cały, ślad w ślad za nim goni.
Ciężkie Niemieckie ufce się zostały,
Z Witoldem tylko jeden poczet mały.
Lecz gdzie strach pędzi, dosyć garści ludzi.
Noc pada, xiężyc na niebie się wznosi,
Skirgiełł uchodzi, Witold w plecach jego
Krwawi miecz wielki, obcina, zabiera;
Aż na przedmieścia Wileńskiego grodu,
Bramy minąwszy, za Skirgiełłem wpada.
Tu żołnierz mordów i klęski niesyty,
Ogień pod domy rozrzuca széroko;
Wiater się z burzą zrywając i gromy,
Pędzi płomieniem na przedmieścia chatki!
I fala ognia, jak rzeka wylana,
Płynie po dachach, lud z domostw wygania,
Szérzy się, idzie, roznosi, rozlewa.
Wszystko, co żyje, w Krzywy Gród ucieka.
Co pozostało, napastnik rozsieka.

A burza, warcząc nad Witolda głową,
Piorunem z niebios i gradem pomaga,
Płomień rozdyma i przejmuje strachem!
Już jakby jedno płomienne jezioro,
Domostwa Piasków krwawym ogniem gorą!
Witold się patrzy, i ludzi rozgania
Pomagać burzy i zniszczenie szérzyć!

Chciał za Skirgiełłą do zamku uderzyć,
Lecz świéży z Grodu Krzywego posiłek
Stanął mu wpoprzek.—Więc na jutro reszta—
Rzekł, i na Piaskach, w zniszczonym klasztorze,
Obóz rozbija i na swoich czeka.

Nazajutrz rano wojsko się przywleka.
Przybyli Niemcy, obciążeni łupem,
Wioząc starszyznę, między bitwy trupem
Na polu walki poległą bez sławy.
Hleb Światosławicz, Siemion syn Jawnuta,
Zasławski Xiążę, i Hleb Czartoryski,
I Iwan Lwowicz, życie utracili.
Cieszą się Niemcy z wygranego boju.
Dobra to wróżba! Wnet zamek obsiedli
Dokoła, wojska i działa obwiedli;
Z spalonych przedmieść deski osmalone
Zwlóczą, i budy dla starszych gotują;
Inni szałasy z gałęzi zielonych
Stawią; a patrząc na zamkowe mury,
Śmieją się, myśląc, że jutro tam będą
Gościć wesoło na krwawych komnatach.
Lecz łatwiéj było Skirgiełłę słabego
Pożyć na polu, niż Gedyminowe
Dostać zameczysko: bo Polska w nim siła
I Ruskie wojsko zbiło ocalone.
Na górnym zamku Moskorzowski wiedzie
Polską załogę; na dolnym Korygiełł

Dowodzi Rusią i garstką Litewską.
Tu lud się z miasta wylękły zgromadził,
Z skarby swojemi i ubogiém mieniem;
Co żyło w Wilnie, pod mury uciekło,
Drżące ze zgliszczów za wały przywlekło;
I padli męże, starcowie, niewiasty,
Z łzawemi oczy patrząc na pogorzel,
Tuląc ku sobie, wyglądając chwili,
W którejby w własnéj obronie walczyli.

Cicho na zamkach. Na górnym powiewa
Polska chorągiew; na niéj krzyż czérwony,
Wielki, widoczny, bije mnichów w oczy,
Aby wiedzieli, że nie na pogany
Wyszli- chrześciańską krew ta wojna toczy.
Piérwszych dni działa burzące przywiedli
Niemcy, stawili, zamek okrążają,
Liczą wyżyny, wpatrują w parowy,
Tarany stawią i drabiny wiążą;
Potém stanęli, i ognistym mieczem
Opaszą zamki, ścisną je żelazem.
Próżno! załoga broni się, jak wściekła;
Na Krzywym Grodzie ojcowie i dzieci,
Każdy z swém mieniem, skarby najdroższemi,
Chce ważyć życie, by drugim ocalić;
I ile razy z bram wyrwą Wileńce,
Tylekroć Niemców tłoczą pod nogami,

Sieką i biją, aż rzezią bezsilni,
Nazad do zamku powrócą oddychać.

A w nocy ani zasnąć, ni odpocząć!
To ogień rzucą, to najdą od boku,
To porwą jeńców. I niéma spokoju!
Wojna straszliwa, bo wojna bez boju,
A w ciągłéj trwodze, ni wygrać nadziei.

Mistrz marszczy czoło, Graf Algard się gniewa.
—Dopókiż będziem stać pod tym szałasem?
Patrzeć, jak dzieci, na tę garść poganów?
Nam trzeba działać, całą rzucić siłą.—
—Czekajcie—Witold w ucho Mistrzu szepce—
Jutro wy wszystkich sposobcie do boju.
Na Krzywym Grodzie z dwóch stron pożar rzucą.
Płomień ich wewnątrz, my zewnątrz napadniem,
Obu zamkami i Wilnem owładniem.—

I kilku swoich wysłał potajemnie.
Niemcy tymczasem siedzą pod namioty,
Spijają miody i kości rzucają,
To z psy na łowy w lasy się puszczają.
Aż nadszedł wieczor. Niebo jasne było,
Xiężyc nie świecił, tylko piaskiem złotym
Gwiazdy na niebie błyszczą rozsypane.

Cicho w obozach. Wtém nagle zaświszczą
Z dwu stron płomienie nad parkan wybuchłe;

Krzyki za niemi. Wojsko już gotowe
W Krzywy Gród pędzi i bramy wywala.
Srogiemi jęki wrzeszczy lud zamknięty.
Napróżno wodze w dziedzińce go pędzą,
Stawią w szeregi — każdy matkę, żonę,
Dziecię porywa, ze skarbem ucieka.
Wybito bramy; lecz tłum, pędząc ślepy,
Na mur żelazny Krzyżowców napada;
Cofa się; ztamtąd płomienie go pieką,
Tu miecz go siecze i o ziemię wali,
Konie tratują, mordują łucznicy.
Wodze i ludzie głowy postradali.
Ani ratować, ni bić się i bronić!
Xiążę Korygiełł z Narymundem Pińskim
Garść ludu wkoło siebie zgromadzili,
Ścisnęli szyki, do bramy skoczyli;
Lecz ciężka walka — Niemiec murem stoi,
I prze ich w ogień. Z rospaczą nań lecą,
Biją o zbroje — napróżno; już zbroje
Pieką, jak ogień, szaty na nich palą,
Pękają łuki i pałki się kruszą,
Na głowach włosy płoną, całe ciała
Niebieski płomień syczący przebiega,
A Niemiec prze ich, ścielę pod nogami,
Tnie mieczem, płata, i uciec nie daje!

Wrzask pod niebiosa wzniósł się przeraźliwy;
Brzęk mieczy, ognia trzaskanie i syki,

Hymnem zniszczenia śpiewają ogromnym;
Góra się Turza jasnością oblała,
I Łyse wkoło stoją w ogniu góry;
A niebo czarne, na niebie obłoki
Żeglują krwawe, że w pożarnym blasku
Gwiazdy pogasły. Na wysokiéj wieży
Stoi Swidrygiełł, Moskorzowski stoi,
Xiążę pijane śmieje się szalono,
A stary Polak klęczy z złożonemi
Rękoma na krzyż, modli się gorąco,
I łzy mu płyną po zwiędłych policzkach.

Nareście pożar przygasać zaczyna,
Dym tylko gęsty ku niebu się wznosi,
Głównie goreją w stos wielki zwalone,
Trzaskają mury w ogniu rozżarzone,
I jęki słychać i Niemieckie krzyki,
Dokoła grodu, jakby wał széroki,
Ciała zabitych leżą usypane.
Niemcy je szarpią, jako krucy czarni;
Zasiedli w zgliszczach nad ogniem gasnącym;
A śmiech ich dziki do zamku górnego
Doszedł, aż zadrżał Moskorzowski stary.

Na czarnym koniu, z rozczochranym włosem,
Nagiemi ręki, krwią spiekłą zlanemi,
Pędzi ku murom Turzego zamczyska
Jeździec od Niemców, a na długiéj włóczni

Chwieje, potrząsa bladą trupa głową,
Po niéj włos złoty spływa rozpuszczony,
Oczy otwarte, usta wykrzywione.
— To Korygiełło! — czarny jeździec woła. —
Patrzaj, Skirgiełło! brata twego głowa!
Patrz, stary Lachu! Tak poniesiem wasze! —
Aż Moskorzowski ukrył twarz rękoma,
A Skirgiełł, pieniąc, na ziemię się rzucił.

Straszny był ranek, gdy pobojowisko,
Trupem okryte, popiołem i gruzem,
Brzask oblał ranny, i z górnego grodu
Upadły oczy oblężonych na nie.
Na górnym grodzie zgiełk i niepokoje;
Niewielka siła Polaków została;
Skirgiełł dwór tylko Ruski ma przy sobie.
Dwóch wodzów było. Na górze wyniosłéj
Zamek niewielki. Siły wycieńczone.
Wilno spłonęło, spłonął zamek dolny.
Znikąd odsieczy wyglądać, pomocy.
A wróg opasał, i szydząc, spoziera
Na gród, jak chłopcy na gniazdo ptaszęce,
Które, gdy zechcą, wezmą w swoje ręce.
I niechęć jeszcze dwóch wodzów niezgodnych
Przyszła ostatek odebrać nadziei.
Bo Moskorzowski, przez Jagiełłę dany,
Nie chciał Skirgiełły pijanych rozkazów
Słuchać. Skirgiełło próżno kark mu zginał,

Szalony, zamek przebiegał z drużyną,
Sam na nim Panem. Ilekroć z dowódzcą
Zejdą się, kłótnia straszliwa wybucha.
Kniaź rozkazuje, a starzec nie słucha.
— Jam tutaj Panem, nieposłuszny sługo!
Lub idź, lub moje wypełniaj rozkazy.—
Stary stał niemy.—Jagiełło mnie wsadził,
On moim Panem. Zostanę, obronię,
Ani ztąd pójdę, póki on ode mnie
Nie weźmie władzy.—Dzień i noc się oba
Waśnią, a Niemiec do zamku szturmuje;

Działa na zgliszczach w długi rząd postawił,
Dzień i noc kule rzuca zapalone.
Mury się walą! Moskorzowski stoi,
Ludzi zachęca, wyłomy zapycha,
Ziemią nanosi, wory wełnianemi,
Gruzem i gliną; a gdy Niemcy zbliżą,
To belki dachów ciska i kamienie,
Wrzątek im leje i smołę na głowy,
Jak psów ich pędzi od bramy zamkowéj;
Czy z tyłu idą, czy z przodu, czy wkoło
Opaszą zewsząd — starzec się podwaja:
Wszędzie go widać, jak po blankach leci,
I piersią zbrojną wyłomy zasłania.

Witold się wścieka, Niemiec zęby zgrzyta.
— Cóż to? zaklęta twierdza, niedobyta?

To gniazdo wróble na góry wierzchołku!—
I coraz silniéj szturmują—napróżno.
Na zgliszczach miesiąc, dwa, jątrząc się, leżą,
Aż tęskną obcym wojna być poczyna.
Próżno ich Witold prosi i zaklina.
Codzień z nowemi hufcami odchodzą.
Mistrz Witoldowi rzekł:—Napróżno dłużéj
Stać tu. Wrócimy. Teraz w kraj pożeniem,
Bo trzeba gości łupem przyjąć hojnym,
Krwią i pożarem nakarmić do syta.—

Obóz się ruszył. Witold się obraca
Ku zamku, nie chce żegnać bez nadziei;
Okiem mu tylko rzucił—Do widzenia!—

XLVII.

Zaledwie spoczęło wojsko Witoldowe,
Krzyżacy po zamkach znojny pot otarli,
I zbroje zrąbane nanowo przekuli,
I łuki nagięli, strzały zaostrzyli,
A wiosna się w gajach ozwała wesoła.
—Pod Wilno! pod Wilno!—znów Witold zakrzyczał.—
Pod Wilno! na Litwę! Mnie nie spać spokojnie,
Aż Litwę odbiorę, aż wezmę stolicę.
O! chodźmy znów, Mistrzu! Patrz w okno— jaskółki
Latają pod okny, bociany klekoczą,
I orzeł pociągnął gdzieś w chmury wysoko.
Już wiosna— biegnijmy! już pora do boju!—

Znów wojsko Krzyżackie od zamków się zbiera,
I bracia powstali z legowisk zimowych.

Przywdzieli szyszaki i miecze przypięli,
Świętą pieśń zanócą, na konie wsiadają,
Z Witoldem na czele do Litwy ruszają.

Lecz nie tak im raźnie, bo liczba ich mniejsza.
Krzyżowcy za morza do domów wrócili.
Jagiełło tymczasem do Wilna poskoczył,
Gród wyższy umocnił, gród niższy otoczył
Nowemi osady, płotami, wałami,
I bramy nasrożył, i działa rozstawił,
Skirgiełłę na Kijew zarządzać odprawił,
A Jaszka nad Wilnem dowódźcą posadził.
Jaszko z Oleśnicy, mąż młody i dzielny,
Sam jeden na zamku; i począł się pilnie
Zakrzątać obroną. Dzień i noc zasiłki
Zawożą, załogę wzmacniają, a zamki
Nanowo z popiołów i zgliszcza powstały.
Już czeka Krzyżaków, i pewien sam siebie,
Wygląda na wieży, rychło się nagonią?

Ot szlakiem się cisną, ot obóz już kładą.
Lecz wprzódy się Jaszko uwinął, i miasto
W perzynę obrócił, by nie miał wróg dachu,
Od burzy osłony; lud wygnał na lasy;
Sam w zamkach szydersko śmieje się, patrząjąc,
Jak Krzyżak Krzywy Gród otoczył obozem,
Przy Marij na Piaskach kościołku położył.

Noc padła.—Niedługo mnichom tu popasać!—
Rzekł Jaszko, i swoich przebudza, szykuje;

W piérwszym śnie otworzył zamczysko, napada
Na obóz Witoldow. Zaledwie stróżowie
Znak dali pobudki, i ciężkich swych zbroi
Krzyżacy nie zwlekli, nie dosiedli koni,
Już Jaszko na karku; uciera się z niemi.
Noc całą walczyli. Nad świtem, gdy mnichy
Na konie się zwiedli i w zbroje ubrali,
On obóz rozbiwszy, do zamku ucieka.

Mistrz smutno, o brzasku, na pole pogląda,
Trupy swe policzył, popatrzał na mury.
—Ciągnijmy—rzekł—dalej. Na Wilno nie przyszła
Godzina. Dobędziem go później, Witoldzie!—
Napróżno go Witold zaklina, namawia,
Korzyści, widoki i sławę przedstawia.
On milczy, a wojsku ściągać się rozkazał.
Juz obóz w milczeniu zwija się, Krzyżacy
Na konie usiedli, a Witold za niemi
Odciąga, klnąc Mistrza, i oczy odwrócił.
—Raz jeszcze napróżno! raz może ostatni!
Lecz znowu powrócę, powrócę, zdobędę!—

Odchodzą; lecz idą po Litwie płomieniem;
Nad Wilją Gród Nowy rozryli; nad Świętą
Zwrócą się, Wilkomierz obegnać i palić;
A sioła po drodze, gdzie puste, zażegną,
Gdzie lud jest, to w pęta, i gnają na Prussy.
Aż przyszli nad Niemen. Nad Niemnem Mistrz każe
Trzy zamki u brzegów swym ludzióm budować.

Trzy staną od granic Zakonników straże,
By dawać znak mnichóm, gdzie wojnę gotować,
By ciągle na oku mieć Litwę, i szpony
Zapuszczać w nią głębiéj, i drzeć jéj wątrobę,
Co wiecznie odrasta, by zawsze ją zżerał.
Metemburg Witoldu Mistrz w darze oddaje.
Dla niego, dla niego danina to licha!
On całéj chce Litwy, nie zamku jednego.

Odeszli; a Wigand na nowe grodziska,
Wysłany przez Jaszka, z Lachami naciska;
Trwogą je obegnał, lecz z niczém powrócił;
A w drodze zachorzał, i trupem z wyprawy
Na Świętą dolinę odpocząć przyjechał.
Dano znać Witoldu, że Wigand nie żyje,
Brat luby Jagiełły. On szepnął:—Czas zgody.
Skirgiełło w Kijewie, ja siędę na Wilnie.
Dość przecie paliłem, dość krwi już wylałem.
Czas za krew, pożogę, sięgnąć po zapłatę.—

XLVIII.

Xiężna Zofja Witoldowa
Kwitnie, jak róża w ogrodzie,
Jak nad Wilją lilje kwitną.
Niéma równéj jéj w urodzie.
Złote kosy do nóg płyną,
Niebieskiemi błyska oczy,
Białe liczko zrumienione,
Usta uśmiechem rozwarte,
Ząbki jak kwiateczki białe,
A na czole ojca duma,
A w wejrzeniu dobroć matki.

Sława o niéj zapłynęła
Na Moskiewski gród Wasila.

I Dymitrowicz wysyła
Do Witolda posły swoje,
Posły swoje, swaty, dary.
—Daj mi Zofję—ja ci bratem,
Ja ci będę sprzymierzeńcem.—

Xiążę Witold głową wzrusza,
Długo myśli, długo duma;
Aż rzekł posłóm:—Dobrze, zgoda.
Niechaj Wasil przyśle posły.
Dam mu Zofją, i przymierze
Zawrzem z sobą na wiek wieków.—

Wstrząsł Jagiełło się na tronie;
Polskim panóm pobielały.
Z strachu lica; siwe brody
Wzięli w ręce i dumali;
Powiedzieli Jagiełłowi:
—Zwołaj, Panie, brata twego,
Daj Witołdu Wilno, Litwę.
Niechaj Polsce hołd przysięże,
Niechaj wiernie trzyma z nami.
Zły na wroga, dobrym druhem,
Dobrym sprzymierzeńcem będzie.—

I Jagiełło śle Henryka.
Henryk, Mazowiecki Xiążę,
Witołdowi dawno znany—

Kiejstutową córkę młodą,
Piękną Ryngalę zaswatał.
I wesele zgotowano,
Zebrał Witold dla niéj wiano:
Ale Henryk w dom powrócił,
Bracia Henryka obsiedli,
Narzucili suknię mniszą,
Serce chłodem obrzucili —
Henryk zabył narzeczonéj.
Teraz ku niéj Jagiełłowe
Znowu poselstwo go wiedzie.

Na Malborski gród przybywa.
Tam wesele—Zofja młoda
Z włosem siedzi rozplecionym
Między dziewczęty kraśnemi,
Jak w trawie fijołek wonny.
Matka płacze, kryje oczy,
Ojciec usiadł na uboczy,
I podparty silną dłonią
Marzy o czémś, ani słucha
Jęku córki, dziewic śpiewu.

Ryngala siostra ponuro
Na wianek patrzy ruciany,
Duma w ciemnym kraju sali.

Wkoło światła jasno gorą,
Chodzą Krzyżowi Rycerze.

Ruskie szepcą cóś Bojary.
Wtém drzwi narozcież otwarty,
I wszedł Henryk w sukni mniszej.

Nikt nie witał, nikt nie poznał.
On do Witolda podchodzi.
Dumném okiem Kniaż go zmierzył,
Nie dał ręki, wzgardą wita.
—Cóż na zamek nasz was wiedzie?
Czyli pamięć umów dawnych,
Które dawno potargałeś?—

—Cicho, Xiążę!— Henryk rzecze—
Nie tu miejsce, nie w biesiadzie,
O ważniejszych mówić sprawach.
Jestem na Zofij weselu.
Gdy zechcecie wiedzieć więcéj,
Wszak wielki zamek xiążęcy—
Inne miejsce na rozmowę
Znajdziem. Jam poseł Jagiełły.—

Na te słowa tajemnicze
Lica Witołda się palą;
Wstał, radość mu z oczów błyska,
Chodzi, obrzędy przyśpiesza,
Sam córkę sadza za stołem,
Sam przewodniczy biesiadzie.
A Mistrz, widząc go wesołym,

Na karb zamężcia to kładzie.
I Anna, postrzegłszy, zcicha
Jego się szczęściem uśmiecha
I Zofij oczy za łzami
Błysły tęsknemi uśmiechy,
Jakby matce dla pociechy,
Jakby ojcu na zapłatę,
Że szczęście, radość jéj wróży.

Jedna Ryngala nieśmiało,
Smutno siedzi w końcu stoła;
Rzuci okiem na Henryka,
Wzrok odwraca i unika,
By nie spotkać się z wejrzeniem.
On ją postrzegł—w jego sercu
Stary pożar się rozpalił,
Sukni swéj zapomniał mniszéj,
Porwał puhar, patrzy na nią,
Myśl gdzieś pędzi w młode kraje,
Znowu swaty jéj przysyła.
Lecz Ryngala spuszcza oko,
Łza na ręce z powiek spada.
—Można wiarołomnym wierzyć?—

Ale uczcie koniec szumnéj.
Witold żegna swoich gości,
Zofję w czoło pocałował,
Oddał matce. Matka z łzami

Do swych piersi przytuliła.
A! ostatni raz to może
Na dziewicze wiedzie łoże,
I uśpi ją snem dziecinnym,
Snem młodości, snem niewinnym,
Za którym jasne marzenia
Stoją ze skrzydły złotemi,
W których świat w niebo się zmienia,
W których słodziéj, niż na ziemi!

Henryk jeszcze stoi w sali,
Witold za ręce go chwyta.
—Chodź, mój gościu!—szepce cicho—
Chodź! chodź za mną! Ja chcę wiedzieć,
Z czém Jagiełło cię przysyła.—

Weszli w Witolda komnatę.
Nagie ściany, twarde łoże,
Skóra niedźwiedzia na ziemi,
Na ścianie na krzyż dwa miecze,
W środku ognisko niezgasłe,
Znicz—Litewskim obyczajem,
Żadnych bogactw, ni wygody,
Gliniany kubek do wody,
Trąbka miedzią okowana,
A dokoła biała ściana
Dymem ognia okopcona.

Witold drzwi opatrzył, ściany,
Obszedł dokoła komnaty,
W okno wyjrzał, i na czaty
Sługę u sieni postawił.
—Mów!—zawołał—co mi niesiesz?—
—Xiążę! jestem posłem zgody.
Dość już wojny, dość zniszczenia
Jagiełło daje ci Wilno
I Wielko-Xiążęcą władzę.
Zerwiesz na zawsze z Zakonem,
Na wieczność Polsce przysiężesz—
Litwa twoja. Ty jéj chciałeś,
Dla niéj krew swoję i cudzą
Strumieniem szérokim lałeś.
Mów, czy poselstwo przyjmujesz?—

Witoldowi głos drży w piersi.
—Xiążę!—rzecze—raz już drugi
Jagiełło takie śle posły.
Raz zerwałem już z Zakonem,
On obietnic nie dotrzymał.
Może znowu mnie uwodzi?—
—Słowo jego—słowo moje.
Idź i zabierz. Wilno twoje.
Oleśnicki ma rozkazy.
Dosyć ci zapukać w wrota.—
—Słowo! słowo!—zadumany
Witold wtórzył.—Marne słowo,

Kiedy słowa wiatr rozwiewa.-
—A więc karta?—Henryk rzecze-
Oto Polskie są pieczęcie.—
—Karta! karta!—Witold znowu—
Kartóm głupcy tylko wierzą
Trzy-m pieczęcią moją cisnął
Dla Zakonu, trzy zerwałem,
Gdym chciał zerwać, myślał zdradzić.—
—Czegoż więcéj możesz żądać?—
—Władzy! Litwy! Wilna mego!—
—A więc śpiesz, i idź po niego.—
—Dobrze—cicho Witold rzecze.—
Słowo biorę, biorę kartę.
Lecz na Bogi nasze stare,
I na nową klnę się wiarę,
Jeśli Król zawiedzie słowo,
Ja wskróś Polskę przejdę całą
I powrócę z jego głową,
Choćby mnie kosztować miało
Własną moję!—Pięścią cisnął,
Zęby zgrzytnął, okiem błysnął.

...

Siadł, i rękę Henrykowi
Podał. Długo w noc się czarną,
U ogniska, ich rozmowa
Ciągnie, zrywa, rozpoczyna,
I rozżarza i ucina.

Po północy kury piały,
Kiedy Henryk do komnaty
Wszedł i rzucił na posłanie.
Lecz sen powiek mu nie klei,
Bo wciąż przed nim, w wianku ruty,
Snuje się obraz Ryngali;
Zda się, słyszy głos jéj smutny,
I serce żywiéj mu bije.
—Mieć ją mogłem, mieć nie chciałem!—

W marach, mękach, sen żelazny
Ujął go w objęcia swoje.
A wciąż mary mu się snują
W weselnych rucianych wiankach,
Pieśni smutne w uszy biją;
Widzi siebie u ołtarzy,
Od ołtarza gdzieś wysoko
Idzie, idzie w trumnę czarną.
Z lewéj strony pieśń żałoby,
Z prawéj pieśń nócą weselną.
Słońce w okna zaświeciło,
Gdy się widzenie skończyło.

W podwórcu już pełno koni,
Wozy wiodą, znoszą skrzynie,
I wielbłądóm na ramiona
Kładną ciężkie Zofij wiano.
Jeźdźce w podróż się sposobią

Środkiem Witold się przechadza,
Wszędzie spójrzy, powié słowo,
Lud zwołuje i zgromadza

Wtém mu Anna zajdzie drogę.
—Mężu! Panie! —rzecze cicho—
Czegoż dziecię tak ci prędko
Z twego domu w świat wyprawiać?
Dzień mi jeszcze, dzień daj jeden!—
—Dzień—nie; dwa dni, Anno moja!
My z nią jedziem, ja ją wiodę.
Każ sposobić swéj czeladzi.—
—Lecz tyś wczoraj nie wspominał?
Chciałeś długo posłów wstrzymać.—
—Wczoraj, Anno! wczoraj przeszło,
Przyszło dzisiaj. Rób co każę.—

Poszła Anna. Mistrz mu drogę
Zaszedł.—Dokądże tak skoro?—
—Chcę me dziecko przeprowadzić.
Pora ciężka. Niech ucieka.
Poźniéj wiatry, poźniéj burze.
A Moskwa, wiész! o! daleka!
Wasyl niecierpliwie czeka.
Posły nawet mnie prosili,
Bym nie zwlekał jednéj chwili.
I wy, Mistrzu, wy też z nami?
Dłużéj podzielcie gościnę.

Ja na zamki moje jadę.—
—Jedźcie z Bogiem, jedźcie sami.
Mnie w Królewiec trzeba śpieszyć.—
—Cóż! dni kilka?—I dzień drogi.—
—Mamyż rozstać się tak prędko?—
—Prędko, prawda; nie na długo.
Powracajcie—czas nam w Litwę!—
—O! powrócę! jam gotowy!
Ludzi tylko więcéj zbiorę;
Algimunda ślę w Podlasie,
W Litwę wysyłam Małdrzyka;
Na Żmudzi matka żołnierzy
Kupi mi, wyśle tu do mnie.
Czekajcie mnie, Mistrzu, zbrojno.
Wkrótce znów wyjdziemy w pole.—

XLIX.

Malborskie wieże na niebie czerniały,
Słońce świeciło. Witold piersią całą
Odetchnął; spójrzał na zamkowe ściany.
— Bądź mi zdrów, Mistrzu! niewolo Zakonu!
Kłamstwo tak długie, upokorzeń tyle!
Przecież się z wami rozstanę na wieki,
I Litwa moja! jam na Wilnie Panem!
Krwią-m się dowalczył serca u Jagiełły.
O! gdyby prędzéj usiąść na stolicy,
I cieniom ojca położyć na grobie
Czapkę Xiążęcą i miecz mój skrwawiony!—
— Do Metemburga! — zawołał czeladzi.—
Wy jedźcie z Xiężną i posły Ruskiemi.
Moi zostaną. — Gdzie Witold prowadzi?

Na Ritterwerder. Serce już mu bije,
By pomścić swoich na Zakonie dzieci.
On nie zapomniał niemowląt potrutych!—
—Na Ritterwerder!—Pod wrota podchodzi,
Trąbką zaśpiewa. Trąbka to im znana.
Dwa lata Witold był gościem Zakonu.
Więc most spuszczają. On do zamku wpada,
Ale nie gościem, wrogiem leci wściekłym.
—W pień ciąć załogę!—na swoich zakrzyknął.
Litwa się wali na bezbronnych braci.
Pełen podwórzec rannych i zabitych.
Co żyje, w zamku komnaty ubiega.
Jedni się chronią, drudzy prą za niemi.
Na cztéry rogi pali się budowa.

Mnichów wywlekli na brzeg Niemna, wiążą
Kamień u szyi, i w Litewskich wodach
Topią! Za chwilę nic nie pozostało.
Wzgórze i zgliszcze!-kupa tylko kości!
A Niemen płynie, jak płynął od wieka,
Choć w sine głębie sto trupów upadło!

Dwa dni, dwie nocy leci bez oddechu
Witold, po drodze woła lud do siebie,
Na Zakon jątrzy, podburza, wywodzi.
Wtém zbieg, niewolnik, za wojskiem przypada.
—Krzyżacy gonią!—Gonią!—Witold woła.—
—Za tobą, Kniaziu!—On wojsko rozkłada:

Sam w lesie ciemnym ze swemi zasiada,
Gdzie błotem wązka ścieżka się przesuwa,
Długa a ciemna; z obu stron sosnowe
Stare się wznoszą Litewskie olbrzymy;
I strumień wije, ziemię rwąc głęboko;
A trzęsawiska, zielonemi trawy
I żółtém kwieciem ukryte, tak śmieją,
Jak śmieją usta fałszywego człeka!
Wpośród nich olchy i dęby wyrosły,
Między sosnami blady liść wyniosły;
Z drzewa ściętego pomost środkiem słany
Groblą się długą wciąż boru wywija.

Z obu stron grobli Witold się zasadził,
Drzewa podcina, odwróty zamyka,
Przód im odsłania i czeka w milczeniu.
Aż tentent kopyt słychać w oddaleniu.
Znać z ciężkich kroków, że Krzyżackie konie
Żelazem zbrojnych w pole braci niosą.
Zmrok pada. Komtur w las puszczać rozkaże.
Lecz ledwie w lesie—drzewa chwiać poczęły,
Grad strzał się sypie, z tyłu ludzie zbrojni,
Z przodu sam Witold naciera na braci.
Padają rzędem, jak sznurem ciągnęli,
Biegą ich konie, a Litwa zwycięzka,
Z okrzykiem: *Łado!* walki dokonywa,
I krwią się Niemców nasyca szczęśliwa.

W zamkowym kościele
Śpiew wielki, zwycięzki o sklepienia bije,
Wieją w podwórcu chorągwie Litewskie,
Na wyższym grodzie wiatr pogoń wzdyma.
Otwarte bramy,
Domy otwarte,
Lud na ulice
Płynie ściśnięty,
Całą zalega
Świętą dolinę.

Nie pogrzeb, nie stosy;
Weselny to obrzęd, obrzęd to radośny.
Dzwony się z wieży odzywają tłumnie,
A głos im ludu wtóruje do śpiewu,
I światła płoną,
Kadzidła dymią.
Andrzéj Wasiło
Stał u ołtarza,
Witold na tronie
Siedzi wysokim.

Pod dachem złocistym
Jagiełło z Jadwigą, w złotogłów przybrani,
W koronach, z berły stanęli w milczeniu;
Dokoła Polscy cisną się Panowie.
Litwa zdumiała

Kościoł napełnia;
A na ołtarzu,
Kędy niedawno
Znicz płonął stary,
Kapłan mszą śpiewa.

Potém wziął z ołtarza
Koronę Xiążęcą, perłami naszytą,
Laskę Xiążęcą, biały miecz błyszczący,
I świat, zbawienia uwieńczony znakiem.
Witołd poklęka,
Głowę pochylił;
I starca ręka
Na jego skronie
Koronę kładnie
Z błogosławieństwem.

Na jego ramiona
Płaszcz rzucą szkarłatny, a w ręce Marszałek
Miecz nagi daje, z słowy poważnemi:
—Oto miecz władzy nad ludami twemi.
Karaj nas, Panie!
Bądź sprawiedliwy;
A miłosierdzie
Niech w sercu twojém
Srogość hamuje,
Karę łagodzi!—

A potém mu laskę
Podają złocistą, i drugi mu rzecze:
—Panie! to godło łaski i pokoju.
Miecz niech na obce służy ci narody.
Nas rządź tą laską,
Sercem rządź twojém,
Słowem pokoju,
Łaski twéj słowem.
Więcéj łagodność
Sprawi, niż bojaźń.

Siadł Witold na tronie.
I idą Litwini składać mu przysięgę,
Klękają, ręce pokładli na księgę,
Służyć mu wiernie zaklęli do zgonu.
Witold spoziera
Dumnie dokoła,
Berło podnosi,
Wstrząsa koroną,
Mieczem w powietrzu
Zamachnął jasnym.

I ozwą się śpiewy
Zwycięzkie, wesołe, o kościoł odbiją.
Powstał Jagiełło, powstała Królowa.
Dzwony się w mieście z wszystkich wież ozwały.
A Witold w duszy
Rzekł dumnie swojéj:

—Jam Pan nad Litwą,
Jam Pan nad wami!
Schylcie mi czoła,
Pokłoń się, ziemio!—

A Litwa się cała
Przed Panem pokłania; i ludy jéj klękły;
Puszcze szumiały, rzeki zamruczały,
Kwiaty w dolinach pochyliły głowy.
Z morza do morza
Zadrżała ziemia,
Góry schyliły,
Doliny wstrzęsły,
Ojcowskie duchy
W dłonie plasnęły.

Rauda.

Głucho, spokojnie, nad Trockiém jeziorem,
Szumią gdzieś lasy z liści obnażone,
Czernieje ziemia, a chmury się szare
Ciągną z zachodu, biegąc kędyś śpiesznie,
Z piersią deszczami i wiatrem nabrzękłą.

W powietrzu jęki, jak gdyby się duchy
Ozwały razem z powietrza i ziemi,
Jakby żywioły, kłócąc, rozmawiały
Słowy smutnemi, głosy straszliwemi.

Głucho, spokojnie, nad Trockiém jeziorem,
A wody jego w ciemnéj stoją szacie;
Gdzieniegdzie tylko fala podniesiona
Błyśnie, podbieży i u brzegu skona;
Rybitw, żałośnie śpiewając, podlata,
Białemi skrzydły jezioro zamiata,

To się podniesie w powietrze, to pada,
I po nad wodą sunie niespokojny.

U wrót zamczyska stoi straż Litewska,
Wsparta na dłoniach, smutnym wzrokiem goni
Po czarnych lasach i po wyschłéj błoni,
A słowem jednem nie zrywa milczenia.
Zda się, coś cięży nad zamkiem, nad krajem.
Na niebie, ziemi, nad usty ludzkiemi,
Smutek szaremi zawisnął skrzydłami,
Nad Trocki ostrow, nad Litewskie grody.

A w zamku smutno także, pusto, głucho.
Czeladź, stąpając po krużgankach grodu,
Boi się głosem swym cichość przebudzić;
Miga, jak cienie, lub siada na ziemi,
Na dłoniach sparta; płacze łzy gorzkiemi.

Nie ten to zamek, Kiejstuta dziedzina,
Gdzie sadził żonę, gdzie piérwszego syna
Dała Biruta, gdzie z zwycięztw się swoich
Cieszył, i rogi złocone nalewał,
Gdzie u ogniska druhów swych gromadził.
Mury obrosły smutkami i cierniem,
Z wierzchołka wieży wiatr zniszczenie głosi,
Szepcze coś o niéj falami jeziora.
Chwila, a wszystko w prochy się rozleci,
I nie zostanie kamień na kamieniu,
Nic nie zostanie u ludów w wspomnieniu.

Czemuż tak cicho na Trockiém zamczysku?
Czemu jesienny wiatr jęczy tak smutnie?
I ludzie płaczą?, ognie niezatlone
Gasną w ogniskach, dymią zapomnione?

Patrzcie — ostatni bohatér na Litwie
W czarnéj komnacie, na boleści łozu,
Leży i czeka bezsilny skonania.
Witold to wielki, lecz nie Witold młody,
Którego oko dumą się i siłą,
Ufnością w sobie i męztwem świeciło;
Nie ten to Witold. Złamany walkami;
Z oczy zgasłemi, dłońmi bezsilnemi,
Blada twarz kością przegląda z pod skóry,
Czoło się zryło, policzki zaklęsły,
Usta zapadły, a pierś, niegdyś pełną
Marzeń, nadziei, teraz smutek wzdyma.

U jego łoża, młoda, druga żona,
Z suchemi oczy, padła zamyślona;
Niepokój tylko widać na jéj twarzy,
Niéma miłości, niéma w niéj rospaczy.

Stary Algimund klęczał u nóg Pana,
Nogi całuje, na piersi rozgrzewa,
Łzami srébrzystą brodę swoję zlewa;
Widzi śmierć blizką nad Witolda głową,
A nie chce wierzyć w koniec bohatéra,

I jeszcze okiem w twarzy życia szuka,
Jeszcze się cieszy marami próżnemi.

Cicho — i lampa, co u łoża błyska,
W trzy twarze smutne światłem swojem pryska.
Oświeca razem Witoldową żałość,
Juljanny smutek, Algimunda boleść
W ciszy wieczornéj, którą wiatr jękami
Jakby pogrzebną śmierć śpiewał zawczasu,
Przerywa tylko. Słychać ciężkie tchnienie
Piersi rozbitéj starca bezsilnego.

Wtém szelest cichy — wzniosła się zasłona,
Zadrgała lampa, i wszedł kapłan stary,
Postawy mężkiéj, rycerskiego lica,
Brwi namarszczonych; w żółtéj jego twarzy
Surowość patrzy, rozum beznamiętny,
Z dwóch oczu czarnych męztwo świeci dumne;
Lecz usta wyraz Chrystusa miłości
Złagodził, ujął i w uśmiech przegina.

Spójrzał nań Witold i wstrząsł się, a oczy
Zamknął na chwilę; potém je otworzył,
Z dumą i gniewem skierował na mnicha,
Nie mogąc ręką, wzrokiem go odpycha.
On idzie; ani ulęknął się gniewu;
Słowo poszepnął i u łoża siada.

—Xiążę!—rzekł cicho—czas myśleć o duszy.
Dopóki życie niesie nas, jak fala,

Walczymy z życiem, lub nieść mu się dajem;
Lecz gdy nas fale do brzegu wyrzucą,
Spokojną myślą czas dumać o końcu
A sprawy ziemskie w téj chwili ostatniéj
Widzim, jak piasku ziarna, co je dzieci
Sypią z uśmiechem, igrając swawolne.
Czém wielkość świata? czém duma człowieka?
Gdy mu się zgonem przywiera powieka,
Marne igraszki, znikome to dzieje,
Któremi wielkie serce nie boleje.
Wszystko, co duszą, co sercem wstrząsało,
Zda się drobnostką. Boleści, roskosze,
Ziarna to piasku na wieczności brzegu.
Xiążę! pomyślcie, konając, o duszy.
Po waszych ręku wiele krwi się lało,
Trzęśliście losem ludów, życiem ludzi.
Z twojéj wielkości cóż ci pozostało?
Boleść ostatnia! żal i zawiedzione
Nadzieje tylko! Nie myśl o koronie.
Chciałeś nad Litwą być Królem i Panem,
Byłeś—korony brakło twojéj skroni.
Walczyłeś z nami o błyskotkę marną,
Aż śmierć z téj walki wyniosłeś. O Panie!
O! w chwili zgonu czém ci ta korona?

—Korona!—Witold krzyknął, wstając z łoża—
Litwa—wyjęknął.—Umrę bez korony!
Umrę i Polsce zostawię dziedzictwo!

Litwę poddaną! Jam ją chciał mieć panią!
Jam chciał ją widzieć od morza do morza
Wielką, swobodną, niepodległą, silną!
Na trzy dni tylko dajcie, na godzinę
Koronę Litwy! Z śmiertelnego łoża
Wstanę i pójdę, i słupy zabiję,
Gdzie jéj granice; murem się odgrodzę
Od Polski waszéj. Przy Litewskiém łonie
Polska pijawką, co z niéj krew wysysa.
Wiarę i język, ojców obyczaje,
Wszystko wyssała! i wyssie do reszty!
Nic nie zostanie, tylko cień wybladły
Bez sił i życia, jakim ja dziś jestem!
Przyjdzie zgon długi, ciężki, i napróżno
Zawoła śmierci. Będzie żyć musiała
Związana, ranna, bezsilna, zdeptana!

Korony! słuchaj, Zbigniewie! korony!
Na dwa dni dajcie! Niech ją mam na skroni!
Niech umrę tylko z tą myślą zwycięzką,
Żem moję Litwę swobodną zostawił.
Potém rzucicie w błoto tę koronę,
Zedrzecie z głowy. Lecz dajcie na chwilę,
Korony dajcie! Niech na skroń ją włożę,
Niech ją poczuję chwilę i z nią skonam—

—Xiążę! —rzekł Zbigniew Kardynał powolnie—
Próżne twe chęci. Walczyłeś mozolnie,

By Litwie twojéj wywalczyć koronę,
Ale napróżno. Nie teraz, o Panie,
O niéj ci myśleć i o nią ci prosić.
Ty widzisz lepiéj, że chęć, co ci piersi
Napełnia, wrogóm twoim wyszła z głowy.
Polska i Litwa złączone na wieki.
Obu im siłę daje połączenie.
Rozerwij—obie bezsilne upadną.
Zygmunt chciał zguby, gdy tę myśl zatrutą
Rzucił ci w łono na ziarno niezgody.
Jednością stoją dwa wielkie narody.
Rozdziel je dzisiaj—jutro wróg napadnie,
Rozkraje w szmaty, i, jak Chrystusowe
Szaty u krzyża, rozegra je w kości.
Panie! czyż mało sławy ci, wielkości?
Ty wziąłeś Litwę zniszczoną, osłabłą,
Rzucasz ją wielką, silną i potężną,
Ty posunąłeś granice na Rusi,
Zatknąłeś słupy u Dniepru i Pontu,
Tatarskich Carów zmusiłeś hołdować!
Małoż ci jeszcze? Witołdzie! czyż mało?—

—Mało mi jeszcze!—Witold rzekł z zapałem.—
Nie to marzyłem, nie tego ja chciałem!
Maż wiecznie Litwa, jak wasza służebna,
Kraj szaty nosić za Polską Królową?
O! nie! Jam chciał jéj koronować skronie,
Płaszcz dać ramionóm, berło dać jéj w dłonie,

I tron jéj złoty między morza dwóma
Postawić — próżno! odumrę służebną!

Słuchaj — zawołał — słuchaj mnie, Zbigniewie!
Znasz ty me życie? znasz ty prace moje?
Wszystko to próżne! i zdrady, i boje,
I krew wylana strumieniem po ziemi,
I duma, która truła żywot cały.

Słuchaj! Mnie oczy zagasną za chwilę
Na długą wieczność. A teraz przed niemi
Widzę—marami ciągnie życie całe,
Ofiary wszystkie, ofiar moich cienie,
Wojny i wrogi, druhy poświęcone—
Wszystko dla Litwy, wszystko za koronę,
Któréj w skonania, w zgonu nawet chwili
Wyście mi jeszcze dać pozazdrościli.—

Smutnie się Zbigniew uśmiechnął i rzecze:
—Xiążę! cóżby ci dodała korona?—
—Korona—życie—Witold mu przerywa—
Litwa potężna i Litwa szczęśliwa.
Słuchaj, Biskupie! powiém życie całe,
Powiém ci moje życie, co się marnie
Kończy, ze zwycięztw mieniąc na męczarnie.

Ojciec mój skonał z Jagiełły rozkazu,
Dzieci mi Krzyżak potruł niemowlęta,
A jam Jagielle podał rękę zgody,
A jam z Krzyżakiem trzy razy się bratał,

Bo w piersi mojéj jedna myśl gorzała,
Duszę objęła, głową zawładała,
Nad całém życiem świeciła mi gwiazdą—
Litwę połączyć, Litwę wyswobodzić,
I wielkie państwo stworzyć ręką silną.

....

I jam pracował, jam trzykroć pod Wilno
Zdradą podchodził, jam Krzyżackie tłumy
Na drogą ziemię prowadził z zniszczeniem,
Aż siadłem przecie na Olgerda tronie
I wziąłem Litwę w zakrwawione dłonie.
To nie był koniec. To życia początek.
Zdradziłem Zakon—powstał na mnie groźny,
Bracia Jagiełły poddać mi nie chcieli,
Ruś się zburzyła, Prussy całe wstały—
Jam stał i czekał. Swidrygiełł z Zakonem,
Skirgiełł się z Rusią na Litwę obalił,
Zniszczył mi włości, Podlasie wypalił,
Lud mój rozproszył, zamki mi wywrócił—
Jam cierpiał, walcząc; to wojną, to zgodą,
Nienasycone gardła im nalewał,
Bo jutro swoje odebrać spodziewał.

Siadłem na tronie; lecz Olgerdowicze,
Dumni, że bracia Jagiełły, ni dani
Oddać, ni władzy méj uznawać chcieli.
Poszedłem na nich, Ruś podbiłem znowu,
Nowogród, Owrucz, Żytomierz zająłem,

Głowy-m ich zniżył i karków nagiąłem,
Jednym zabrałem, drugim dał dzielnice,
Jednych na drugich pchałem. Jak ostrego
Miecza się w boju używa, jam braci
Na braci użył, przyjaciół na wrogów.
A kiedy miecz się stępił w ciężkim boju,
Skruszyłem, by go nie podjął kto drugi.

Trucizną zginął Wigand brat Jagiełły,
Bo Wigand zasiąść miał na Litwy tronie;
Skirgiełł trucizną umiera w Kijewie;
A kto zgotował obie? nikt z was nie wié.
Jam je zgotował, by dwóch nieprzyjaciół
Usunąć z drogi, Kijów Algimunda
Rękę mą prawą ujrzał na stolicy;
Nowogród wielki podbiłem méj włości;
Z Twerem przyjaźnią złączyłem, bym silniéj
Resztę mych wrogów i Zakon pożywał.

I Bóg mi sprzyjał. Ledwie myśl zawzięta,
Ręka wzniesiona, już głowa ucięta.
Padały grody i padały głowy.
Braci Jagiełły zabiłem w okowy.
Świdrygiełł dumny niosł ciężkie kajdany,
I błagać poszedł Polski Radne Pany.
Jam Ruś przelatał z Jerzym Światosławem,
Z Hlebem się darłem, z Rezańskim Olegiem,
I panowanie rozszérzając Litwy,

Nad Don i Wolgę szedłem toczyć bitwy.
Dzikie Tatarów ordy twarzą padły,
Władzę uznały i karki pokładły
Pod nogi moje. Jam ich wiódł w niewolę,
Litewską kazał uprawiać im rolę.
Tysiące ludu z nadmorskiéj krainy,
Ze stepu przyszło siąść w Litewskie lasy.
Carami Tatar rzucałem, jak dzieci
Kule rzucają, i miotałem niemi,
Puszczając wzajem, aby się własnemi
Zębami jedli, rękoma szarpali,
Za to mi co rok dań bogatą słali.
Widziało Wilno, jakem ręką moją
Czapki xiążęce na ich wkładał skronie,
Miecze im dawał, by swą krew toczyli.
Wszystko dla Litwy! i wszystko naprózno!

Pomnę, o, pomnę sromotne ofiary
I ciężkie boje. Nie zawsze zwycięzko,
Często musiałem z pohańbioną twarzą
Uchodzić, ręką miecz ściskając próżno
I mówiąc w duszy: jutro mi nagrodzi.
Pomnę, nad Worsklą—skwarne było lato,
Polska się młodzież pod mój bok skupiła,
Szliśmy na Tatar, na Timur Kutluka.
Stoim na stepie, słońce łby nam pali.
Po drugiéj stronie rzeki tabor leży,
W jarach, na wzgórzach, po wielkiéj równinie.

Timur mi posły z pytaniem przysyła:
—Dla czego wojnę niesiesz w kraj ci obcy?
Czyliśmy kiedy twą Litwę niszczyli?—
Jam odpowiedział—Bóg mnie u kołebki
Naznaczył ręką na władzcę narodów.
Skłońcie mi głowy, lub idźcie w niewolę.—
Timur daninę dawał, jam odrzucił;
Przysłał podarki, popchnąłem je nogą.
I Tatar powstał z ślepiami czarnemi,
Rzekł:—Lepiéj umrzeć!—Pomnę bitwę srogą.
Z Polską młodzieżą na Tatar idziemy.
Pierzchli, lecz kołem, jak siecią, nas biorą,
Plączą dokoła. Ledwiem z strasznéj rzezi
Uszedł do swoich, a orda rozlana,
Z brzegów wyszedłszy, Ruś mi pustoszyła.
Jam wszystko scierpiał, za wszystko zapłacił.
Byłem nad morzem w Tatarskiéj krainie,
Kędy słonemi jeziory nasiane
Stepy się ziemskie z stepem morza wiążą.
Tam miecz Witołdów w Poncie się zanurzył.
Z koniem do morza wjechałem i wody
Pod panowanie litewskie zająłem.
Wszystko napróżno! Klęski i zwycięztwa,
Jedne ni drugie nie zmogły mnie przecie.
Padłem, wstawałem. Zwycięzcą-m nie spoczął,
Lecz szedłem daléj, szedłem bez ustanku,
I Litwy coraz szérzyłem granice,
Aby stanęła od Polski silniejsza,

Aby poczwarę, co jéj gryzła łono,
Mogła nawzajem za boki pochwycić,
W bok się jéj wpoić i krwią jéj nasycić.

Nareszcie przyszła chwila, com ją życiem
Okupił całém, i Zygmunt koronę
Litwy mi daje. Wstaje Polska cała,
Piersiami swemi ostatnie zwycięztwo
Zaparła, murem między mną, koroną,
Między mną, Litwą, stanęła i stoi.
Zbigniewie! padłem! Z namowy to twojéj!
Tyś w Łucku Panów Radnych na mnie burzył,
Tyś w Jagiełłowych piersiach pożar dmuchał.
Starzec bezsilny jak ojca cię słuchał.
Ciesz się—zwycięztwo twoje. Tyś mnie zabił!
Twoja to ręka serce z piersi staréj
Wyrwała chłodna, i drze bez litości!
Lecz słuchaj jeszcze! Myślisz, że w twéj Radzie
Pan twój ma, jak ty, czystych tylko ludzi?
O! nie! Jam waszych przekupił połowę
Za moje złoto; każde słowo wasze,
Każdy ruch w Polsce wiedziałem, i głosy
Jam im poddawał. Wyście mi koronę,
Z głowy Jagiełły zdjąwszy, oddać chcieli.
Mnie nie korony waszéj, ale Litwie
Trzeba potęgi, potrzeba swobody.
Na trzy dni tylko dajcie mi koronę!
Litwo! o Litwo! jam ci oddał życie.

Wszystko dla ciebie święcone stracone.
Trzy dni, Zbigniewie! na dzień daj koronę!

—Na trzy dni życia—rzekł Biskup ponuro—
Niémasz w twéj piersi. Chcesz trzy dni królować!—

—Na trzy dni życia! Witold się porywa.
Bez niéj ja umrę Daj ją, a żyć będę.
Ona uleczy, ona mnie odżywi.
Zbójco! Zbigniewie! oddaj mi koronę!—

Xiążę!—u zgonu myśli cię szalone
Porwały. Próżno! Coś stracił, nie wróci,
A życie leci, a śmierć nad twém łożem.
Bóg cię z rachunkiem na niebiosach czeka.
Czas jasném okiem rzucić w przeszłość ciemną,
Czas swoim wrogom przewiny darować.
Xiążę!—i ukląkł—przebacz mnie piérwszemu!
Nigdy ja karku nie zgiąłem nikomu,
Lecz przebaczenia proszę u skonania
Dla duszy twojéj, byś nie poszedł z świata
Z urazą w sercu i gniewem na duszy.—

Witold nań spójrzał, na łoże opada,
Dwie łzy się spiekłe z oczu wydobyły,
Milczy, a twarz mu pobladła, rumieniec
Chwilę kwitnący, zagasnął pod łzami.

—Przebaczyć!—cicho rzecze—im przebaczyć!
W życiu-m nikomu nigdy nie przebaczył,

A ty chcesz, starcze, bym zabójcy, tobie,
Darował winę! O! nigdy! o! nigdy! —

—Xiążę! na duszy nie czuję ja winy,
Dla ciebie tylko błagam przebaczenia.
Noc idzie, płyną liczone godziny,
Śmierć coraz bliżéj niech w chwili ostatniéj
Z światem i ludźmi zgodzi uścisk bratni.—

Wtém drzwi uchylą, i starzec się siwy
Wsuwa przed łoże. To Jagiełło stary.
Wszedł, naprzód w progu zastanowił trwożnie,
Ujrzał Zbigniewa i wzrokiem go bada.
Witold osłabłą wznosi z łoża głowę,
Rzucił oczyma w lice Jagiełłowe,
Rękę wyciągnął.—Bracie mój! o bracie!
Przebacz!—zawołał. (Piérwszy to raz w życiu
Wyrzekł to słowo). — Czuję, śmierć przychodzi.
Przebacz, jak ja wam mój zgon chcę przebaczyć!
Wyście zabili mnie — wy, Litwa, Korona.—
Słowa umarły, on upadł bezsilny.

Jagiełło płakał, a Zbigniew surowo
Powstał, i żonę przywodząc Xiążęcą,
—Królu!—rzekł— Witold opiekę nad wdową
Oddaje tobie. Bądź ojcem sierocie.—
I Witold rękę wyciągnął gorącą.
—Bracie mój! pomnij na dziecięce lata!
W tym samym zamku myśmy je przebyli,

W tejże komnacie. Gdy Olgerd z Kiejstutem,
Ojcowie nasi, gnali się na Lachów,
My z tobą tutaj, u brzegów jeziora,
Biegli za ptakiem, pływali za kwiatem,
Szczęśliwe czasy! Co po jasnym ranku?
Skwarnych dniach burzy? My dziś starce oba!
Obu nas lata złamały i zgniotły,
Obu się ciężko życie dało w znaki!
Tyś brat mój zawsze, bądź Juljannie ojcem.—

Jagiełło milczał, ale ściskał rękę,
Okiem przyrzekał, i upadł na piersi
Brata Witolda.
-Bądź mi zdrów, Jagiełło!
Bądź zdrowa, żono! bądź, o Litwo, zdrowa,
Litwo! Korono! Litwo nieszczęśliwa!
Ja zamknę oczy, ty padniesz rozdarta.
O! ciężko myśleć, kraju mój, o tobie!
Ty się rozpadniesz, ty umrzesz mym zgonem!—

Wtém we drzwi wszystkie tłumami się cisną
Słudzy i czeladź, ostatni raz Panu
Czołem uderzyć, rękę ucałować.
Płacz po komnacie, płacz po zamku szérzy.
Starcy na ziemię padają ze łkaniem.
I nagle cisza. Zbigniew wchodzi, w ręku
Niesie ostatni pokarm choréj duszy—
Z Bogiem przychodzi. Ciżba rozstępuje.

W milczeniu smutném kilka słów szemrało.
Dzwonek zadzwięczał, chory padł na łoże.

Spokojniéj teraz oko mu błyskało,
Piersi powolniéj, lżéj powietrze brały.
—Odsłońcie okno—rzekł—niech świat zobaczę,
I Litwę moję, i Trockie jezioro,
Podnieście starca—niech raz jeszcze oko
Wzleci po górach, po lasach, po wodach,
Niech je pożegna, jak was pożegnało.—

Spadła zasłona, i noc widać ciemną;
Na tle jéj chmurném gwiazdy rzadkie płoną,
Migają, gasną; a Trockie jezioro
Falami bije o milczące brzegi,
I krzyk Peledy w dali się rozlega.

Wstał Witold, spójrzał, zadumał, i głowa
Schyliła, oczy zamknęły na wieki!
Gwiazda błyszcząca z niebios się zsunęła
I zgasła w dali na czarnych obłokach.

KONIEC WITOLDOWYCH BOJÓW

I ANAFIELAS.

Spis Pieśni.